

LEONARD CARPENTER

CONAN NAJEŹDŹCA

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN SCOURGE OF THE BLOODY COAST

PRZEŁOŻYŁ: MAREK MASTALERZ

Dla Liane

I

NIEWOLNICZY STATEK

Załoga pirackiej galery „Dzierzba” wywęszyła niewolniczy statek na długo, zanim go zobaczyła.

Piracka załoga była zbieraniną łotrzyków z półtuzina rozmaitych nacji. Wytatuowani, pokryci szramami, ogorzali obwiesie z kolczykami w uszach, przez całą noc gięli karki w ławach wioślarskich, ścigając ofiarę. Wielu z nich było niegdyś niewolnikami i skazańcami. Wielu taki los czekał w przyszłości, lecz każdy z nich, czy był zbiegiem, czy nie, miał takie samo zdanie o niewolniczym okręcie.

Kapitan „Dzierzby” stał na szeroko rozstawionych nogach na pokładzie rufowym biremy. Nasłuchując odgłosów ściganego statku, przeszywał czujnym wzrokiem gęsty, poranny opar i przyglądał się powierzchni wody. Jako młodzieniec z równą czujnością tropił kozicę w górskich rozpadlinach rodzinnej Cymmerii.

Odór niewolniczego statku, stanowiący połączenie woni potu, łajna, uryny i cierpkiego smrodu wymiotów, świadczył dobitnie, że byli na właściwym tropie. Mówił o skutych łańcuchami wioślarzach, którzy całymi latami nie wstawali ze swoich ław. Ociężała poranna bryza wskazywała, w którą stronę zmierzał uciekający statek: na wschód, ku narastającej jasności dnia i zarośniętym wodorostami, skalistym płyciznom hyrkańskiego wybrzeża.

Kapitan zręcznie manewrował wiosłem sterowym. Miał na sobie tylko jedwabne bryczesy i luźne marynarskie buty. Jego krzepkie ramiona zdobiło parę zrabowanych bransolet. Dzika i dumna poza nie pozostawiała najmniejszych złudzeń co do tego, że on, Conan z Cymmerii, znany obecnie pod siejącym grozę imieniem Amry, Postrachu Vilayet, jest panem tego statku.

– Ahoj, kapitanie! – odezwał się majtek z bocianiego gniazda. – Na sterburcie widać jeszcze jednego!

Puściwszy luzem wiosło sterowe, Conan wyjrzał za prawą burtę. Majtek nie mylił się: na falach twarzą w dół unosił się kolejny trup. Nad powierzchnią widać było jedynie wzgórek grzbietu, spalonego na czarno przez słońce i zgarbionego od lat harówki przy wiosłach. Plecy trupa poznaczone były głębokimi, krzyżującymi się szramami po chłóście, która stała się przyczyną śmierci. Taki właśnie trop pozostawiała za sobą niewolnicza galera. Była to trzecia ofiara od rozpoczęcia pościgu ubiegłego wieczora.

– Na Bel, zabijają ich szybciej, niż mogą sobie z nimi poradzić ryby! – zauważył jeden z wioślarzy przyglądając się nieboszczykowi.

– Zgadza się. Oszczędzają nam trudu – zawtórował mu drugi.

– Pewnie przyuczają nową załogę – dodał ospowaty Rondo. – Dają pozostałym przykład.

– Ale po co gonimy jakąś nędzną niewolniczą krypę? Nie mam ochoty nadwerężyć kręgosłupa tylko po to, by odebrać kmiotkom ostatni szeląg i zedrzeć im koszulę z grzbietu... – rozległ się skwaszony głos z dolnego rzędu ław. Malkontent nie przedstawił się, lecz Conan nie miał wątpliwości, kto to jest.

– Dosyc, Diccolo! – burknął. – Wiosłuj żywiej, jeśli chcesz zachować całą skórę! – pchnął silnie wiosło sterowe. – Czuję, że zbliżamy się do celu. Smród jest coraz silniejszy.

Skrzyp wiosła i bulgotanie rozgarnianej wody przybrały szybsze tempo, zgodne z nowym rytmem bębna starego Yorkina. Załoga nie szczydziła wysiłków. Już nikt więcej nie wyjrzał za burtę, by przyjrzeć się trupowi. Działo się tak głównie za sprawą pirackich przesądów, dotyczących morskiej ciszy i mieszkańców głębin.

Conan znał te lęki. Ludzie bali się najbardziej tego, co mogło przybyć z martwego królestwa na dnie morza. Nie podzielał ich dziecinnych wierzeń... przynajmniej nie do końca. Mimo to bardzo mu odpowiadały. Dzięki nim wioślarzy

nie trzeba było zachęcać do usilnego, wyczerpującego trudu na przybrzeżnych, gładkich jak szkło wodach.

– Wiosła w górę, psy! Siedzicie cicho przez chwilę i nadstawiajcie uszu!

Podporządkowując się komendzie, piraci podnieśli pióra wiosła nad wodę i wciągnęli ich trzony głębiej na pokład. W ciszy, która zapadła, przez moment słychać było tylko kapanie kropli z piór i szmer rozcinanej przez dziób wody. Potem przez rozświetlony słońcem opar przedarły się inne dźwięki. Pierwsze było basowe, rytmiczne pojękiwanie. Nie sposób było orzec, czy to skrzywienie mamie naoliwionych dulek, czy jęki harujących ponad siły wiosłarzy. Rozbrzmiewało również ciche, rytmiczne dudnienie i trzask, nie mogące być niczym innym, jak uderzeniami bicia.

Nagle zza snującej się tuż nad wodą opończy mgły wyłoniła się upiorna sylwetka statku. Z niskiego, szerokiego kadłuba sterczały bezładnie poruszane przez niewolników wiosła. Zwężający się dziób i rufa były wygięte nad pokład na kolchiańską modłę, obramowując słup pojedynczego masztu.

Pozbawiona żagli galera, pchana niezdarnie siekącymi wodę wiosłami, torowała sobie drogę między kolumnami mgły, barwionej na pomarańczowo przez świt wstający nad hyrkańskim stepem.

– Ruszcie się! Oto nasz nieprzyjaciel! – zawołał Conan. – Wytrząśnijcie ołów z rękawów, hultaje! Musimy go dogonić!

– Pewnie! – zawtórowały mu pirackie okrzyki. – Zatopimy tę przegniłą balię! Staranujemy ją i złupimy, zanim pójdzie na dno!

– Nie! – rozległ się kolejny głos. – Spalimy to cuchnące siedlisko zarazy razem z załogą! Oszczędzimy smrodu Dagonowi i jego królestwu!

– Nie staranujemy galery – oznajmił Conan. Gdy birema z impetem skoczyła do przodu, barbarzyńca podniósł wiosło sterowe nad wodę, by nie hamowało okrętu. – Gotować haki! Abordaż od rufy! Statek i załoga mają pozostać nietknięte! – przywoławszy skinieniem dwóch piratów, by chwycili dwa zapasowe wiosła sterowe, przeszedł między ławy, by poprowadzić atak. – Możecie wyciąć nadzorców w pień, jeżeli macie ochotę, ale macie zostawić niewolników w spokoju, chyba że zaczną bronić swoich łańcuchów – mówił, poklepując po ramionach mijanych wiosłarzy.

Przestrzeń połyskującej wody między dwoma statkami szybko malała. Piracka birema o wąskim kadłubie, obciążona jedynie wiosłami, bronią i posługującymi się nimi ludźmi, przecinała gładką powierzchnię morza jak wodny wąż. Niewolnicza krypa zwalniała, jakby jej kapitan nie wiedział, co czynić na widok prześladowcy. Zniewolonych wiosłarzy zmuszało do jeszcze większego wysiłku desperackie bicie w bęben, chrapliwe wrzaski i o wiele gęstsze razy bicia. Ich trud okazywał się jednak daremny. Ścigana galera płynęła z tą samą szybkością, co przedtem.

Dwa okręty zetknęły się pod bladoniebieskim niebem, pokrytym rzadkimi obłokami. Wiosła na sterburcie pirackiej biremy w jednej chwili skryły się w kadłubie. „Dzierzba” z dudnieniem otarła się o rufę niewolniczej galery. Ciśnięte przez muskularnych piratów kotwice abordażowe poszybowały szczipając oba statki. Ta, którą rzucił Conan, zatoczyła łuk i spadła na ramię bogato odzianego oficera w turbanie, który zbyt późno rzucił się do ucieczki. Stalowy hak powlókł go i przybił do burty za rękę i kołnierz. Conan ciągnął z całych sił sznur kotwicy, aż kadłuby zetknęły się ze sobą. Potem owinał linę wokół masztu, zadowolony, że unieszkodliwił jednego wroga jeszcze przed rozpoczęciem walki.

Chwilę później był już na pokładzie niewolniczej galery. Pędząca za nim wrzeszcząca horda morskich grabieżców w okamgnieniu zmiotła obrońców z pokładu rufowego. Zasieczonych kordami członków załogi natychmiast wyrzucano za burtę. Conan parł do przodu, nie zwracając uwagi na nieznośny smród. Kierował się ku pomostowi zawieszonemu na linach nad ławami wiosłarzy. Gdy dotarł doń, zagroził mu drogę tłusty, brodaty nadzorca niewolników z nagim torsem, uzbrojony w bicz z bawolej skóry. W dole kulili się skuci łańcuchami niewolnicy: mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Wynędzniali, brudni, ze splątanymi, nie strzyżonymi włosami, o nagiej, poznaczonej razami skórze, biernie przyglądali się rozwojowi wydarzeń.

Conan zaatakował, mierząc ostrzem w bujne włosy, porastające pierś nadzorcy, jednak przeciwnik, przyzwyczajony do poruszania się po chwiejnym pomoście, rzucił się w tył zręcznie jak pajak mknący po swej pajęczynie. Conan poczuł piekący ból przy lewym uchu. Drugi raz bykowca oblał bólem jego bark. Cymmerianin zatoczył się i prawie upadł na kolana, mając wrażenie, że połowę jego ciała ogarnął ogień. Gdyby następny cios trafił w zbrojne ramię, nie

zdołałby utrzymać korda. Odzyskawszy równowagę, barbarzyńca zatoczył ostrzem nad głową, zrobił wypad i ciał, lecz nie przeciwnika, ale linę, tworzącą poręcz chodnika. Ostrze rozcięło pokryty brudem sznur sprawiając, że gotujący się do zadania kolejnego ciosu nadzorca nagle stracił oparcie. Desperacko łapiąc równowagę, machał na oślep bykowcem. Nic mu to jednak nie dało i z wrzaskiem runął w tył między ławy wioślarzy.

Wtedy rozległ się stłumiony, wściekły pomruk. Dziesiątki ust zaczęły wykrzykiwać obelgi w tuzinie języków. Dłonie niewolników, przykurczone i pokryte odciskami od wyczerpującej harówki, okazały się wystarczająco chętne i sprawne, by wczepić się i rozerwać ciało nadzorca. Tuziny brudnych rak wpiły się w jego brodę, wydłubały oczy, wyłamywały stawy i szczękę. Na gardle mordowanego zaciśnięto znienawidzony bat. Niedawny pan życia i śmierci najpierw ryczał i wył, a potem już tylko charczał, czkał, stękał i ucichł.

Zostawiwszy go swojemu losowi, Conan ruszył na dziób. Drugi z nadzorców – szpakowaty oficer o charcim obliczu, posługiwał się biczem z mniejszą wprawą. Gdy bykowiec przeciął powietrze ze złowieszczym świstem, Conan schylił się przed nim i odbiwszy się od rozkołysanego pomostu, skoczył do przodu. Oficer rzucił się do ucieczki. Było już jednak za późno: nim zdołał zrobić choć krok, poczuł na karku zimny dotyk ostrej jak brzytwa klingi. Bez głowy, brodząc krwią runął między wioślarskie ławy. Tym razem ręce niewolników szukały nie jego gardła, lecz zawieszonych przy pasie kluczy.

Droga na pokład dziobowy była wolna. Zebrało się na nim pięciu majtków. Przerażeni próbowali osłonić się kordami i bosakami. Conan wiedział, że zostało im niewiele życia. Z tyłu dobiegało wilcze wycie jego piratów. Cały statek wibrował od tupotu bosych stóp. Jednak Cymmerianin nie zaatakował od razu pięciu marynarzy. Zamiast tego przeciął liny, podtrzymujące uniesione do góry drewniane schody. Skrzypiąca konstrukcja opadła z łoskotem na brudne deski pokładu wioślarskiego i niewolnicy, którym udało się uwolnić, z gardłowym wyciem przyłączyli się do swoich wyzwolicieli. Pognali w górę po stopniach, by jak najszybciej wyrzucić zemstę na prześladowcach.

Conan poprowadził ten atak. Unosząc wysoko kord zamierzył się na wyglądającego najgroźniej marynarza – Hyrkańczyka uzbrojonego w bosak. Pierwszym ciosem Cymmerianin przeciął drzewce na pół. Kolejnym zrobiłby to samo z czaszką Hyrkańczyka, gdyby w tej samej chwili nie przykrył go tłum półnagich niewolników i powłókł, wierzgającego, pod burtę, by tam rozszarpać go na ochłapy.

Pozbawiony przeciwnika Conan daremnie rozglądał się za następnym. W ciągu tych kilku chwil ciżba rozszalałych i skowyczących mścicieli zmiotła szereg obrońców. Niewolnicy – wynędzniali, żyłaści mężczyźni i kobiety, paznokciami i zębami szarpali byłych prześladowców. Zrogowaciałe palce rabów wczepiały się we włosy, wydłubywały oczy, wyrzywały języki, łamały i odrywały kończyny. Kilku niewolników zginęło, stratowanych przez swych oszalałych kompanów. Pielęgnowana przez lata nienawiść znalazła ujście w jednym obłąkańczym porywie dzikości i szaleństwa. Chwilę później pozbawieni ofiar, byli niewolnicy znieruchomieli nad zmasakrowanymi trupami.

Piraci, którzy teraz dopiero dotarli na pokład dziobowy niewolniczej galery, wyglądali na rozczarowanych tym, że nie mieli okazji do walki. Patrzyli nieufnie na furiatów, których uwolnił ich kapitan. Niepewni, co czynić dalej, z orężem w rękach rozstawili się na skraju pokładu rufowego i na kładce na dziób. Niektórzy, obawiając się, że gniew wyzwolonych niewolników zwróci się również przeciw nim, zaczęli zganiać ich z pokładu dziobowego.

Niebawem spod pokładu wyszedł bosman pirackiej biremy – Jalaf Shah i wspiał się na dziób z belą surowego płótna na ramieniu.

– Kapitanie, ładunek wygląda byle jak – oświadczył marszcząc brwi i potrząsając głową. – Jest trochę beczek mąki, przeważnie mokrej i pełnej robaków – pozwolił, by garść niesionego w dłoni proszku przesypała się mu między palcami na deski pokładu. – Do tego dochodzą nie wygarbowane skóry, zwoje lin, smoła, ocet i sporo takiego właśnie płótna. Ani krzty jedwabiu, wina, kosztownych towarów ani choćby porządnych wyrobów... Zresztą niczego więcej nie można było spodziewać się po tej niewolniczej krypie – wzruszywszy ramionami, rzucił tkaninę na pokład. Bela potoczyła się do stóp Cymmerianina. – Możemy ją bez żalu spalić albo zatopić.

– Naprawdę? – spytał władczo Conan. – A co z tym dobytkiem? – skinieniem głowy wskazał nagich wioślarzy, świadom, że mogą rozumieć piracki żargon. Przysłuchujący się rozmowie, najbystrzejsi spośród nich obrzucili barbarzyńcę

podejrzliwymi spojrzeniami. – Zgodzisz się wynieść ich za burtę?

Jalaf Shah wzruszył beztrząsramionami, wytrzymując chmurny wzrok swojego dowódcy.

– Niewolnicy to najwartościowszy towar na pokładzie, choć są w tak marnej kondycji – odparł. – Trudno będzie ich jednak przewieźć na jakieś porządne targowisko – zerknął z ukosa na wioślarzy na pokładzie dziobowym, którzy patrzyli na niego z otwartą wrogością. – Nie będą dobrymi niewolnikami, skoro już raz zasmakowali krwi.

– Naprawdę tak sądzisz? Dosyć tego! – Conan odwrócił się w stronę gromady piratów i niewolników. Większość z nich stała na pokładzie wioślarskim, chociaż zdjęli z siebie okowy. Zacerpnawszy tchu, Cymmerianin przemówił rozkazującym tonem:

– Koniec gadania o spaleniu czy zatopieniu tego statku i jego załogi! Niech nikt nie obawia się, że trafi na targowisko niewolników, zostanie zabity czy będzie musiał płynąć do brzegu! – Przeszedł na hyrkański, ponieważ był pewien, że jest to język zrozumiały dla większość słuchaczy. – Ta galera, chociaż ohydna, jest mi potrzebna – skrzywił nos, co wywołało śmiechy piratów. Gdy minęła gorączka walki, smród stał się niemal nie do zniesienia dla nie przyzwyczajonych ludzi. – Nie pozbedziemy się też ani jego ładunku, ani załogi! Macie swoją wartość – wy, którzy przeżyliście tutaj tak długo! – przeszedł na koniec kładki, z którego był lepiej widoczny. – Żywność; mięso i mąkę – możecie zjeść. Płótno żaglowe posłuży wam do okrycia grzbietów i wymoszczenia prycz – w miarę jak mówił, wśród niewolników widać było narastające zaciekawienie. – Smoła i liny przydadzą się do budowy katapult, pokażę wam, jak się je robi. Wyrzucicie za burtę bicz – już nie są potrzebne! – po tych słowach rozległy się radosne okrzyki. Gorliwie wykonując polecenie Conana, byli niewolnicy pozbierali wszystkie bykowce i cisnęli je za burtę wśród ogólnej triumfalnej wrzawy. – Zostawcie jednak łańcuchy i dyby! – Conan przerwał na chwilę, by odzyskać zainteresowanie ciżby. – Zachowajcie je, bo przydadzą się na waszych prześladowców!

Po tym oświadczeniu na dziobie i pokładzie wioślarskim zapanowała szalona radość. Nieruchomi piraci czekali w napięciu, co będzie dalej. Wciąż nie wypuszczali broni z rąk, licząc się z możliwością wybuchu nowego buntu. Gwałtowność i zapamiętanie niewolników, przewyższające nawet gniew morskich rozbójników, budziły ich obawę. Nie spodziewali się czegoś takiego po półnagich, wygłodniałych ludzkich strzępach. Gdy opętańcze tańce i wrzawa zamarły wreszcie, Conan mógł kontynuować:

– Wiedźcie, że nasze Czerwone Bractwo to nie tylko banda morskich grabieżców! Te czasy należą do przeszłości! Naszą siedzibą jest wyspa na północ stąd. Budujemy tam zamek i bezpieczną przystań. Twierdzą, z której pewnego dnia będziemy władać całym morzem Vilayet: Wolny Port Djafur! Potrzebujemy tam mężczyzn i kobiet. Nie niewolników, lecz wolnych rzemieślników i żołnierzy, by robili dla nas narzędzia i broń, zaopatrywali nasze statki, strzegli magazynów i murów. Ci z was, którzy mają dość morza i chcą nauczyć się kamieniarstwa, ciesielstwa i rolnictwa, wiedźcie, że w Djafur czeka na was strawa, schronienie i mnóstwo pracy. Ci, którzy chcą żeglować i walczyć tak jak my, mają szansę zostać postrachem morza! Zamierzamy zmyć krwią hyrkańskich i turańskich tyranów wschodnie i zachodnie wybrzeża Vilayet! – ponownie zabrzmiały entuzjastyczne okrzyki. Conan spostrzegł, że najżywszą reakcję wzbudzały słowa o łupieniu i rzezi. Domyślał się, że niewolnicy pochodzą z dziesiątków różnych narodów. Wyłapano ich jak zwierzynę i zagnano do morderczej pracy przy wiosłach. Na twarzach własnej załogi dostrzegał niedowierzanie: przysłuchiwali się jego przechwałkom i wyrażonym na głos marzeniom z równym zdumieniem, jak wyzwoleni wioślarze. Mimo to mówił dalej od serca: – Dbajcie dobrze o ten statek. Może nam się jeszcze przydać! Jego belki mogą stać się więźbą sklepienia mojego pałacu, a deski dachami waszych sadyb! Ta galera może również pływać dalej po morzu, jako część floty, niosącej naszą wolę jak huragan od brzegu do brzegu Vilayet! Możecie przelewać krew swoich ciemiężycieli i zagarnąć w swoje ręce bogactwa dwóch imperiów! – Conan nie przerywał oracji mimo rozbrzmiewającej na nowo radosnej wrzawy. Chciał mieć pewność, że rozentuzjasmowany tłum wykona jego rozkazy. – Jeśli chcecie wiosłować razem ze mną, Amrą z Czerwonego Bractwa, przyłączcie się do mnie. Jeśli jednak chcecie wieść żywot wolnych, dumnych piratów i łupić całe królestwa, będziecie musieli się przy tym natrudzić! Ta galera musi dopłynąć do Djafur, a potem zostanie rozebrana albo wzmocniona, jak

przystało na bojowy okręt! Najpierw trzeba jednak zmyć z niej odór niewolnictwa – szerokim gestem wskazał pokład wioślarski, po którego dnie przelewała się błotnista, krwawa breja. – Trzeba go wyszorować, splukać setkami wiader czystej wody i wypolerować. Ferdinald! Ivanos! Dopilnujcie tego! Obejmiecie dowodzenie nad naszą nową załogą... Niech wyrzucą za burtę te wszystkie ścierwa! Niech się wykapia, zmyją z siebie krew i brud, a później zabiorą do porządkowania statku!

Wyznaczeni oficerowie stanęli na wysokości zadania. Zorganizowali grupy wioślarzy do usuwania trupów i noszenia wiader. Innych wyznaczili do cięcia płótna na szmaty do czyszczenia pokładów. Rozpruto worek mąki i na palenisku na rufie ugotowano owsiankę. Dla uczczenia zwycięstwa wytoczono spod pokładu beczki ze skwaśniałym winem. Podły napitek smakował wyzwolonym wioślarzom jak najwytrawniejsza argosańska ambrozja. Niedawni niewolnicy zabrali się do pracy z radosnymi okrzykami, a nawet śpiewem.

Tymczasem żeglarze z „Dzierzby” odczepili haki abordażowe. Birema ruszyła za rufą zdobytego statku, po nawietrznej i poza zasięgiem cuchnącej brei chlustającej z luków odpływowych niewolniczej galery. Na pokład pirackiego okrętu zabrano niewiele łupu: tylko kufereki marynarskie zabitych oficerów i okutą żelazem szkatułę, którą zamierzano rozbić w dogodnej chwili. Ponieważ zdobyta galera dotąd krążyła regularnie między przybrzeżnymi hyrkańskimi miastami, można się było spodziewać, iż znajduje się tam złoto na zakup towarów i świeżych niewolników. Resztę żywności, towarów, sprzętu i broni pozostawiono na pokładzie zdobytego statku, na użytek wioślarzy i grupy piratów, która miała prowadzić go do Djafur.

Do tego czasu mgła rozproszyła się całkowicie. Dwa statki dryfowały w jaskrawym świetle dnia po spokojnej powierzchni pokrytego wodorostami morza. Na wschodzie widniała kreska stepowego brzegu. Zrywający się co chwilę wiatr pozwalał przypuszczać, że będzie można pożeglować na północ i dać wioślarzom wytchnienie. Na razie jednak powierzchnia morza pozostawała ciemna i gładka jak szkło. Niespokojni piraci unikali patrzenia w swoje odbicia w nieruchomej wodzie, lecz równocześnie narastała w nich chęć zajrzenia w zielonkawoczną pustkę, w której pograżyły się ciała zabitych...

W rezultacie pracowali gorliwiej niż zwykle. Pomagali nawet byłym niewolnikom w sprzątaniu galery i przygotowywaniu jej do dalszej drogi. Nie mieli ochoty beczynnienie czekać na wiatr. Nim nastąpiło południe, obydwie statki ruszyły na wiosłach na północ, odbijając od wybrzeża. Conan pozostał na pokładzie zdobytej galery, do czasu aż wioślarze złapali właściwy rytm, po czym przeskoczył z otoczonego spienioną wodą dziobu na rufę pirackiej biremy.

– Ruszajcie się żywiej, psy! – wrzasnął odwracając się. – Ciągnijcie za wiosła! Nie łaska nagiąć grzbietów?! No, już lepiej! Wiosłujcie, jeżeli chcecie ocalić swe żalodne skóry i napełnić brzuchy! Nie robicie tego dla nadzorców, lecz dla siebie. Płynicie do wolnego Djafur! Wiosłujcie, psy, po wolność i zemstę!!

## II

### KRWAWA STOLICA

Port Djafur prosperował w ostatnich latach dość niemrawo. Trwały właśnie i intrygi między pirackimi hersztami. Ostatnia z nich skończyła się śmiercią władającego Czerwonym Bractwem podstępnego kapitana Knulfa. Powszechnie zgadzano się, że spotkała go należyta kara za zdradliwe paktowanie z wrogami Djafur, uczynienie wyspiarskiego portu lennem turańskiego cesarstwa oraz porwanie kobietyl.

Obecnie, pod rządami kapitana Amry, miasto rozkwitało bardziej niż kiedykolwiek. Morskich grabieżców wspomagały jak zwykle wolne morskie plemiona, zamieszkujące Djafur i pobliski archipelag Aetolian. Rafy i wiry między wyspami sprawiały, że drogę do portu znali jedynie doświadczeni miejscowi piloci, co zabezpieczało go przed atakiem od strony morza.

Od łądu strzegły miasta plemiona wojowników pustyni, którzy pośredniczyli również przy przekazywaniu okupów. Położenie Djafur sprawiało, że był on dogodną bazą wypadową do napaści na kupców, którzy ośmielali się wypływać swoimi statkami na otwarte wody i nie lękali się pokonywać morza – Vilayet przepływając je w poprzek. Pozwalało to kapitanom jednostek handlowych nie liczyć się z płycznami i piratami grasującymi przy wybrzeżach. W zamian przychodziło im stawiać czoło mniej licznym, lecz groźniejszym rozbójnikom z Czerwonego Bractwa

oraz kryjącym się w morzu mało znanym niebezpieczeństwom.

Jak dotąd, większości kupieckich statków wciąż udawało się prześlizgiwać przez piracką sieć. Czerwone Bractwo zdołało jednak kilkakrotnie zdobyć bajeczne łupy. Wyczynami, które szybko obrosły legendą, były zagrabienie świętych klejnotów i odsprzedanie ich Hyrkanii, a także kradzież wielkiego okrętu wojennego prosto z cesarskiego portu w stołecznym Aghrapur2. Te i inne zwycięstwa przyniosły Djafur bogactwo i sławę, przekształcając senny niegdyś macecznik piratów w rozkwitający port, pełen ludzi, towarów i okrętów.

Obecnie energiczny Amra rozpoczął budowę własnego zamku na wzgórzu nad miastem, a raczej odbudowę ruin, które stały tam od wieków. Stawiano również nowe molo, falochrony, a u wejścia do portu bastiony z katapultami.

W Djafur roiło się od nowych twarzy, zarówno żeglarzy, jak i szczurów lądowych. Przybysze gnieździł się w namiotach, barakach i rozbudowanej ostatnio tawernie „Pod Krwawą Ręką”. Jej właścicielka Philiope cieszyła się wielkim respektem wśród piratów. Świeżo wyzwoleni niewolnicy i niedawno przybyli robotnicy trudzili się przy ociosywaniu kamieni na przyszły zamek oraz budowie statków. Z odległych miast sprowadzono kamieniarzy i cieśli okrętowych, którzy skuszeni wysokimi zadatkami lub schwytani na zdobycznych statkach kupieckich, dorabiali się lub czekali na zapłacenie okupu, realizując plany Conana.

Do tegoż rojnego portu wpłynęły właśnie dwa statki: piracka birema „Dzierzba” i jej najnowsza zdobycz, kupiecka galera o okrągłym kadłubie.

Mający za sobą wyprawę, którą trudno było nazwać owocną, piraci nie wyglądali na najszcześniejszych. Natomiast na ogorziałych twarzach obszarpanej załogi galery widniały uśmiechy od ucha do ucha. Wolni od niedawna marynarze podpłynęli do brzegu, schowali wiosła na pokład i wyskoczyli żwawo na ląd, by zamocować obydwie statki. Na widok przetaczających się między muszlami na przybrzeżnej płyciźnie czaszek i wybielonych przez słońca wodę kości część nowo przybyłych zaczęła mamrotać modlitwy do swych bogów. Był to zwykły widok w tym pirackim porcie nękanym niegdyś krwawymi waśniami i zbójceckimi porachunkami. Posępne szczątki nie wadziły tutaj nikomu, o ile nie panowała cisza na morzu.

Conan wyznaczył ludzi do rozładowania obu okrętów. Najpierw miano wynieść z nich żywność i broń. Amra wypłacił piratom żołd w złocie z własnych zapasów i zdobytego na galerze kufra, oraz rozkazał oficerom, by zatroszczyli się o byłych galerników. Diccolo odprowadził większość obszarpanej zbieraniny do obozu robotników, nadzorowanego przez ludzi z morskich plemion pod komendą wodza Hrandulfa. Tam na wyzwolenców czekało dobre jadło, dach nad głową i ciężka praca przy fortyfikowaniu portu. Odeszli z nadzieją, że każdy los jest lepszy od niewolniczej harówki przy wiosłach.

Niektórzy z pozostałych galerników twierdzili, że znają się na stolarstwie i ciesielstwie okrętowym. Stary Yorkin zaprowadził ich więc do stoczni. Wiele z półnagich i młodych jeszcze kobiet oddaliło się w towarzystwie członków pirackiej załogi. Pozostałym byłym niewolnikom, którzy wyrazili chęć zasilenia pirackich załóg, wypłacono po parę drachm srebra jako zadekatek przysługę żołdu. Nakazano im mieć uszy otwarte i być gotowymi do szybkiego wyruszenia na następną wyprawę, podczas której zostanie wypróbowana ich przydatność do pirackiego rzemiosła.

Conan podobnie jak większość jego załogi poszedł prosto do tawerny „Pod Krwawą Ręką”, gdzie znajdowała się jego tymczasowa siedziba i skarbiec. Kanciasty gmach, zbudowany frontem do zatoki z wyrzuconych przez morze szczątków rozbitych okrętów, dominował nad plażą przy wejściu na molo. Ostatnio dobudowano nowe skrzydło lśniąca świeżym drewnem. Grupa piratów szła, omijając rufy wyciągniętych na plażę statków. Potem hurmą wkroczyli do izby biesiadnej przez łukowato sklepione wejście od strony morza.

Philiope, która odziedziczyła tawernę po śmierci Knulfa, wiedziała już o powrocie Conana. Przywitała swego kapitana uściskiem i namiętym pocałunkiem. Na stole czekał na niego dzban z piwem. Już dość dawno temu właścicielka tawerny uznała, że warto publicznie obdarzać Conana dowodami swojej namiętności. Piratom nigdy nie było dość przypominania, że ona i jej przybytek znajdują się pod opieką cieszącego się powszechnym respektem kapitana i nie warto z nią zadzierać.

Conan ze swojej strony nie protestował. Philiope – olśniewająca pięknością o kruczoczarnych włosach, ubrana w głęboko wyciętą turańską suknię, witała go w sposób, o jakim mógł marzyć każdy żeglarz. Szmer w tawernie ucichł na widok zapamiętałego uścisku tych dwojga. Gdy Conan zajął miejsce na ławie i posadził

sobie dziewczynę na kolanach, zabrzmiało kilka gwizdów i znaczących chrząknięć.

– I jak przebiegła wyprawa, kapitanie? – rozległy się nieuniknione pytania zebranych przy głównym stole kapitanów. Były tu dwie kobiety, Brylith i Santhindrissa, dwaj byli podwładni Conana – Ivanos i Ferdinald oraz Hrandulf, pijący wino wraz z dwoma innymi wodzami morskich plemion.

– Wystarczająco dobrze dla moich celów – oświadczył Conan. – Moi piraci, niech Dagon zmiłuje się nad tymi szelmami, nie mają pojęcia, jaką wartość ma porządny statek i hurtowy ładunek. Nie przychodzi im do głowy, że może się to przydać ich macierzystemu portowi i szczerom lądowym, ani to, że dzięki temu wieśniacy będą mogli nas wyżywić, gdyby było ciężko o nowe łupy. Zbyt przyzwyczaili się spędzać życie na pijackich burdach, by myśleć o przyszłości – oznajmił głośno, by dotarło to do uszu obecnych w tawernie członków jego załogi. – Może rozdzielę wśród nich premię z własnej części łupu – dodał zniżając głos. – Będę ich potrzebował podczas kolejnych takich wypraw... Zaręczam jednak, że dzięki temu wszystkim nam będzie się żyło dostatnio.

– Z niewolniczych kryp – zauważyła cierpko Santhindrissa. Potrząsając głową, wysoka Stygijka, obdarzona jastrzębim nosem i jak zwykle skąpo odziana w skórzane bryczesy i parę rzemieni skrzyżowanych na piersiach, utkwiała wzrok w Conanie i piękności o bujnych kształtach na jego kolanach. – To marnotrawstwo czasu i wysiłku, w porównaniu z dawnymi wyczynami Amry!

– Owszem, ale to bezpieczniejsze – jednooka Brylith, piratka o urodzie i manierach kushyckiej słońcy, złośliwie zgodziła się z Cymmerianinem. – Może włóczenie się przy brzegu w poszukiwaniu łatwej zdobyczy to mądra taktyka. Wszystkim przecież wiadomo, że Turańczycy zapłacą tysiąc talentów każdemu, kto dostarczy im trupa Amry, by wystawić go na Placu Świątynnym w Aghrapur – mrugnęła porozumiewawczo jedynym, prawym okiem. – Słusznie ostrzegano Amrę przed niebezpieczeństwem wynikającym z nadmiernej sławy. Nie mogę powiedzieć, że winie go za to, że się przyczaił.

– Przestań, Brylith! – odparł spokojnie Conan. – Przemawia przez ciebie złośliwość. Pamiętaj, że to mnie zawdzięczasz statek, którym dowodzisz – uniósł do ust dzban z pieniającym się piwem. – Gdyby nie to, nadal wiosłowałabyś na okręcie naszej Santhindrissy – dodał, kiwając głową ku wyższej kobiecie.

– „Zwycięzcy” należy do niej tak samo, jak „Izba Tortur” do mnie! – zirytowała się Stygijka. – Zapłaciła ci za ten okręt solidnym, kolchiańskim srebrem, które, pozwolę sobie przypomnieć, pożyczyłam jej z własnych zapasów.

– Jeżeli jest to dla ciebie kwestia wierności, nie zamierzam się z tobą spierać. – Conan z łoskotem odstawił dzban. – Jesteśmy bractwem niezależnych kapitanów. Jeżeli chcemy, możemy podporządkować się innemu albo zachować niezależność.

– Wolałabym, żeby to nie było Bractwo, lecz Siostrzyce – powiedziała stanowczo Santhindrissa.

– Nieważne – odpowiedział Conan. – To, co planuję, przyniesie korzyści nam wszystkim. Każdy kapitan, który patrzy w przyszłość, powinien zaciągnąć się pod moje rozkazy.

W trakcie rozmowy Philiope ześlizgnęła się z kolan Amry i zabrała opróżniony dzban, by napełnić go ponownie. Jej odejście nie wiedzieć czemu poprawiło zły humor Santhindrissy.

– Co do planów na przyszłość, obmyśliśmy kilka, nad których wykonaniem należy się zastanowić – odezwał się Hrandulf. Na pierwszy rzut oka widać było, że ten przysadzisty, szpakowaty mężczyzna o szerokim nosie i zaplecionej w drobne warkoczki brodzie ma znacznie wyższą rangę niż dwóch pozostałych wodzów, z którymi dzielił dzban wina. – Gdy tylko skończy się budowa portowych fortyfikacji, wprowadzanie obcych statków do Djafor stanie się bezpieczniejsze. Nie będzie już potrzeby zabijać oficerów, uwalniać wioślarzy i zabierać towary – odczekał, aż zebrani przy stole wchłoną jego słowa. Spotkały się one z chmurnymi spojrzeniami piratów i niepewnymi przytaknięciami wodzów morskich plemion. – Wiem, że zerwanie z łupieniem okrętów to myśl niemiła dla piratów – kontynuował. – Jednak dzięki temu Djafor może stać się porządnym portem, a na handlu zyskamy wszyscy. Statki nie będą nas omijać, lecz zawiązać tutaj, zwłaszcza przed podróżą w poprzek Vilayet.

– To haniebny pomysł! – pojawił się, o co chodzi, Brylith chwyciła rękę noża. – Jeżeli Djafor stanie się portem handlowym, to niedługo piractwo w ogóle zostanie tu zakazane! Nasi bracia i siostry będą ścigani na tych wodach jako pospoliccy rozbójnicy! – zdrowym okiem powiodła podejrzliwie po pozostałych

dowódcach pirackich okrętów.

– Niekoniecznie, droga Brylith – odparł ojcowskim tonem Hrandulf. – Ochronę otrzymają tylko niektóre statki, a mianowicie te, które szczerze zapłacą Bractwu za ten przywilej. Inne nadal będą naszą zwierzyną...

– To, o czym mówisz, to uczciwe korsarstwo – powiedziała Brylith, marszcząc z dezaprobatą brew. – Ja wolę zwyczajne, bezstronne piractwo! – mimo gniewnych słów zdjęła dłoń z rękojeści sztyletu.

– Okolice tych wysp to niebezpieczne wody. – Conan zwrócił się do Hrandulfa. – Do tej pory było dla nas zbawienne, że większość statków, a zwłaszcza cesarskich okrętów wojennych o dużym zanurzeniu, nie była w stanie dotrzeć do Djafur o własnych siłach.

– Właśnie – odparł wódz, kiwając głową z uśmiechem. – Dlatego właśnie zmierzające do Djafur galery muszą brać na pokład pilota z któregoś z morskich plemion płacąc odpowiednią cenę. Piraci przeważnie postępują tak samo. Nasze łodzie mogą czekać u wejść do kanałów na statki kupieckie, które zawrą z nami umowę, i będą pobierać ustaloną z góry opłatę. Jak zwykle będziecie również otrzymywać od nas wieści o spostrzeżeniu cesarskich okrętów wojennych.

– Na tych wodach roi się od piratów różnej maści – rzekł Conan, rzuciwszy znaczące spojrzenie Santhindrissie. – Nie wszyscy respektują prawa naszego Bractwa. Gdyby obcy piraci zaczęli atakować statki, prowadzące handel z Djafur...

– Wtedy najlepszą ochronę zapewnią okręty, pełne uzbrojonych zabijaków, prawda? – Hrandulf wpadł mu w słowo. – Będziecie mogli udzielać jej każdemu chętnemu statkowi, bez względu na to, dokąd się kieruje.

– Myślałem o tym samym – stwierdził Conan z uśmiechem. – Możemy walczyć za uzgodnioną w kontrakcie zapłatę lub, powiedzmy, za połowę zysku z towarów. Szczegóły można uzgodnić później.

– Zamienimy się z prawdziwych piratów w żandarmów morza – burknęła Brylith, skubiąc strup na ranie od miecza na ramieniu. – Musimy wyznaczyć wysokie stawki za tak nudną robotę.

– Nie przejmuj się za bardzo, kochanie – poradziła jej Santhindrissa. – Zawsze będziemy miały dosyć statków do złupienia.

– Owszem – rzekł Conan. – Najlepsi z nas po prostu będą wyprawiali się dalej na lepiej zaopatrzonych okrętach. Teraz coraz jeden ładunek dobrego, kolchiańskiego drewna, a spuścimy statek z pochylni – powiedział, unosząc puchar do okolonych szczecina ust. – Zadbaj też, by miał bezpieczną przystań, ponieważ nie będzie go można wyciągnąć na brzeg!

– Do tego czasu powinien zostać ukończony nowy falochron – odparł Conan. – Podobnie dok do rozładunku łupów. Przejrzyj statek, który przyprowadziłem, czy znajdziesz jakieś przydatne ci drewno – zaproponował, przypomniawszy sobie zdobytą galerę. – Ta krypa ma za szeroki kadłub, by nadawała się na dobry okręt piracki.

– Skoro postanowiłeś rozbierać statki, kapitanie, daj mi omasztowanie i poszycie pokładu cesarskiego trójrzędowca, który ukradłeś – powiedział Ferdinald, osuszył puchar i podsunął go Philiope do napełnienia. – Ta zdobycz nigdy ci nie posłuży jako okręt piracki. Jest zbyt wielka i niezgrabna, by ścigać statki kupieckie, a obsadzenie jej pełną załogą, a tym bardziej wyprawienie w morze jest zbyt kosztowne. Nie ma sensu pozwalać, żeby rozsychała się na brzegu.

– Nie, „Bezlitosny” to dobry okręt – odrzekł Conan. – Życzę sobie, żeby pozostał nie naruszony. Crom jeden wie, że któregoś dnia może się nam przydać. Będzie dość okazji podczas czekających nas Bractwo walk.

Gdy wniesiono kolację – wyjątkowo zamiast ryb duszoną cielęcinę, wszyscy zabrali się do jedzenia. Na sali, poczawszy od głównego stołu, od którego zaczęto rozdzielać potrawę, zapanowała cisza. Przez jakiś czas słychać było wyłącznie chrzęst bochnów chleba i skrobanie łyżkami o drewniane misy. Potem w izbie znów rozległy się śmiechy, bekanie i głośne wołania o trunki. Niebawem muzyka i śpiewy sprawiły, że ujawnili się zagorzali tancerze.

Znużony rozmową o ważnych sprawach Conan pociągnął Philiope za łokieć, dając jej znak, by wyszła z nim z tawerny. Gospodyni nie opierała się. Od czasu kiedy przejęła własność Knulfa, „Krwawa Ręka” stała się eleganckim, według pirackich pojęć, przybytkiem. Bardziej przypominała teraz pachnący kwiatami zamtuz niż tawernę. Jadła i trunków jednak jak zawsze nie brakowało, a morscy rozbójnicy stawali się coraz bardziej podochoceni. Za kilka rodzin, gdy mniej fortunni hazardziści przegrają wszystkie pieniądze, rozpoczną się poważne bójki. Dlatego



też dziewczyna pozwoliła się wywabić na zewnątrz.

– To miasto staje się z każdą godziną tłoczniejsze – mruknął Conan, łokciami torując sobie drogę pośród pijaków, obiboków i rzezimieszków, którzy wylegli na przylegającą do portu uliczkę. – Niedługo Djafur będzie mógł rywalizować z wielkimi zachodnimi portami między Kordawą a Asgalunem – złapał jednego z obszarpanych darmozjadów za kołnierz i odepchnął go pod ścianę. Wywołało to przekleństwa i powitalne okrzyki tych, którzy rozpoznali Amrę i z lękiem ustępowali mu drogi. – Chociaż, prawdę mówiąc, Djafur leży na wyspie i nie może się rozrastać – dokończył myśl.

– Może tak jest dla nas najlepiej – powiedziała Philiope, obejmując go w pasie i skłaniając kruczoczną głowę na jego obnażony tors. – Dzięki temu łatwiej będzie nim władać.

– Owszem. Piraci znają mnie i powstrzymują się od nieprawości na mój widok – by zilustrować swoje słowa, kapitan rzucił srogie spojrzenie grupce żłopiących grog obszarpańców, którzy natychmiast odwrócili wzrok lub wzniesli kubki w nieszczerym pozdrowieniu. – Jest tu mnóstwo łotrów, których nawet ja muszę się strzec, gdy tylko znajdą się bliżej, niż niesie wioślarski bęben...

– A z Aghrapur i innych miast przybywa coraz więcej obcych twarzy...

– Istotnie. Na pewno są wśród nich szpiedzy i spiskowcy – osłaniając Philiope ramieniem, Conan wszedł w ciemną uliczkę, prowadzącą pod górę między dwoma rzędami rybackich chat. – Moim piratom brakuje lotności umysłu, lecz wciąż szerzą się prawdziwe i fałszywe wieści o tym, jak wysoko postawionych wrogów sobie narobiłem i jakie nagrody wyznaczono za moją głowę... Cóż, muszę zwracać uwagę nawet na niektórych moich dawnych towarzyszy.

Philiope pokiwała głową i przytuliła się ciałniej.

– Widziałam już, jak to wygląda w Turanie. Członkowie cesarskiego dworu zachowują się jak cyrkowi akrobaci. Gdy jeden z nich wespnie się na szczyt, jego pomniejsi rywale czekają tylko, by wyskoczyć w górę, wykorzystując siłę upadku... jego lub jej.

Conan skwitował jej słowa mruknięciem.

– Dlatego chcę mieć własny zamek. Kiedy stoję na pokładzie mojego okrętu, czuję się bezpieczny, chociażbym był nagi. Zdobędę każdy okręt bez względu na jego wielkość i jeśli potrzeba, dam szkołę łotrom z mojej załogi, chociaż byłaby ich cała szajka. Zresztą większość tych szelm i tak poprze mnie, bo dobrze mi życzy lub zbyt się mnie boi – potrząsnął z zadumą czarną grzywą. – Jednak tu, na lądzie, gdzie można szemrać i spiskować poza zasięgiem mojego słuchu... Nie mam ochoty nie spać po całych nocach, spodziewając się zabójczej strzały czy zatrutego kielicha.

Skalista ścieżka stawała się coraz bardziej stroma. Droga prowadziła między rzadko rozrzuconymi chatami o niskich ścianach, osłoniętych drzewami oliwnymi i owocowymi sadami. Za plecami Conana i Philiope rozlegały się stłumione odgłosy miasta. Na oświetlonym złotym światłem nadbrzeżu trwała piracka biesiada. Cymmerianin i jego kobieta zostawili za sobą portowy smród. Powietrze wokół nich przenikała teraz woń jaśminu, kwiecica grusz i kolendry.

Obydwoje skręcili na ścieżkę, pnąc się ku górującym nad miastem wzgórzom. Na udeptanej stopami robotników dróżce niedawno pojawiły się wyżłobione przez wozy koleiny. Szlak zataczał kilka serpentyn, oferując coraz wspanialszy widok na djafurską zatokę i zalane blaskiem księżyca otwarte wody Vilayet, poprzegradzane licznymi, łamiącymi fale rafami. Na koniec ścieżka doprowadziła wędrowców na płaskowyż.

Był to okolony skałami, częściowo ogrodzony trudnymi do pokonania wyniosłościami cypel, na którym siał zrujnowany zamek. Obecnie na jego miejscu budowano nowy. Dookoła widać było bloki ociosanego kamienia, stożkowate kopce zaprawy i sterty drewna. Budowy nie strzeżono, ponieważ nie było tu nic, co mogłoby wpaść w oko piratom. Wiekowe mozaiki na posadzkach sąsiadowały z nowymi płytami, większość ścian uzupełniono prostą, gładką kamieniarką. Kilka wysokich kolumn i łuków stało samotnie, czekając na nie wybudowane jeszcze mury.

– Tu byłaby wspaniała sypialnia. – Philiope, wymknawszy się spod ramienia Conana, weszła na taras z ułożonych w szachownicę płyt, z którego roztaczał się widok na miasto i zatokę. – Mogłabym z pościeli patrzeć, jak wpływasz do portu. Byłabym spokojna, że zdążę pozbyć się kochanków, zanim tu dotrzesz – odwróciwszy się szybko, podeszła do niego po zalanej blaskiem księżyca posadzce, wspięła się na palce i wycisnęła pocałunek na jego nachmurzonej brwi. – Żartowałam, kochany. Nie ma nikogo prócz ciebie.

– Jeśli zechcesz wziąć sobie kochankę, wybór należy do ciebie. – Conan wzruszył ramionami. – I do niego, o ile się ośmieli. Pamiętaj tylko, by nie knuć z nim planu zamordowania mnie.

– Nie mów tak, Conanie. Nie wierzę, bym kiedykolwiek zapragnęła innego mężczyzny – odwróciła się. – Powiedz mi, czy nasze łóżko stanie właśnie tutaj?

– Mm, nie. – Cymmerianin zmarszczył brwi i ponownie potrząsnął głową. – Raczej katapulty – ujrzawszy nie rozumiejące spojrzenie Philiope, wytłumaczył: – Z tego miejsca można ostrzeliwać plażę, miasto i najbezpieczniejsze kotwiczowisko. Z ciężkiej maszyny najlepszego turańskiego typu da się miotać głazy ważące tyle co ty – klepnął ją mocno po wypukłości pośladka.

– Dlaczego ci na tym zależy? – Philiope popatrzyła na zatokę i morze. – Sam powiedziałaś, że Djafur chronią rafy. Spodziewasz się oblężenia?

– Jak do tej pory, płycizny wokół wysp dobrze nas strzegły – położył rękę na jej gładkim ramieniu. – Pamiętaj jednak, że wystarczy czyjaś zdrada, a tego zawsze trzeba się obawiać. Jeżeli tylko któreś z morskich plemion zbuntuje się i przydzielą pilotów cesarskim okrętom, Yildiz nas znajdzie. Chociaż mamy dzielnych wojowników, nie wiem, czy zdołalibyśmy powstrzymać wroga przed zablokowaniem portu i spaleniem naszych statków. Żaden port nie jest na tyle bezpieczny – rozejrzał się po nie wykończonych ścianach i uniósł dłoń. – Jednak zza murów dobrze zaopatrzonego zamku, mając załogę wiernych piratów, stawię czoło każdemu, kto zechce wdrzeć się do portu – uśmiechnął się do niej. – Flota nie zdobędzie tego wzgórza bez pomocy z wewnątrz. Djafur to najlepszy port w tych okolicach. Jeżeli nie pozwolę nikomu zająć miastem, to wkrótce stanę się panem północnej połowy morza Vilayet.

– Będziesz tu również bezpieczny przed innymi piratami. – Philiope zwróciła oczy w stronę portowych świateł. – Bo pewnego dnia możesz im zacząć przeszkadzać...

– Istotnie, ale nie obawiaj się. Jeśli kiedyś przyjdzie im do głów skrzyknąć się przeciwko mnie, powinni też zdać sobie sprawę, że lepiej jest stanąć po mojej stronie – roześmiał się. – Bądź pewna, że nie szykuję się do ostrzeliwania miasta ani zatapiania okrętów naszych przyjaciół. Nasze losy są związane – wziął Philiope w ramiona i zaczął całować jej brwi, twarz, szyję. – A co do naszej sypialni, nie obawiaj się; będzie jeszcze wspanialsza i wyżej niż tutaj.

– Podoba mi się tu. Jest cieplej niż na plaży – oderwawszy się od Conana, dziewczyna rozpuściła gęste czarne włosy, które zaczął rozwiewać wiatr. – Mury są równie ciepłe jak płyty posadzki...

Usiadła na niskim kamiennym parapecie i zsunęła sandały.

– Lepiej widać stąd gwiazdy – zauważył Conan obejmując ją i spoglądając w niebo. – Gdybyż top mojego masztu sięgał równie wysoko, kiedy żegluję w mgliste wieczory...

– Nie bój się, postawię twój maszt i znajdę dla ciebie port – rzuciła figlarnie, po czym wysunęła mu się z rąk i stanęła wyprostowana. – Najpierw jednak zrefuję trochę zbędnego ożaglowania.

Sięgnęła do zapięcia sukni i pozwoliła jej opaść do bosych kostek.

– W takim razie gotuj się do abordażu – powiedział Conan chrapliwym głosem, zrywając się na równe nogi.

Philiope ze śmiechem rzuciła się do ucieczki, migając obnażonymi nogami. Cymmerianin i gibka, naga dziewczyna zniknęli w cieniu.

### III

#### SPISKI PRZED BURZĄ

Wysoki Poseł Hyrkanii Adi Bukbul wysiadł z godnością, z powozu. Wspaniałe pojazdy pokryte były arkuszami złotej blachy wykładanej kością słoniową oraz lapis-lazuli. Jego pokryty łuską dach z miniaturowymi minaretami przywodził na myśl ruchomy meczet wyznawców boga Tarima. Wystawność przesłanego przez cesarza Yildiza powozu wręcz oślepiła w promieniach południowego słońca, mimo to Adi Bukbul miał znudzoną minę. Wymagało tego znaczenie jego misji i hyrkańska duma.

Splendor dworskiego powozu był jednak niczym w porównaniu z wspaniałością cesarskiego pałacu w Aghrapur. Przed Adi Bukblem wyrosła olbrzymia, rozłożysta, idealnie obliczana wyszlifowanymi marmurowymi płytami budowla z piętrzącymi się jedna nad drugą kopułami i strzelającymi w górę Wieżycami. Wykazując dyplomatyczne poczucie miary, poseł poświęcił pałacowi jedynie przelotne spojrzenie, a następnie z lekceważącym zmarszczeniem brwi omiótł wzrokiem bogate

stroje gwardii pałacowej. Większość straży na dziedzińcu stanowiły bowiem kobiety, prezentujące broń przed przejeżdżającym powozem.

Poseł musiał z niechęcią przyznać, że także ciągnące go konie zasługiwały na uwagę. Wspaniałe wierzchowce o doskonale wyszczotkowanej sierści barwy miodu miały splecione w warkocze płowe grzywy, przewiązane połyskującymi, złotymi wstążkami. Wyborne, pełne temperamentu zwierzęta miały tylko jedną wadę: były zbyt masywne jak na gust Bukbula. By unieść stepowego jeźdźca, jego miecz, łuk oraz zapasy żywności na kilka dni, wystarczyłyby o wiele mniejsze wierzchowce. Tak ciężkie konie opadłyby z sił po kilkudniowym pościgu. Ich szybkość i wytrzymałość były na pewno niewystarczające wobec trudów przeciągającej się wyprawy wojennej.

– Jego Wielmożność Poseł Pierwszej Rangi i Ambasador Hyrkanii Adi Bukbul! – zabrzmiał donośny głos eunucha.

Tytuł Hyrkańczyka odbił się echem od sklepionego potrójnym łukiem portyku i poniósł się po szerokich marmurowych schodach w głąb kapiącego złotem pałacu. Było to jednocześnie oznajmienie jego przybycia i wezwanie. Adi Bukbul pilnie baczył, by nie wchodzić po schodach zbyt szybko. Nie chciał sprawić wrażenia nadgorliwości lub co gorsza służalczości.

Turańscy władcy również nie wykazywali pośpiechu. Lekko zbrojna straż poprowadziła posła przez wystawny przedsionek, drugi ciąg łuków i przeładowana lśniącymi ozdobami salę balową. Adi Bukbula nie poprowadzono jednak, jak oczekiwał, do okraszonych kopułami i wieżycami górnych partii pałacu, lecz w dół, krętymi schodami z szeroką alabastrową poręczą. U jej podnóża rozpościerał się wykładany mozaiką korytarz, rozjaśniony światłem dziennym padającym przez filigranowe okna umieszczone tuż pod sklepieniem. Korytarz kończył się dwuskrzydłowymi drzwiami z brązu, których powierzchnia pokryta była zieloną patyną. Straż honorowa zatrzymała się tu, szcęknięła halabardami o posadzkę, po czym otworzyła obydwa skrzydła. Majordomus w wysokim turbanie uklonił się głęboko i wytwornym gestem obleczonej w rękawiczkę dłoni zaprosił hyrkańskiego posła do rezonującej echem sali, w której oczekiwało go trzech mężczyzn.

Witać cię to wyjątkowa radość. Nazywasz się Adi Bukbul, czyż nie? – najniższy i najbardziej krępy z obecnych, człowiek starszy już, o rumianej twarzy, zerwał się z miejsca, by powitać gościa. – To ja jestem cesarz Yildiz. Bardzo mi miło cię poznać – zorientowawszy się, że poseł nie ma ochoty zachodnim zwyczajem uścisnąć dłoni gospodarza, cesarz zadowolili się energicznym poklepaniem go po ramieniu. – Ten wysoki kij od szczołki to mój syn, książę Yezdigerd – przyszły Imperator Turanu – skinieniem głowy wskazał całkiem zwyczajnie odzianego młodzieńca, z którym łączyło go niewątpliwe rodzinne podobieństwo. – A to mój główny architekt, Nepheth Ali.

Wskazany możnowładca nosił najmodniejszy strój: obszerną jedwabną koszulę, szeroki pas, pantalone, wielki luźny turban i pantofle z frędzlami ze złotogłowi. Gdyby nie prezentacja, Adi Bukbul uznałby, że właśnie ten mężczyzna w najbardziej dostojnych szatach jest cesarzem Turanu. Tak czy owak Adi Bukbul, noszący prostszy i praktyczniejszy strój, składający się z luźnej koszuli, puchowej kamizelki, jeździeckich bryczesów z wąskim pasem i wysokich butów, był zdania, że wszyscy mieszkańcy zachodniego mocarstwa wyglądają zbyt zniewieściale.

Poseł odpowiedział na powitanie sztywnym ukłonem i popatrzył podejrzliwe na koniec sali.

– Sprowadzono mnie tu na dyplomatyczną konferencję, czy abym zażył kąpieli? – zapytał, ponieważ, za tarasem, na którym stali, znajdował się wykładany turkusem basen o nieruchomej jak lustro powierzchni.

– I to, i to, jeżeli masz ochotę – odpowiedział cesarz Yildiz z łagodnym uśmiechem. Odwróciwszy się, powiódł gościa w stronę księcia i ministra. – Prawdę mówiąc, zawsze gdy dyskutujemy o przyprawiających o ból głowy sprawach państwowych, staram się zapewnić rozmówcom wszelkiego rodzaju rozrywki. Moją dewizą jest w każdej sytuacji przedkładać przyjemności nad obowiązki.

Zatrzymawszy się przed niskim stolikiem, otoczonym czterema wykwintnie rzeźbionymi krzesłami i zastawionym wędlinami oraz winem i słodyczami, cesarz uniósł dłoń w górę i głośno przytknął palcami.

– W porządku, dziewczeczki, możecie zaczynać! Panowie, częstujcie się, czym sobie życzycie.

Z przylegającego pomieszczenia wyszły cztery pulchne kobiety i zaczęły krzątać się wokół obecnych. Adi Bukbul został ujęty pod ramiona i usadzony na

stercie poduszek, którymi wymoszczono jego krzesło. Usługujące mu kobiety były zapewne ważniejszymi z mieszkanek haremu, gdyż zamięłowanie Yildiza do obfitych, żwawych matron było powszechnie znane. Mimo swej niewątpliwie wysokiej rangi nałożnice były bardzo lekko ubrane. Na widok tych bujnych piękności Adi Bukbul z dezaprobatą zacisnął usta. Kobiety o pulchnych kształtach nie cieszyły się uznaniem w Hyrkanii. Nigdy żadnemu Hyrkańczykowi nie przy szłoby do głowy, by przeciążać swojego konia, zabierając na jego grzbiet taką matronę. Stepowi jeźdźcy preferowali u kobiet, podobnie jak u swych wierzchowców, lekkość i zwinność. Widok kobiecości pełnej dołeczków i wypukłości był dla Adi Bukbula jeszcze jednym dowodem upadku zachodniej monarchii.

– Racz tylko wskazać, jakie masz życzenia. Minister Nepheth Ali, którego ramiona masowała zmysłowymi ruchami piersiasta nimfa o rubinowych ustach, mrugnął znacząco do posła. Tę regułę życia na turańskim dworze uświadomiło Adi Bukbulowi natychmiastowe sięgnięcie przez służącą po faszerowaną słodyczami rybę, w której stronę zbłądziło spojrzenie posła. Kobieta schyliła się błyskawicznie ku złotej tacy, wzięła w dłoń z pomalowanymi na purpurowo paznokciami ciężko strawny frykas i płynnym ruchem podsunęła go Adiemu pod nos. Hyrkańczyk odwrócił głowę z niesmakiem i odsunął od siebie jej rękę. Siłac się na zachowanie resztek godności, spojrzał na siedzącego po lewej cesarza.

– Poczytujemy sobie za wielką łaskę, że trudy rządzenia możemy łagodzić prostszymi i mniej kłopotliwymi przyjemnościami rzekł łaskawie Yildiz spoglądając na basen, w którym właśnie zaczęły się pluskać dwie nagie nałożnice.

Istotnie – odparł mrukliwie ambasador, nie siłac się nawet, by powieść wzrokiem za rozczulonym spojrzeniem gospodarza. – Wolałby m jednak podyskutować o gromadzeniu cesarskich legionów przy kolchiańskiej i zaporoziańskiej granicy, jak również o nasileniu działań turańskiej floty w południowej części Vilayet.

– Och, oczywiście. Przecież po to tutaj jesteśmy. – Yildiz rozpromienił się, zwracając spojrzenie ku gościowi. – Twoja wizyta to również dowód nieustającej dobrej woli obu naszych sprzymierzonych cesarstw, dwóch ludów, połączonych nierozzerwalnymi więzami kultur) i dziedzictwa.

Słyszac te słowa, Adi Bukbul zeszytniał.

– To, czy Hyrkania i Turan stanowią dwa odrębne narody, to J dyskusyjna kwestia – stwierdził surowym tonem. – Wasze królestwo było zrazu hyrkańską kolonią, zachodnim przyczółkiem wspaniałego mocarstwa, stworzonego w pocie i bólu przez naszych przemierzających stepy praprzodków. Przypominam, panie, że jesteśmy ludźmi jednego ducha i krwi! Trwanie naszego przymierza to konieczność!

– Czyż mogą to wyrazić bardziej prawdziwe słowa? – odezwał się książę Yezdigerd niezwykle uprzejmym tonem. – Nasze narody łączy wszak ten sam język i podobne obyczaje. Ustroje i naszych imperiów są podobne. Czy to ważne, że ośrodek kultury przeniósł się na zachód? Nie ma wątpliwości, że zamożność i potęga Turanu – niedbałym gestem wskazał ogrom pałacu, w którym się znajdowali – wspiera się na twardych i zdrowych hyrkańskich korzeniach.

Adi Bukbul dotkliwie odczuł tkwiące w tych słowach żądło ironii i przyjął wypowiedź księcia bez uśmiechu.

– Jesteśmy jednym ludem, znanym światu jako rasa hyrkańska – oznajmił twardo. – Na nieszczęście potomkowie niektórych naszych zachodnich kolonii odwrócili się od dawnych bogów, by szukać azylu pod skrzydłami fałszywej, obcej wiary.

– Najszacowniejszy gościu, pozwól, że skoryguję oszczerstwa, jakie niektórzy rzucają na naszą religię – tym razem zeszytniał Yezdigerd. – Kult proroka Tarima to rodzima turańska wiara, najwyższe osiągnięcie współczesnej moralności i filozofii. – Książę siedział naprzeciw Adi Bukbula, plecami do krytego basenu, dzięki czemu ambasador miał jego pełną świętego oburzenia twarz wprost przed sobą. – Nową wiarę mogą z łatwością przyjąć obydwie nasze narody. Zaiste, powinni poznać ją wszyscy, a zwłaszcza Hyrkańczycy!

– Wystarczy, mój chłopcze – upomniał syna cesarz Yildiz. – Będiesz miał dosyć czasu, by nawracać naszego gościa, kiedy zakończy się oficjalna część jego wizyty. Na razie zajmijmy się tym, co interesuje każdego prawdziwego mężczyznę, czyli cielesną sprawnością i kobiecymi wdziękami!

Skinieniem dłoni wskazał nabierające rozmachu wydarzenia w basenie. Kilka służących, tym razem szczuplejszych, zgrabniejszych i bardziej atletycznej budowy, wrzuciło do wody jaskrawe pontony. Hurysy odziane tylko w przejrzysty muślin parami posiadały okrakiem na pontony i przygotowały się do odbicia od brzegu. Każda z nich chwyciła tyczkę z nadmuchanymi pęcherzami na końcach, pełniącą rolę wiosł. Przedmioty te służyły również jako broń, co okazało się,

gdy dwa pontony zbliżyły się do siebie na środku basenu. Obydwie załogi starały się pchnięciami tyczek zrzucić przeciwniczki do wody. Wymachiwanie drążkami, chlapanie i towarzyszące temu krzyki i piski stanowiły istotnie wyśmienitą zabawę... która hyrkańskiemu emisariuszowi wydawała się dziecinna i niedorzeczna.

– Przyjrzyj się temu dokładniej, ambasadorze – powiedział przyjaźnie Nepheth Ali, spoglądając przez ramię na Adi Bukbula. – Przemierzywszy szmat drogi, by złożyć wizytę w Turanie, masz okazję ujrzeć na własne oczy to, w czym jesteśmy mistrzami: zmagania na szerokich wodach! – wznosił do ust złoty puchar, lecz po chwili, gdy ocierał wargi grzbietem dłoni, zorientował się, że poseł najwyraźniej nie pojął żartu. – Wiesz przecie, że Turan miał zawsze wyśmienitą flotę – dokończył przepraszającym tonem.

– Prawda jest taka, że ziemie, na których powstała turańska kolonia, zostały zdobyte przez hyrkańską konnicę, która okrążyła Południowy skraj Vilayet – odparł chłodno Adi Bukbul. – Sława tych podbojów przetrwa po wieczne czasy.

– A ty, dostojny emisariuszu? – uwagi odwróconego plecami do basenu księcia Yezdigerda nic nie rozpraszało i mógł on spokojnie wypytywać gościa. – Czy przybywając tu ze swoją misją, galopowałeś po Vilayet na grzbiecie rączego hyrkańskiego rumaka?

– Nie, przyplłynąłem na pokładzie kupieckiego statku – oliwkowa twarz ambasadora pociemniała nieco.

– Na jednej z nowych, pełnomorskich galer żaglowych, zgadza się? – usłudnie podsunął Nepheth Ali. – Dotarłeś prosto z Hyrkanii do naszej stolicy?

– Istotnie – potwierdził Adi Bukbul, marszcząc brwi. – Na kilka dni w ogóle straciliśmy ład z oczu. – Hyrkańczyk szorstkimi słowami pokrył nieprzyjemne wspomnienia. Nie miał ochoty rozpamiętywać początkowych obaw ani napadu morskiej choroby.

– Do takich podróży należy przyszłość – rzekł przyjaźniej cesarz Yildiz, oderwawszy wzrok od widowiska rozgrywającego się w basenie. – Widać wyraźniej niż kiedykolwiek, że handel między naszymi państwami, a co za tym idzie, przyjazne stosunki, mogą rozkwitnąć tylko dzięki otwartemu przez nas szlakowi i w poprzek Vilayet. Moje cesarstwo, rozporządzające potężną flotą wojenną i handlową, może kontrolować ruch na tym szlaku dla dobra obu naszych krajów. Ale, ale, pośle, cóż to za opieszałość?! – wykrzyknął nagle. – Nie zaproponowano ci żadnego trunku! – zbywszy machnięciem ręki protestujący gest stepowego jeźdźca, Yildiz wpadł w słuszny gniew. – Aspasia, Isdra! Srodze zaniedbałyście swoje obowiązki, dziewczeczki! Należycie naszemu gościowi trochę tego wyśmienitego palmowego araku. Sam go próbowałem, drogi pośle, ale możesz skorzystać z mojego pucharu, jeśli dzięki temu będziesz czuł się bezpieczniej...

Zaskoczony i częściowo udobruchany gestem dostojnego go spodarza, Adi Bukbul pochylił się do przodu i przyjął z rąk cesarza inkrustowany klejnotami kielich. Spróbował zawartości, krytycznie oblizał wargi.

Mm, nie jest tak kwaśny i wonny jak nasz kumys, sfermentowane kobyłe mleko, które pijamy w naszej ojczyźnie, ale dość mocny, jak na cywilizowany napój – pociągnął jeszcze jeden łyk.

– Walka staje się coraz żywsza – stwierdził Yildiz, ponownie zwróciwszy wzrok na igrzyska na wodzie.

Istotnie, basen stał się sceną gorączkowych zmagania. Oprócz jednego, wszystkie pontony miały za sobą już po jednej przewrotce. Dwie pływające na nim kobiety gorączkowo broniły swojego honoru na środku basenu, odpierając zapamiętałe ataki przeciwniczek. Pozostałe kobiety walczyły lub przyglądały się zmaganiom. Lekkie, nasiąknięte wodą stroje dokładnie oblepiały ich brzuchy, biusty i pośladki. Niektóre, mające dość mokrych tkanin, pozrzucały z siebie części koronkowych strojów. Nagie i prawie nagie wojowniczkki przypominały przy byłe z głębin przepiękne syreny. Sportowe zainteresowanie Adi Bukbula, podsycone arakiem, skupiło się ostatecznie na jednej parze, starającej się zrzucić przeciwniczki do wody. Zeskoczywszy z pontonu, wyższa z kobiet stanęła po szyję w basenie. Niższa, lżejsza towarzyszka usadowiła się na jej barkach, chwyciła tyczkę z pęcherzami i obie skierowały się w stronę unoszących się na wodzie nieprzyjaciółek. Był to wreszcie rodzaj ataku, który Adi Bukbul mógł docenić. Napięte mięśnie ud napastniczki, zaciskające się na szyi improwizowanego rumaka, jej pełne podniecenia okrzyki, gracia ruchów ramion i piersi, kołyszących się w trakcie wymachiwania niegroźną bronią, stanowiły fascynujące widowisko dla doświadczonego oka hyrkańskiego jeźdźca. W końcu jednak dziewczyna pełniąca rolę wierzchowca straciła równowagę i obie runęły w wodę, nie straciwszy

przeciwniczek z pontonu. Rozgorączkowany poseł dał znak, by ponownie napełniono jego kielich.

W tym momencie nastąpiła niespodziewana interwencja losu. Zawodniczki broniące się przed atakiem prowadzonym na jeździecką modłę, zostały zepchnięte niebezpiecznie blisko brzegu basenu. Na tę chwilę czekała szczupła, naga hurysa z mokrymi włosami, która rozpędziła się i z krzykiem skoczyła na ponton. Ten przewrócił się z głośnym pluskiem, wyrzucając obydwie zawodniczki do wody.

– Mamy dowód na to, że nikt nie zdoła oprzeć się morskiej potędze Turanu – oświadczył Yildiz, odwracając się do stołu z zadowoloną miną.

– Słusznie mówisz, ojcie – książe Yezdigerd jako jedyny z obecnych nie wykazywał najmniejszego zainteresowania wodnymi zmaganiem. Cierpliwie czekał, aż będzie mógł wrócić do dyskusji o rzeczach istotnych. – Kluczową sprawą dla panowania nad całym Vilayet jest zniszczenie piractwa – oświadczył. – Jest to moja największa troska. Niewątpliwie zdajecie sobie sprawę, panowie, iż piraci wyrządzają nieobliczalne szkody handlowi wzdłuż wschodniego i południowego wybrzeża. Zwłaszcza ten łotr Amra, którego należy jak najszybciej schwytać i wbić na pal, najlepiej zrobiony z jego własnego masztu!

– Problem ten jest mniejszy na zachodnim wybrzeżu – rzekł Nepheth Ali. – Oczywiście, nie licząc niedawnego, przykrego incydentu w aghrapurskiej stoczni – dodał szybko, rumieniąc się i rzucając ostrożne spojrzenie na cesarza i księcia. – Dzięki przewadze naszej floty, na zachodnich wodach udaje się nam utrzymywać piratów w ryzach.

– Nie tylko w ryzach, rozkazujecie im! – odparł surowo Adi Bukbul, zapomniawszy o chwilowym przypływie dobrego humoru. Za cel swojej riposty obrał księcia Yezdigerda: – Nie muszę chyba przypominać, wasza wysokość, że piracki okręt, który został ostatnio zatopiony w pobliżu archipelagu Aetolian, pływał pod cesarską banderą Turanu? Oraz o tym, iż odkąd wasi wysłannicy nawiązali kontakty z Djafur, napaści na pełnym morzu i wybrzeżach odbywają się często pod waszą flagą. A może to okręty turańskiej floty udają czasem piratów? – Za sprawą krążącego w żyłach araku poseł nie zamierzał się miarkować. – Mając to na uwadze, książe, jak możesz twierdzić, że likwidacja piractwa na Vilayet jest twoją największą troską?

– Zapewniam cię, panie, że jest to sprawa, która wyjątkowo leży mi na sercu – rozdrażnienie Yezdigerda dorównywało irytacji Hyrkańczyka. – Zważywszy na ciągle afronty, które spotykają naszą niezwyciężoną flotę ze strony tych szubrawców...

– Waszą niezwyciężoną flotę! – prychnął Adi Bukbul, który przerwał swoją mowę tylko po to, by pociągnąć nowy łyk trunku. – Czy naprawdę sądzisz, książe, że Vilayet to basen, w którym taplają się cesarskie nałożnice?! Nie zapominaj, że Hyrkania również rozporządza flotą wojenną! Na tyle silną, że nie macie szans pozbawić nas dostępu do morza!

– Już dobrze, dostojny pośle, pozostaliśmy przyjaciółmi – wtrącił się cesarz Yildiz. – Nic mi nie wiadomo o wrogich wam działaniach naszej floty. Nigdy nie przy stałym na coś podobnego. Jeżeli doszło do jakichś wykroczeń, zapewniam cię, że zbadamy tę sprawę, a winni zostaną surowo ukarani. Co do tak zwanego pirackiego bractwa, istotnie, próbowaliśmy je przekupić – przyznał, wzruszając ramionami. – Nie stałoby się to kosztem twojego kraju. Za nic! Okazało się jednak, że piraci są niegodni zaufania i zdradzieccy, taka już ich natura. Od tamtego czasu ciągle atakują również nasze statki. Nie mogę odpowiadać za szkody, jakie wyrządzają innym narodom, więc dajmy tej sprawie pokój i nie wadźmy się.

– Nie! Dość tego, powiadam! – przełknąwszy resztę araku, Adi Bukbul rąbnął pucharem w lakierowany stolik. – Dosyć udawania serdeczności i braterstwa, podczas gdy wasze wojska gotują się do wojny, wznosząc forty i gromadząc się na rzekomo neutralnych terytoriach. Pytam, czy możesz zaprzeczyć, panie, że generał Artaban wyruszył w Góry Kolchiańskie z misją zagrażającą naszym najważniejszym zasobom drewna i minerałów? Albo manewrom w prowincji zaporoziańskiej i popieraniu marionetkowych wodzów w rodzaju Glega i jego bandy? Możesz z podniesionym czołem zaprzeczyć, że wasi agenci maczali palce w niedawnym powstaniu Yuetschich? Na tle tego wszystkiego konszachty z piratami to najmniejsza z waszych zrad!

– Dostojny pośle, pozwól, że zapewnię cię... – wychyliwszy się z fotela, cesarz uspokajającym gestem położył dłoń na mieniu gościa, jednak ambasador stracił ją i gwałtownym ruchem sięgnął do rękojeści małego, zakrzywionego sztyletu przy boku. Hyrkańczyk nie miał ochoty walczyć, zwłaszcza tak mało praktyczną bronią,

lecz chciał dodać wagi swym słowom i zmusić gospodarzy do wysłuchania tego, co leżało mu na sercu.

– Słuchajcie, turańskie wyrodk! – zaczął, podnosząc się z fotela. – Rada kaganów Hyrkanii upoważniła mnie do oświadczenia, nie, zażądania... ale co to ma znaczyć?!

Uniesiony wzburzeniem, nie dostrzegł, że otoczyła go straż, która do tej pory stała przy drzwiach. Były to cztery wysokie, muskularne Aesirki w spiżowych napierśnikach, rogatych hełmach i spódnicach z niedźwiedziego futra. Gdy zaczął gniewną przemowę, gwardzistki schwyciły go pod ramiona. Najwyraźniej odtrącenie dłoni Yildiza i instynktowne sięgnięcie po sztylet uznały za próbę zamachu, jednak hyrkański poseł nie zamierzał pogodzić się z obrażą.

– Precz! Wypuście mnie! – pienił się unieruchomiony w ich uścisku. – Jak śmiecie podnieść rękę na hyrkańskiego ambasadora, którego przyjęliście zgodnie z prawami gościnności Erlika? Wasza wysokość, jak możesz dopuścić, by więziły mnie te baby?! Ostrzegam cię, że mój władca dowie się o wszystkim! Ostrzegam! Czy twój syn jest takim samym łotrem? Wstyd i sromota, Yildizie!

Nie interweniując, Yildiz przyglądał się smutnym wzrokiem, jak strażniczki wloką energicznego Hyrkańczyka ku drzwiom.

– Zaprowadź go do wieży gościnnej – polecił majordomusowi. – Niech ochłonie przez dzień czy dwa, wtedy zastanowię się, czy go wypuścić. Przyślijcie mu skrybę, by mógł dać upust swojemu gniewowi na piśmie. Niech zajmą się nim najładniejsze służki. I od tej pory ma dostawać wino lotosowe zamiast araku. Gdy wrzaski Adi Bukbula cichły w głębi koniarza. Yildiz zwrócił się spokojnie do syna: – Nasz hyrkański poseł okazał się bardzo zapalczywy. Gdybym nie wiedział, że nic brak ci rozumu, pomyślałbym, że celowo starałeś się go sprowokować. Musisz pilnie przyłożyć się do nauki dyplomacji, Yezdigerdzie.

Książę ledwie wzruszył ramionami.

– Ta wizyta mogła potoczyć się inaczej, gdybyś, ojczy, nie nakłonił go do picia sfermentowanego araku – odparł. – To barbarzyński nawyk, nieczysty w oczach proroka Tarima.

– Przyznaję, że czasami maci w głowie, ale to najpewniejszy sposób przekonania się o prawdziwej wartości człowieka – cesarz westchnął. – Adi Bukbul jest porywczy. Jeśli wszystko, co mówi, jest prawdą, znaczy to, że Hyrkańczycy pilnie śledzą wszystkie nasze ruchy na południowej granicy.

– Niech śledzą i niech robią, co im się żywnie podoba – książę znieruchomiał wyprostowany, nie racząc spojrzeć w oczy swojemu rodzicowi. – Dzięki marnej flocie i tradycyjnych kłopotach ze zjednoczeniem jeździeckich klanów, mają małe szanse stawić skuteczny opór.

– Synu, żałuję, że nie przyglądasz się baczniej sposobowi, w jaki rządzą. – Yildiz westchnął ponownie. – Bez względu na to, czy chcemy zachować pokój ze Starym Cesarstwem, czy powoli rozbić je na kawałki, czy też rozpętać natychmiastową wojnę, trzeba uspokajać ich tak długo, jak się da. Czasami można walczyć przez dziesięciolecia i zapewnić sobie zwycięstwo, zanim wróg dowie się, że doszło do wojny – przeniósł wzrok na Nepheta Ali po drugiej stronie stolika, który przyglądał się mu z szacunkiem. – Zawsze mnie ponosi, gdy zaczynam gadać o tych nudnych sprawach – rzekł przeproszającym tonem. – Isdra! Chodź, miła, i napełnij mój kielich! Napój, który maci zmysły hyrkańskiego jeźdźca, na pewno nie jest zbyt mocny dla cesarza Turanu!

Książę Yezdigerd wstał i bez słowa opuścił komnatę, rozpamiętując wyznanie ojca. A więc w tym szaleństwie była metoda, albo tak się Yildizowi wydawało, gdy nie był zbyt zamoczony winem i cielesnymi wdziękami swych hurys. Mimo to taktyka cesarza była pokrętna, a w istocie tchórzliwa. Ku irytacji Yezdigerda, jego zasiadający na tronie ojciec zachowywał się w sposób niezdecydowany, nie pozwalając nikomu zorientować się, jakie właściwie jest jego zdanie. Starcowi brakowało prawości i otwartości, cech zalecanych przez proroka Tarima i stanowiących podstawę jego nauki. Yildiz w typowy dla siebie chytry i ironiczny sposób wzbraniał się przyjąć Prawdziwą Wiarę i nie było szans, że ten stan ulegnie zmianie.

Yezdigerd uważał, że jeżeli ma dojść do wojny z Hyrkanią, należało wypowiedzieć ją bez intryg i zwodzenia. Nie przystoi, by władca był nieszczerzy i dwulicowy, jak okazało się to na przykładzie konszachtów ojca z piratami z Vilayet. Yezdigerd od początku usiłował doprowadzić do ich zniszczenia, zarówno dla zasady, jak i dlatego, że byłaby to łatwa demonstracja siły cesarstwa. Yildiz zaś mamił szubrawców łapówkami oraz zwodniczymi obietnicami, tolerował

ich i nieustannie starał się wykorzystać do swoich celów. Stało się to głównym powodem sporu między ojcem i synem! Książę był przekonany, że krwawy Amra otwarcie szarga reputację jego własną i turańskiego imperium, lecz Yildiz zdawał się cieszyć z publicznych niepowodzeń swojego potomka.

Twarz księcia opuszczającego główny gmach pałacu naznaczył posępny mars. Yildiz był staromodny, za sprawą przybywających lat i występków wciąż tracił energię, lecz ani myślał ustąpić miejsca młodszemu, bardziej zdecydowanemu synowi. Yezdigerd ze swej strony niecierpliwie czekał na przejęcie władzy. Zamierzał zaćmić swoimi dokonaniem rządu ojca i wykorzystując najskuteczniejsze z możliwych środków, w jak najkrótszym czasie zostać największym cesarzem w historii Turanu. Gdzież jednak mógłby okryć się chwałą, jeśli nie na wojnie?

Szybkim krokiem dotarł na nadbrzeże portowe i przywołał jednego z pałacowych przewoźników. Po chwili sługa w liberii i fezie podpłynął na jednej z połączonych gondoli. Yezdigerd zajął miejsce, odwracając twarz do słońca.

– Na trzęsawiska – rozkazał. – Do siedziby czarnoksiężnika Crotalusa.

Chwila wahania gondoliera ujawniła jego strach, lecz nie śmiał protestować. Zręcznie odepchnął się długim wiosłem od nadbrzeża. Łódź płynęła najpierw wzdłuż marmurowych tarasów i perfumowanych ogrodów pałacowej dzielnicy. Minawszy bastiony z katapultami na falochronie, zagłębiła się w ujście rzeki.

Za pałacowymi przystaniami rozpościerał się olbrzymi aghrapurski port. W pobliżu znajdowała się stocznia cesarskiej marynarki wojennej – gęsty las masztów, pochylni, wysokich rzeźbionych dziobów i pochylnych nad kadłubami dźwigów. Za tym gąszczem rozpościerały się baraki, magazyny i umocnienia. Zakotwiczone w porcie statki – ogromne trójrzędowe galery wojenne oraz mniejsze feluki, dahabije i dhowy, leniwie podskakiwały na falach. Łagodna bryza poruszała opadające z masztów liny.

Za stocznia floty wojennej rozpościerał się cywilny port, goszczący jeszcze większe zbiorowisko o wiele barwniejszych statków. Jak zawsze, mnóstwo z nich właśnie zawijało lub wypływało w morze. Gondola skręciła jednak pod ostrym kątem, oddalając się od barwnych, rojnych nadbrzeży. Przewoźnikowi, który skierował ją w południową odnogę rzeki Ilbars, przyszło przez jakiś czas solidnie popracować wiosłem.

Gdy gondola znów znalazła się na spokojnych wodach, należało ominąć liczne zdradzieckie płycizny z naniesionego z prądem rzeki grząskiego mułu. Poranna mgła lgnęła do płaskich, błotnistych wysepek, ograniczając widoczność. Towarzyszący wilgoci odór przypominał, że Ilbars jest nie tylko jedną z największych rzek świata, lecz również jednym z największych rynsztoków.

Przytłaczający, szary horyzont, szmerzące drobne fale i posępne wołania bagiennego ptactwa tworzyły atmosferę przygnębiającego pustkowiecia. Rzeka zdawała się gubić między porośniętymi trzciną brzegami wysp, a splendor Aghrapur był już tylko wspomnieniem. Prócz niskiej, ciasnej łodzi o krzykliwych barwach, jedynym solidnym elementem rzeczywistości był wyłaniający się z mgły nierówny czworobok – ogrodzenie z wbitych w muł pali.

Jeżący się plot był otwarty od strony rzeki. Wewnątrz niej znajdowały się budynki i pochylnie. Drogę do wysepki zagradzała potrójna palisada w miejscu, gdzie rzeka była jeszcze dość głęboka. Najwyraźniej przeznaczona do cumowania dużych statków przystań była obecnie opustoszała. Wewnątrz ogrodzenia mniejsze łodzie i barki unosiły się na wodzie lub leżały wyciągnięte na brzeg. Do zabudowań można było dostać się tylko od strony rzeki, ponieważ z przeciwnej strony nie było bramy.

Przewoźnik skierował łódź prosto do brzegu i wyhamował przy drewnianym mołu. Yezdigerd wysiadł i dał przewoźnikowi znak, by podążył z nim. Sługa z wyraźną niechęcią dołączył do księcia. Wspólnie zeszli na chodnik z ułożonych w poprzek drewnianych bali, biegnących przez cuchnące błoto w stronę koślawych szop.

Gdy zbliżyli się do nich, w drzwiach największej budowli pojawiła się ludzka postać. Był to wysoki czarnoskóry mężczyzna o okrągłej, gładko wygolonej głowie. Miał na sobie białą szatę, a jego wyszczerzone w uśmiechu zęby połyskiwały złotem w mętnych promieniach słońca.

– Ach, przybyłeś obejrzeć mój warsztat, książę! Witam cię uniesienie, jak przystało na skromnego rzemieślnika – mężczyzna ograniczył się do minimalnego skinienia głowy. – Musisz jednak wiedzieć, że z radością przybyłbym na twoje wezwanie do pałacu.

– Witaj, Crotalusie. Wolę, żeby przy naszym spotkaniu było jak najmniej świadków. W ten sposób unikniemy plotek – obejrząwszy się na przewoźnika,



Yezdigerd mówił dalej: – Poza tym chciałem na własne oczy ujrzeć twoje prace i poszerzyć zasób mej wiedzy. To pozwoli mi zdecydować, co powinienem zrobić w najbliższej przyszłości.

– Twoja wizyta to dla mnie zaszczyt, książę – odparł Crotalus. – Ponieważ znasz już kierunek, w którym zmierzają moje wysiłki, chciałbym, by kolejne stadia mojego projektu przemówiły same za siebie. Pozwól – zachęcającym gestem obleczonego w długi rękaw ramienia dał znak, by goście weszli za nim do szopy.

Zastały, bagienny smród narastał w miarę zagłębiania się w deltę rzeki, lecz w pobliżu siedziby Crotalusa przyćmiły go znacznie silniejsze zapachy, przy których woń trzęsawiska wydawała się świeża i zdrowa. W środku szopy w nozdrza trzech mężczyzn uderzył duszący odór rozkładu. Powietrze przenikał również fetor zwierzęcego piżma, który sprawił, że książę i gondolier stanęli w progu jak wmurowani.

– Nie zważaj na smród, panie. Przywykniesz do niego – zapewnił Crotalus. – Tutaj, jak widzisz, mamy fazę wylęgania. Świadczy to, iż udało się nam pokonać trudności z rozrodem.

Gospodarz wskazał wielką, okutą obręczami kadź – mistrzowskie dzieło bednarskiego kunsztu. Jego zawartość wzdymała się i bulgotała jak podczas wrzenia. Przyjrzenie się z bliska pozwalało jednak stwierdzić, że w zbiorniku znajduje się nie wrząca ciecz, lecz masa brunatnych insektów. Owady wielkości palca miały mnóstwo odnóży, podzielone na segmenty ciała i szerokie żuwaczki. Niespokojnie wierciły się w brei pełnej ludzkich kości.

– Konieczna jest właściwa pożywka – wyjaśnił Crotalus. – Zapobiega to pożeraniu przez owady jaj i siebie nawzajem – wskazał dwóch niewolników o pustych oczach, którzy właśnie ćwiartowali gnijącego trupa i wrzucali kawałki do kadzi. – Troskliwa opieka podczas pierwszych stadiów cyklu życiowego pozwala znacznie zmniejszyć śmiertelność larw – stwierdził czarnoksiężnik.

– Czy muszą karmić się ludzkimi zwłokami? – zapytał Yezdigerd. Mówił niewyraźnie, gdyż palcami lewej dłoni mocno zaciskał nos.

– Ludzkie ciało, i to w stanie jak najbardziej posuniętego rozkładu, jest najodpowiedniejsze. – Crotalus przeniósł chłodne spojrzenie ze znieruchomiałej twarzy księcia na wioślarza, który otworzył szeroko usta z przerażenia. – Świeżo wylęgnięte larwy są doskonale przystosowane do żywienia się padliną w miejskich rynsztokach i rzecznych płyciznach, jednak mają kłopoty z trawieniem zwierzęcych skór i sierści. Karmienie ich obdartymi ze skóry martwymi zwierzętami, a nawet rybami, przyniosło niezłe rezultaty, jednak ogólnie rzecz biorąc, tak specyficznemu gatunkowi należy ze wszech miar dogadzać.

– Nie macie kłopotów z niedostatkami karmy? – książę oderwał spojrzenie od makabrycznej zawartości zbiornika i odwrócił się w stronę czarnoksiężnika.

– Na razie nie – odparł Crotalus. – Wystarczają nam trupy wyłowione z portu, zebrane w dzielnicach biedoty oraz ciała skazańców z więzień. Na szczęście zwłoki nie muszą być świeże.

– Nic dziwnego, że zajmujesz się nekromancją. – Yezdigerd wzruszył ramionami gestem, w którym łatwo było odczytać odrazę. – A co ze starszym pokoleniem?

– Ma się wyśmienicie – powiedział Crotalus, prowadząc księcia na drugi koniec szopy, gdzie znajdował się rząd sześciu podłużnych zbiorników. – Są mniej żarłoczne niż ich mali braciszczkowie, lecz o wiele podatniejsze na moje magiczne zabiegi.

W każdym z basenów znajdował się jeden krocionóg, wiercący się niespokojnie na podłożu z ludzkich kości. Jeden z nich właśnie się pożywiał, ale na szczęście brudna ciecz w jego zbiorniku uniemożliwiała obserwację szczegółów. Wielonogie okropności były długości ludzkiej ręki lub nogi, lecz wielkość zbiorników sugerowała, że mogą osiągnąć znacznie większe rozmiary. Pobladły gondolier odwrócił się i zaczął gwałtownie wymiotować na glinianą podłogę szopy. W żaden sposób nie wpłynęło to na panujący w pomieszczeniu fetor.

Ignorując niedomagania sługi, czarnoksiężnik skinął na księcia, by podążył za nim. Przeszli do sąsiadującego z szopą, wyciągniętego na błotnisty grunt statku. Wysoki mag poprowadził gościa po schodach na pomost, z którego roztaczał się widok na wnętrze kadłuba.

– Wraz z moimi pomocnikami mogę przyśpieszyć wzrost owadów, lecz to niewiele daje – wyjaśnił czarnoksiężnik. – Odpowiednie wykształcenie akolitów jest czasochłonne, poza tym niewielu z nich mogę powierzyć tak odpowiedzialne zadanie. Obecnie rzeczą najbardziej ograniczającą nasze poczynania jest kłopot ze znalezieniem kapitanów statków.

Rzut oka do wnętrza kadłuba wyjaśnił znaczenie jego słów. W cuchnącej, brudnej wodzie na jego dnie znajdował się zanurzony do połowy największy z krocionogów. Potwór był szerszy niż szalupa i dłuższy niż dwudziestu ludzi.

Gigantyczny owad nie leżał spokojnie. Rękojeści uciętych wiosł wciąż znajdowały się w dulkach burt wyciągniętego na brzeg statku. Insekt dzierżył je w kleszczowatych odnóżach i poruszał nimi płynnymi ruchami. Drzewca wiosł unosiły się w miarę równo, jakby operowała nimi wprawiająca się obsada. Owad „wiosłował”, dostosowując się do ruchów drażka tresera w szarej szacie, który stał na kasztelu dziobowym, zaledwie parę kroków od ostrych jak kosy szczęk potwora i jego czerwonych ślepi. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że należycie wytresowany i kontrolowany owad będzie mógł w pojedynkę zapewnić napęd dużemu statkowi.

– Czy po osiągnięciu takich rozmiarów krocionogi nadal potrzebują pokarmu z ludzkich zwłok? – zapytał dociekliwie Yezdigerd.

– Powiodło się nam z zastępczą karmą: jagniętami, wołami i innymi zwierzętami. Mogą być żywe lub ze świeżego uboju. – Crotalus relacjonował fakty z obojętnością uczonego. Jego wygolona głowa lśniła w słabych promieniach słońca. – Mimo to krocionogi czasami są kapryśne. Zbyt długie odmawianie im strawy, do której przywykły, może skończyć się utratą tresera, dlatego radziłbym, by podczas działań zbrojnych karmić ich jeńcami.

– To drobna niedogodność, jeśli uda nam się wykorzystać te owady w walce – stwierdził Yezdigerd. – Twierdzisz, że na pokład napędzanych przez nie okrętów można bez trudności zabierać żołnierzy i uzbrojenie?

– Owszem, tak długo, póki krocionogi są spokojne – potwierdził Zembabwańczyk. – Dlaczego się tym martwisz, książę? Sądziś, że wkrótce będziesz ich potrzebował?

– Być może szybciej, niż się ktokolwiek spodziewa – obejrzawszy się na gondoliera, który wlepił przerażone oczy w wijącego się potwora, Yezdigerd dodał: – Właśnie naraziliśmy się hyrkańskiemu ambasadorowi. Sprawy wyglądają poważnie, bez względu na to, czy pozwolimy mu wrócić do domu, czy nie. Jest wielce prawdopodobne, że wojna wybuchnie lada dzień.

– Rzeczywiście, książę? – stropiony Crotalus zmarszczył brwi. – W takim razie przyspieszę realizację moich planów. Przygotowuję nową wyprawę na Vilayet. Oczywiście, muszę cię prosić o wsparcie, książę.

– Na Vilayet? Pewnie znów na północ? – Gdy Crotalus potwierdził skinieniem głowy, Yezdigerd kontynuował: – Znajdziesz się na niebezpiecznych wodach. Piraci stali się bardzo niebezpieczni. Na dodatek polują na nich hyrkańskie galery i, założę się, prowokują także nasze okręty.

Crotalus wzruszył ramionami.

– Zamierzam wziąć tylko jeden statek, żaglowiec na tyle szybki, by wymknąć się pirackim lub hyrkańskim okrętom. Powinno to zapobiec kłopotom, jakie miałem w przeszłości.

– Istotnie, poprzednio miałeś ciężką przeprawę. – Yezdigerd z żalem potrząsnął głową. – Obawiam się jednak, że w obliczu nowych niebezpieczeństw ta wyprawa nie jest najlepszym pomysłem. Nie możemy ryzykować twojej nieobecności w sytuacji, gdy w każdej chwili możemy potrzebować twoich usług. Rozkazuję ci, byś z niej zrezygnował.

Smętna mina Crotalusa maskowała fakt, że czarnoksiężnik zdawał się zupełnie lekceważyć autorytet Yezdigerda.

– Książę, zapewniam cię, że nie będzie mnie zaledwie dwa tygodnie, a badania, które zamierzam przeprowadzić, są najwyższej wagi...

– A co, szanowny mędrcze, z poczynaniami, które realizujesz obecnie? – Yezdigerd wskazał szopy i kadłuby statków. – Czy tresowanie i hodowla krocionogów jest możliwa bez twojego nadzoru?

– Nie powinno być z tym kłopotów – stwierdził czarnoksiężnik. – Z wyjątkiem stosowania magii podczas krytycznych stadiów wzrostu, moi uczniowie mogą zapewnić owadom wystarczającą opiekę.

Yezdigerd słuchał go z wyraźnym powątpiewaniem.

– A owe morskie badania, które planujesz? Zdradź mi, jaka jest ich natura. Czy mogą być istotne dla cesarstwa Turanu?

– Nie sądzę, bym miał prawo do tłumaczyć ci, książę, bardziej ezoteryczne aspekty mojej wiedzy – rzekł wyniośle Crotalus. – Zapewniam cię jednak, że te badania są nadzwyczaj ważne.

– Nie, Crotalusie, nie sądzę – po chwilowym namyśle Yezdigerd stanowczo

potrząsnął głową. – Obawiam się, że nie mogę spełnić prośby. Twoja działalność, dzięki mojemu poparciu, stała się jednym z kluczowych elementów turańskiej potęgi. Nie mogę przystać na ryzyko utraty ciebie lub chociażby twojej dwutygodniowej nieobecności.

– Aż tak mi nie dowierzasz, książę? Naprawdę obawiasz się, że zgubię się na morzu?

– Mówi się, że jesteś wyśmienitym nawigatorem, to prawda – Yezdigerd ściągnął brwi. – Ludzie szepczą, że czarnoksiężskie moce pozwalają ci przenikać noc i mgłę, co czyni cię dla mnie tym cenniejszym. Zbyt cennym, by cię stracić – uśmiechnął się.

Resztki zadowolenia zniknęły z nachmurzonej twarzy czarnoksiężnika.

– Nie wesprzesz mnie zatem w moich przygotowaniach, książę?

– Wszystko tylko nie to! Stanowczo zabraniam ci wypływać z Aghrapur – młodzieniec wyrzekł te słowa tonem świadczącym, że przywykł do absolutnego posłuszeństwa. – Masz pozostać tutaj, dopóki nie zakończymy obecnego przedsięwzięcia. Później, jeżeli pozwoli na to sytuacja polityczna, przedyskutujemy ponownie projekt twojej wyprawy.

– Niech tak będzie – zgodził się czarnoksiężnik mierzając Yezdigerda zamyślnym spojrzeniem. – Nie obawiasz się perspektywy wojny, książę?

– Skądże! Wojna leży w naszym najlepszym interesie! Mój ojciec jak zwykle stara się omijać ten temat, by nikomu nie wleźć na odcisk, lecz wojna, zwłaszcza morska, może przyczynić się do rozwoju naszego cesarstwa. Uprości politykę, sprawi, że zapanują nowe rządy i skończy ze starym, okrężnym sposobem załatwiania dyplomatycznych sporów – książę wsparł się o poręcz pomostu, jakby stał na dziobie atakującej dromony. – Jeżeli nadarzy się okazja, poprowadzę armię do wspaniałych zwycięstw i okryję się sławą.

Crotalus skinął głową.

– A jeśli Hyrkania włoży w przygotowania do wojny wszystkie swoje zasoby i, powiedzmy, zbuduje nową flotę?

– W takim razie Turan okryje się tym większą chwałą – odpowiedział szczerze Yezdigerd. – Hyrkańczycy nie pokonają nas ani na starych, ani na nowych okrętach. To jeźdźcy, nie marynarze – nagle ogarnęło go zniecierpliwienie, jego wzrok padł na stojącego z boku gondoliera. – Jak sądzę, nie słyszałeś nic z tego, o czym tu rozmawialiśmy? Gdyby jednak było inaczej, nie myślisz chyba, że wolno ci szepnąć komuś chociażby słowo?

Przewoźnik, który ciągle wpatrywał się z rozdziawionymi ustami w gigantycznego krocionoga, odwrócił się do swojego pana, nie bardzo pojmując jego pytanie.

– Zabrałem cię na brzeg, bo uznałem, że te piekielne cuda wywrą na tobie większe wrażenie niż łapówka czy groźba, rozumiesz? – wyjaśnił książę. Ponieważ wioślarz nadal milczał, Yezdigerd rzekł jeszcze ostrzejszym – tonem: – Zapomniałeś języka w gębie?!

Oniemiały mężczyzna pokręcił głową.

– Jeżeli chcesz go zachować, pamiętaj, co ci powiedziałem! Nie wolno ci nikomu powiedzieć o tej wyprawie ani o czymkolwiek, co tu widziałeś i słyszałeś!

Poblądły sługa ponownie skinął głową. Z jego ust dobyło się jedynie nieartykułowane, lękliwe mamrotanie.

– Bardzo dobrze! Wracam do siebie. Crotalusie, kontynuuj swą pracę. Życzę ci zdrowia! – Z tymi słowami książę odwrócił się i ruszył w stronę łodzi.

#### IV

#### CZARNY KORSARZ

Pokryte zębami białej piany niebieskozielone morze rozcinał dziób pirackiego okrętu „Kruk”, tak bowiem Conan postanowił ostatecznie nazwać, „Przeznaczenie”. Liny i żagle łopotały na wietrze, a pokład kołysał się miarowo.

– Na Croma, to się dopiero nazywa życie! – radował się Cymmerianin stojący za kołem sterowym. – Nareszcie na szerokim morzu Vilayet znalazł się barachański karak o wysokiej stępce! Od teraz nic nie jest dla nas niemożliwe! Dzięki, Ferdinaldzie, za twoją pracę! – zadowolony barbarzyńca poklepał po ramieniu swojego brzuchatego pomocnika. – Nasz „Kruk” przechytrzy wroga, pokona go, a w razie potrzeby zniknie w mgnieniu oka! Wschodni żeglarze muszą się jeszcze mnóstwo nauczyć od Amry z Oceanu Zachodniego.

– Czy na takim statku zawsze tak strasznie buja? – Philiope, chociaż miała za

sobą wiele morskich podróży, z poszarzałą twarzą kurczowo trzymała się burty.

– Dziewczyno, płyniemy podczas wiatru, przy którym na płaskodennej krypie nikt nie odważyłby się wytknąć nosa z portu! Gnamy jak nikt, na Croma! Zobacz, wyspy Aetolian już prawie zniknęły z oczu – wyciągnął dłoń w stronę rufy, lecz widok niknących pod horyzontem wysp bynajmniej nie uszczęśliwił dziewczyny. – Buja silnie, ponieważ znajdujemy się wysoko nad powierzchnią wody – dodał wskazując wąski pokład rufowy, na którym się znajdowali. – Jeśli tu nie wytrzymasz, zawsze możesz zejść pod pokład.

– Istotnie, to żywy, zwrotny statek – wyraził ostrożną pochwałę Hrandulf. Przysadzisty wódz morskich plemion również nie stanowił wcielenia dobrego samopoczucia. Trzymał się burty na rufie w miejscu, gdzie na każdym rodzimym okręcie znajdowałyby się obsada wiosła sterowego. – Niektórym z moich ludzi nie podoba się, że cały statek został pomalowany na czarno. Powiadają, że to zły znak.

– Może, ale jakież inny kolor mógłby mieć „Kruk”? – zapytał trzeźwo Conan, skręcając koło sterowe tak, by okręt wyostrzył kurs pod wiatr. – To nie kolchiańska dłubanka, trzymająca się na czopach tak cienkich, jakby to była robota lutnika. Nasze poszycie to solidne deski, przybite do wręg stalowymi ćwiekami. Trzeba je było uszczelnić pakułami i powlec czarną, hyrkańską smołą, inaczej okręt przeciekałby i wkrótce poszedł na dno.

– To prawda – włączył się Ferdinald. – Nie można też dopuścić, by „Kruk” został przedziurawiony czy przewrócił się, bo złożony na stępce kamienny balast sprawi, że piorunem zatonie – ostrzegł z powagą. – Nie ma szans, że utrzyma się tuż pod powierzchnią jak wasze statki wiosłowe.

Pasażerowie przez kilka chwil przetrzymali w milczeniu tę wiadomość. Załoga karaku, złożona z najbardziej doświadczonych piratów, zdażyła już przywyknąć do wymogów nowego rodzaju żeglugi. Bosonodzy rozbójnicy wspinali się po takielunku, naciągali wanty i trzymowali prostokątne żagle, gdyż wiatr przybierał na sile, inni zaś parami i trójkami napinali liny na głównym pokładzie.

– Przyznam, że statek jest na tyle mocny, że powinien wytrzymać duży wiatr i kołysanie. – Santhindrissa stojąca obok Philiope wreszcie wyraziła swoją opinię. – Nie żałuję, że zabrałam się na jego pierwszy rejs. Myślę, że się nie rozleci.

– W ten sposób żegluje się po Oceanie Zachodnim – oświadczył Conan. – Wprost w paszczę wichrów i łamiąc sztormowe fale, gdy nie ma przyjaznych portów, do których można by się schronić – zachwalając statek, patrzył bez przerwy przed dziób. – Musimy się nauczyć tego samego na Vilayet, jeżeli chcemy częściej wyprawiać się na pełne morze. Staniemy się wszechobecnymi piratami, atakującymi jak grom z jasnego nieba i znikającymi bez śladu. Szybko w tym zasmakujecie, o ile ten żagiel na horyzoncie to nie miraż. – Po jego słowach tuzin par oczu zwrócił się ku widnokręgowi. Istotnie, pod błękitną kopułą nieba można było dostrzec strzępki bieli. Kadłuba nie było jeszcze widać, był to jednak bez wątpienia statek. Powietrze było tak przejrzyste, że widać było wyraźnie napinające się wierzchołki żagli. – Ahoj, na bocianim gnieździe! – krzyknął Conan. – Zdrap muszle z oczu i mów, co widzisz!

– Otwarte wody, kapitanie! – dobiegł szorstki głos z wierzchołka masztu. – Tylko wysepki i ani kawałka brzegu. Ale... tak! Przed dziobem widać żagiel! – w głosie majtka zabrzmiała radość i zdumienie. – To chyba dwumasztowiec na kursie na północny zachód. Pewnie szybka galera!

– Płynie z południowego zachodu – rzekł Ferdinald. – Czyli zapewne z Aghrapur.

Wyciągnął z za pazuchy mapę i rozwinął ją.

– Owszem – przyznał Hrandulf. – Zapuściła się daleko od lądu, żeby nie zbliżyć się do wysp Aetolian.

– Samotny statek, przecinający Mlayet. Zapowiada się niezła zdobycz. – Santhindrissa potarła dłonią rękę przy boku. – Szkoda, że nie mamy szans go doścignąć.

– Nie bądź tego taka pewna – odparł Conan, robiąc pół obrotu kołem sterowym, by wejść na nowy kurs. – Dopóki on płynie tym samym wschodnim kursem, my rozwiniemy większą szybkość, płynąc ćwierćwiatrem. Jeśli go wyprzedzimy, jest nasz, bo jego załoga nie będzie mogła wiosłować pod wiatr. Przed dziobem galery jest tylko hyrkański brzeg, bez żadnego portu czy wysepki, gdzie mogłaby się schronić – machnął ręką w stronę sterburty i podniósł wzrok na łopoczące żagle „Kruka”. – Rozwiniemy co najmniej taką samą prędkość przy każdym halsie. Tak czy owak, mamy ich.

– Naprawdę sądzisz, że zdołasz doścignąć szybki, wiosłowy dwumasztowiec tą skrzynią z kwadratowymi żaglami? – Santhindrissa rzuciła sceptyczne spojrzenie na pajęczynę takielunku. – Niemal mam ochotę pozwolić ci zmarnować czas na próbę!

– Dogonimy galerę szybciej, niż myślisz – zapewnił ją Conan i nabrał powietrza w płuca. – Załoga, postawić wszystkie żagle! – ryknął. – Uprzątnąć zbędne graty! Potrzebna nam szybkość!

Załoga złożona z pirackich weteranów i marynarzy zbiegłych z kupieckich statków wykazała zdumiewającą gotowość. Z zadziwiającą sprawnością wypełniali wszystkie rozkazy Conana i jego oficerów, Ferdinalda i Ivanosa. Szybkie i gwałtowne kołysanie okrętu zmieniło się na wolniejsze i głębsze. Trójkątne łaty żagli ściganej galery z każdą chwilą znajdowały się coraz bliżej.

– Wybrać sztagi i trzymować żagle, obiboki! Możemy wycisnąć więcej z tego wiatru! – Conan silniej zacisnął dłonie na stawiającym większy opór kole sterowym i wydawał komendy zwykłym gromkim krzykiem, aczkolwiek sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Hrandulf wraz z pozostałymi pasażerami kurczowo trzymał się omiatanej wiatrem, podskakującej burty. Na jego twarzy malowało się wyraźne niezadowolenie z bezczynności. Uważnie wodził wzrokiem po nietypowo nachylonym pokładzie, masztach i syczącym na wietrze olinowaniu.

– Conanie, nie możesz odpaść nieco od wiatru? – zapytał. – Pamiętaj, co będzie, jeżeli „Kruk” się przewróci. To nie łódka kurierska, którą można natychmiast odwrócić!

– Święta prawda! – Conan uśmiechnął się, wystawiwszy twarz pod wiatr. – Żaden statek wiosłowy nie utrzymałby takiego kursu pod żaglami. Drzewca wiosł połamalyby się, a przez dziury wlałaby się woda! – wyszczerzył z zadowoleniem zęby. Wiatr zdmuchiwał mu czarną grzywę sprzed oczu i nic w jego postawie nie świadczyło, że zamierza zmienić kurs. – Obraliśmy najlepszy z możliwych sposobów pościgu. Utrzymamy kurs, dopóki nie zobaczymy hyrkańskiego brzegu.

Stało się to po wielu godzinach pędzenia przez fale na złamanie karku. Ferdinald i Ivanos zmieniali Conana przy sterze. Gdy w końcu z mgiełki na wschodzie wyłoniły się niskie, blade urwiska, tym wyraźniej odcięły się na ich tle dwa maszty znajdującej się całkiem blisko ofiary. Ścigana galera wykonała nagły zwrot i skierowała się na południowy wschód.

– Chyba zagroźliśmy im drogę do celu na północy, do którego zmierzali – oznajmił Conan. Wspiął się na burtę, by mieć lepszy widok. – Będą próbowali nas zgubić po zapadnięciu nocy między przybrzeżnymi rafami i płyciznami. Popatrzcie, opuszczają wiosła, by szybciej płynąć z wiatrem – wskazał migające blade drzewca. – „Kruk” jest jednak szybszy i ma wiatr w żaglach. Niedługo będziemy ich mieli.

Gdy karak wyrównał kurs do linii wiatru, zniknęło wrażenie wielkiej prędkości. Fale pchały teraz statek, a ich grzbiety ledwie biły o rufę. Ponieważ pędzili z wiatrem, wydało się im również, że bryza nagle zmalowała. Słabe powiewy ledwo poruszały włosy marynarzy. Mimo to przybrzeżne urwiska zbliżały się szybko, podobnie jak umykająca nie dość prędko galera.

Ścigany statek miał jeden pokład, wyjątkowo długi i szeroki jak na dwumasztowiec. Para trójkątnych żagli rozpościerała się na zwięzających się rejach niczym olbrzymie skrzydła mewy. Na śródkręciu znajdowały się nie ławy wioślarskie, lecz jakiś wielki, przykryty płótnem kształt, być może machina wojenna. Po obu stronach zagadkowego przedmiotu trudzili się stojący przy wiosłach członkowie załogi. Żwawo ciągnęli je w tę i z powrotem, dzięki czemu statek płynął szybciej z wiatrem.

– Kapitanie, piana na bakburcie! – Ivanos wskazał miejsce, gdzie woda wystrzeliwała w górę, przelewając się przez niewidzialne skały.

– Przy tej szybkości nie dostrzeżemy rafy na czas, by ją wyminąć – uzalił się Ferdinald, stojący za kołem sterowym. – Należałoby zrefować żagle...

– Nie! – burknął Conan. – To tylko przedłużyłoby pościg – zeskoczywszy z burty, przeszedł do steru. – Płyniemy prosto za tą po trzykroć przekłętą galera, więc niech ona martwi się o rafy! Trzymaj kurs dokładnie za nią!

– Zobacz, kapitanie, odbija od wiatru! Musi mieć z przodu kolejne łachy piasku!

Ferdinald zaczął zmieniać kurs, lecz Conan go powstrzymał.

– Spokojnie, staruszkule, to pułapka! Przyjrzyj się, mamy rafy na sterburcie – pokazał mu zębate skały, sterczące z wody dokładnie między nimi i skręcającym statkiem. – Tą barką dowodzi sprytny kapitan. Jeżeli chcesz, żeby nic nam się

nie stało, płyn dokładnie za nią i nie ścinaj zakrętów – uniósłszy głowę, krzyknął do Ivanosa: – Bądź gotowy do zwrotu na sterburtę, ale czekaj na moja komendę! Czekaj nas zabawa w kotka i myszkę.

Gdy „Kruk” znalazł się jeszcze bliżej ściganego dwumasztowca, Conan wskazał członka załogi, który, jak sądził, był kapitanem galery. Nieruchoma sylwetka w białych szatach stała na dziobie statku, spoglądając cały czas przed siebie i od czasu do czasu wznosząc dłoń, by nakazać sternikom zwrot w lewo lub w prawo. Możliwość bezzwłocznego odgadywania manewrów tropionego statku pomagała Conanowi, lecz nie zastępowała wręcz niesamowitego talentu dowódcy galery, który wręcz zdawał się widzieć ukryte mielizny i skały. Tajemniczemu dowódcyomal nie udawało się zmylić piratów.

– Znam skądś ten styl manewrowania – brzmiał jedyny komentarz Conana.

– Cóż za śmiertelnik zna tak świetnie te wody? – zastanowiła się na głos Santhindrissa. – Jeżeli to kobieta, jest wiedźmą morską.

– Wkrótce się przekonamy. – Conan podszedł do grotmasztu i wciągnął nań banderę z trupa czaszką. – Szykować haki, wilki! Gotować się do abordażu!

Po kilku minutach statki otarły się o siebie. Piraci z wrzaskiem wdarli się na pokład galery. Jej załoga nie stawiała oporu. Większość stanowili prości marynarze i rybacy, lamentujący w rozmaitych południowych dialektach. Oprócz nich na pokładzie znajdowało się kilkadziesiąt młodych, drobnych, szczupłych dziewcząt i chłopców, którzy zbili się w ciasną gromadkę.

Gdy „Kruk” przybił do dwumasztowca, ofiary stłoczyły się pod przeciwległą burtą. Dowódca w białej szacie, który tak dzielnie kierował statkiem podczas ucieczki, stał w milczeniu obok masztu, nie usiłując nawet zorganizować obrony.

Piraci błyskawicznie dotarli do wiosł sterowych i obrócili je tak, by obydwie statki dryfowały pod wiatr. Żagle opadły i zaczęły hałaśliwie łopotać.

– Co to takiego? Nocnik dla olbrzymów? – Santhindrissa podeszła do płótna, okrywającego stożkowaty kształt Uniósłszy skraj płachty, uderzyła ukryty pod nim przedmiot płazem kordu. Rozległ się wibrujący odgłos spiżowego odlewu. – To kocioł kucharski czy jakaś piekielna machina wojenna?

– Cokolwiek to jest, to jedyny ładunek – oznajmił Ivanos, który natychmiast po wdarciu się na pokład zanurkował do ładowni na rufie. – Trochę zapasów dla załogi i mnóstwo pustych skrzyń i beczek. Nic dziwnego, że tak łatwo im było uciekać.

Tymczasem piraci przecięli mocujące płachtę sznury i odsłoniли ładunek na pokładzie. Lśniący żółto kopuła z czystego brązu zaopatrzona była w pierścień na szczycie. Brak było jakichkolwiek ozdób, zadowolono się tylko zgrabnym wypolerowaniem odlewu.

– To coś jest puste w środku – powiedział pirat z warkoczykiem, który położył się na pokładzie i zajrzał pod spód. – Podobne do wielkiego dzwonu, ale brak zaczepu dla serca. Pewnie to jakiś wymyślny gong.

Stojący z boku Conan nie spuszczał oczu z wysokiej, wyniosłej postaci dowódcy galery. Mężczyzna w białej szacie miał czarną skórę. Był łysy, chociaż nie wyglądał na starego. Spoglądał na napastników nieruchomym, ironicznym spojrzeniem.

– Czarnoksiężnik, bez dwóch zdań – oświadczył Conan swoim ludziom i ruszył w stronę czarnoskórego mężczyzny. Zatrzymał się w sporej odległości od niego po przeciwnej stronie grot – masztu. – Może niektórzy z was spotkali go wcześniej, a inni słyszeli opowieści o jego wyczynach. Bez wątpienia wielki spiżowy dzwon to magiczne narzędzie, więc się go strzeżcie. – Rzuciwszy za siebie okiem, dał piratom znak, by podeszli – Przyprowadźcie mi go! Nie patrzcie mu w oczy, nie pozwólcie, by was dotykał. Jeżeli zdoła odfrunąć albo zniknąć w kłębach dymu, to trudno, nic na to nie poradzimy. Ale nie bójcie się – zrobił krok do przodu. – Największe niebezpieczeństwo z jego strony grozi pewnie mnie, dlatego ja się nim zajmę – uniósł głos. – Kapitanie, przejdź na rufę! Będziemy paktować!

– Dlaczego mamy targować się z pokonanym dowódcą tej bezwartościowej krypy? – zaprotestował Hrandulf. – Gdyby naprawdę był tak niebezpieczny, zmiotłby nas z pokładu swą mocą..

– Nie, przyjacielu – przerwał mu Conan. – Dzwon jest wart tylko tyle co metal, z którego został odlany, a więc niewiele. Musimy jednak dowiedzieć się, po co go zabrano. Pewnie to pułapka na coś, co zamierzano znaleźć po tej stronie Vilayet. Jeżeli dowiemy się, o co chodzi, możemy mieć z tego niezły zysk, chociaż nie znoszę magii! – nachylił się ku Hrandulfowi i powiedział ścisłym głosem: – Co do czarnoksiężnika, jego pomoc może się nam przydać. Jeżeli nie domyśliłeś się,

kto to taki...

– Jestem Crotalus, wróż cesarskiego dworu w Aghrapur – czarnoskóry mag, który ciągle stał w sporej odległości, udowodnił, że ma co najmniej nadnaturalnie czuły słuch. – Jestem na twoje usługi, kapitanie Amro, skoro los zrzucił, że nasze ścieżki ponownie się przecięły.

– Tym razem spotykamy się twarzą w twarz, nie zaś jak statki mijające się we mgie – odparł Conan, zwracając się ku swojemu rozmówcy. Urwał, czekając, aż czarnoksiężnik podeszł do niego, jak przystało jeńcowi, lecz gdy Crotalus znalazł się dwa kroki od niego, ostrzegawczo uniósł dłoń.

– Nie podchodź bliżej. Powiedz, co sprowadza cię tym razem na wody Czerwonego Bractwa? Wyprawileś się szybkim statkiem, bez wątpienia po to, by wymykać się pościgom... – spojrział na łopoczące w górze trójkątne żagle. – Dlaczego próbowałeś pozbawić nas słusznie należącego się nam udziału w zyskach?

– Przypadająca ci część, to zawsze część Amry. W języku mojego rodzinnego kraju, czyli Zembabwei, Amra znaczy lew. Lwia część to wszystko albo prawie wszystko. Jej ceną jest ból, cierpienie i nędza uczciwych podróżników, na których żerujesz – z ust wypowiadającego te cierpkie zdania czarnoskórego mężczyzny nie schodził ironiczny uśmieszek, odsłaniający silne żółte zęby. – Mimo to, kapitanie, chociaż nienawidzę piractwa tak samo jak ty czarów, przymierze podczas tej wyprawy opłaciłoby się nam obu. Spodziewam się tak bogatych łupów, że nawet podział z lwem będzie uczciwy.

– Podobają mi się twoje słowa. – Conan uśmiechnął się, oglądając na swoich podwładnych. – Powiedz mi, wrózu, o ile mogę liczyć, że mówisz prawdę, po co zabrałeś ten wielki dzwon i czego zamustrowałeś tak tchórzliwą załogę?

– Musiałbym długo tłumaczyć, by wasze pirackie mózgi pojęły, czym jest dzwon. Co do załogi, to rdzenni mieszkańcy Khawarizmu. Żyją na plażach i trzeba przyznać, że to młode, lękliwe lenie, lecz nigdzie na całym Vilayet nie znajdzie się lepszych nurków.

– Nurków – błysk w oku Conana był jaskrawszy niż odblask od wygolonej głowy Crotalusa. – Zatem wypłynąłeś szukać zatopionego skarbu? – Jego głos zniżył się do poufałego szeptu.

– Nie szukam. Wiem dokładnie, gdzie się znajduje – czarnoksiężnik wzruszył ramionami. – Natura tej wyprawy nie stanowi tajemnicy dla mojej załogi.

Conan zmarszczył brew.

– Mimo to lepiej będzie, jeżeli o skarbie porozmawiają wyłącznie dowódcy. Masz przejść ze swoimi portowymi sierotami na pokład mojego okrętu. – Crotalus nie zaprotestował, a Cymmerianin odwrócił się do swoich podwładnych. – Ivanos, wyznacz ludzi do obsadzenia galery. Bierz, kogo potrzebujesz, ten statek od tej pory płynie z nami. Ferdinald, ty zajmiesz się „Krukiem”. Chociaż będzie nam pod wiatr, musimy oddalić się od tego najeżonego rafami wybrzeża. Weźcie galere na hol, jeżeli będzie potrzeba. Kurs na północ!

Późnym popołudniem trzech oficerowie i Philiope zebrali się przy rufowej burcie karaku za sterem, przy którym stał Ferdinald. Jeniec, Crotalus, dołączył do nich. Nie był związany, ponieważ nie pokusił się do tej pory o próbę użycia magii.

– Słyszeliście kiedyś o piracie imieniem Kobold? – zapytał mag.

– Rudym Koboldzie i jego wspaniałym „Bazyliszku”?! – wykrzyknęła Santhindrissa. – Oczywiście! To legenda sprzed wieków. Opowiada o dzielnym, sławnym piracie, który uwieńczył swoją karierę splądrowaniem Sultanapuru.

– Owszem – odezwał się Conan. – Jednooki Kobold był jednym z pierwszych i najpotężniejszych kapitanów naszego Bractwa. Słyszałem o nim nawet na Oceanie Zachodnim, na długo nim stałem się piratem. Podczas powrotu do domu spotkała go śmierć, zgadza się?

– Tak mówią legendy. – Crotalus stał na kołyszącym się pokładzie, nie przytrzymując się niczego. – W czasie drogi powrotnej przez północny archipelag natknął się na złą pogodę. Jego statek, przeciążony od łupów z zachodniego portu, nabrał wody i poszedł prosto na dno.

– Nie podoba mi się to gadanie – odezwał się niespodziewanie Hrandulf. – Na jaką szaleńczą wyprawę chcesz nas namówić, magu? Statek ze skarbem na pokładzie tonie jak kamień. Naprawdę sądzisz, że uda ci się wydrzeć skarb z morskich głębin? – rozdrażniony powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach. – Wszyscy nasłuchaliśmy się opowieści o zaginionych skarbach, ale nie ma szans, by śmiertelnik zdołał położyć na nich dłoń. Zamierzasz ich tam szukać? – wyciągnął

rękę w stronę burty, za którą przelewały się ciemne, spienione fale morza. Zdawało się bezdenne, chociaż na horyzoncie widać było hyrkańskie wybrzeże.

Crotalus swoim zwyczajem wzruszył ramionami.

– Statki toną przeważnie na płytkich przybrzeżnych wodach, albo po utracie żagli dryfują w stronę lądu i rozbijają się o skały. Skarby rzadko giną bezpowrotnie w głębinach.

– Mimo to próba wydobycia zaginionego skarbu to diabelska pokusa! – W oczach Hrandulfa zabłysł przesądny lęk. – Mnóstwo ludzi zginęło próbując, ale nie słyszałem, by komukolwiek się udało. To, co trafi do królestwa Dagona, pozostaje w nim na zawsze!

Hrandulf zakończył przemowę przykładając do czoła grzbiet dłoni na znak szacunku dla morskiego boga z grzebieniastą głową.

– Możesz nie wierzyć, ale szykując się do tej wyprawy, przygotowałem się tak, iż jestem przekonany o jej powodzeniu – odpowiedział Crotalus. – Moi nurkowie – wskazał dłonią młodzieńców, kulących się między piratami – są niezrównanymi mistrzami w wydobywaniu monet, krabów i zaginionych ładunków z ośmiosażniowego dna portu w Khawarizmie. Dodatkowo pomoże im ten dzwon – wyciągnął rękę w stronę podążającej za nimi galery, na której śródokręciu znajdował się wielki spiżowy klosz. – Tego rodzaju zbiornik zanurza się w wodzie, tak by się nie odwrócił dnem do dołu. Uwięzione pod nim powietrze pozwala oddychać na sporej głębokości, dzięki czemu oszczędza się siły i czas.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Conan. – Sprytne, ale powiedz mi, w jaki sposób sprawisz, by dzwon nie wypełnił się wodą? – stropiony, zmarszczył brew. – Podejrzewam, że jakąś sprytną magiczną sztuczką?

– Można to tak określić – odparł z uśmiechem Crotalus.

– Lepiej powiedz, do czego przydadzą ci się wszystkie czary, skoro nie wiesz, gdzie szukać „Bazyliszka”? – sprzeciwił się Hrandulf. – Amro, nie daj się zwieść temu arcymagowi! Nawet w tej chwili rzuca na nas czar! Mami nas skarbem, byśmy obrazili morskich bogów!

– Nie wyprawił się tak wyposażonym statkiem na Vilayet w pościgu za duchem ani nawet po to, by spotkać się z nami – stwierdziła Santhindrissa wodząc smukłym palcem po ostrym jak brzytwa sztylecie, który trzymała w dłoni. – W jaki sposób chcesz znaleźć wrak, Crotalusie? Masz mapę?

Czarny wróż nie opuścił wzroku na jej nóż. Nawet nie mrugnął okiem.

– Mapę? Tak. Oraz pradawną wiedzę, zdobytą podczas niezliczonych nocy, spędzonych nad księgami.

– Na razie wystarczy mapa.

Santhindrissa wyciągnęła otwartą dłoń w stronę czarnoksiężnika, opuszczając sztylet, tak by Crotalus pozornie nie miał się czego obawiać. Conan nie wtrącał się wiedząc, że Stygijka jest niezrównana w tej metodzie przesłuchiwania jeńców.

– Obawiam się, że mapa jest daleko stąd – odparł spokojnie Crotalus swej inkwizytorce. – Została namalowana na sklepieniu kopuły w pałacu cesarskim w Aghrapur. Całymi nocami przyglądałem się pradawnemu freskowi i zapamiętałem wszystkie jego szczegóły.

Czarnoksiężnik uśmiechnął się łaskawie, przyłożywszy dłoń do wypukłego łysego czoła

– Wykazałeś wielką przebiegłość, Zembabwańczyku! Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, będziemy potrzebować twojej współpracy – współpracka Conana rzuciła Cymmerianinowi znaczące spojrzenie. – Czemu jednak mielibyśmy ufać twoim domysłom? W jaki sposób stwierdziłeś, gdzie znajduje się skarb?

– Na podstawie relacji naocznych świadków – odparł czarnoksiężnik. – Słów pozostałych przy życiu rozbitków, spisanych na pradawnych zwojach. Statek nie zatonął bowiem z całą załogą. Kilku piratów Kobolda uratowało się w szalupie i trafiło na pokład ścigającej ich galery.

– Bez wątplenia znaleźli się na kołach tortur swoich cesarskich wybawców – powiedziała drwiąco Santhindrissa.

– Istotnie, mam wszelkie powody sądzić, że ich relacje były... kompletne – niewzruszony czarnoksiężnik pokiwał głową. – Zdumiało mnie, że wszyscy świadkowie zgadzają się co do jednego szczegółu.

– Pamiętam! – wtrącił się Hrandulf. – Miecz Dagona!

– Istotnie – potwierdził mag. – Twierdzili, że gnany szkwałem „Bazyliszek” został przeszyty wyłaniającym się z morza olbrzymim mieczem w tytanicznej dłoni i natychmiast zatonął.

– Na Croma! Też słyszałem tę opowieść, ale nie byłem pewny, czy dać jej



wiarę. – Conan powiódł po towarzyszach poważnym wzrokiem. – Marynarze w takich wypadkach są skłonni do przesady.

– Nie rozumiecie, że to sam Dagon zatopił statek? – Hrandulf popatrzył po nich żałośnie. – Dlatego powiadają, że ten skarb jest przeklęty.

– Legenda podaje, że Rudy Kobold splądrował podczas napaści na Sultanapur świątynię Dagona, a bóg zemścił się za to – przemówił ponownie Crotalus. – Mam jednak inne wytłumaczenie. Wdzieliście kiedyś taki znak?

Dłonie piratów zacisnęły się na rękojeściach kordów, gdy Zembabwańczyk sięgnął pod szatę na piersiach. Nie wydobył jednak żadnej czarnoksięskiej broni, lecz lśniący medalion, zawieszony na rzemyku. Ozdoba była złota i ważyła tyle co hyrkański talent. Zdjawszy rzemyk przez głowę, mag wyciągnął przedmiot w stronę piratów.

Medalion przedstawiał prawie nagiego wojownika, zasłaniającego się tarczą i dzierżącego nad głową miecz. Przy bliższym przyjrzeniu się można było stwierdzić, że jest to podobizna gigantycznej rzeźby. Dookoła jej cokołu płynęły statki o szerokich żaglach, a w tle, na wysokości sandałów posągu widać było wycinek zamkowego lub portowego muru.

– Nie znam pisma, w jakim wykonano inskrypcję – stwierdziła Philiope.

– Ani ja kamiennego kolosa, o ile rzeczywiście istnieje – dodał Conan. – Nigdy nie słyszałem o tak olbrzymim posągu. Co jest na rewersie?

Schwycił złoty krążek i odwrócił go. Druga strona była całkowicie płaska. Crotalus, z którego ust nie schodził uśmiech, wyplatał palce z rzemyka, zostawiając go w dłoni Amry.

– Weź go, kapitanie. Mimo wszystko masz do niego pirackie prawo. Brak mu jakichkolwiek magicznych właściwości, dzięki którym byłby mi przydatny.

– Dobrze. Jeżeli znajdziesz dla nas pełen takich błyskotek wrak, będziesz mógł sobie wziąć to i owo.

Odwróciwszy się, zawiesił dar Crotalusa na szyi Philiope i ucałował ją w czoło.

– Medalion przedstawia wejście do starożytnego portu Sarpedon – wyjaśnił mag. – Niewielu żyjących o nim słyszało. Tysiąc lat temu było to kwitnące miasto na wschodnim wybrzeżu śródziemnego morza. Ten dumny gród nazywało się w owych czasach Perłą Vilayet.

– Ach, tak! Stolica pradawnego królestwa Sarpu, którego kapitanowie potrafili rozkazywać wiatrom! – przypomniał sobie Hrandulf, kiwając w zadumie głową. – Ta legenda znana jest również naszemu ludowi.

– Zatem znacie położenie Sarpedonu? – Crotalus przyjrzał się wodzowi zmrużonymi oczami.

Hrandulf odwzajemnił mu się równie podejrzliwym spojrzeniem.

– Gdzieś na północy. Czy to ważne? Nasza legenda twierdzi, że port pochłonęło morze.

– Istotnie – czarnoksiężnik uśmiechnął się. – Za czasów świetności Sarpedonu jego mieszkańcy pełnymi garściami czerpali korzyści z handlu chronionego przez potężną flotę wojenną.

Bogactwo i luksusy daleko przewyższały to, co znają współczesne królestwa. Ta ozdoba – wskazał na biust Philiope – ujawnia niezmierzone zasoby i kunszt budowniczych miasta, jak również ich bezgraniczną pychę. Dawne teksty zgadzają się co do tego, że podczas ostatniego okresu istnienia miasta jego mędrcy odkryli sposób okiełznania kapryśnych wiatrów Vilayet. Niestety... – Crotalus rozpostarł dłonie – być może zagłada, która spotkała miasto, to jeszcze jeden przykład odwetu mściwych bogów. Jednak bardziej prawdopodobne jest to, iż czarnoksiężnikom tego starożytnego grodu zabrakło wiedzy, by ostatecznie zapanować nad siłami, z którymi igrali. W ciągu jednej nocy morze zniszczyło Sarpedon. Spiętrzone fale zamknęły się nad miastem, a może podczas kataklizmu zatrzęsała się ziemia, rozstała się i pochłonęła je... W każdym razie wszystkie budowle, forty, świątynie i posągi wraz ze śmiertelnikami zostały starte z powierzchni ziemi. Historia nie wspomina nawet, gdzie znajdowało się to wspaniałe miasto. Mapa, która znajduje się w aghrapurskim pałacu, bardzo się różni od współczesnych. Zagłada, która pochłonęła Sarpedon, musiała również sprawić, że zatoneło mnóstwo wysp, a wiele nowych wynurzyło się z morza, linia brzegowa zaś znacznie się zmieniła – Crotalus umilkł na chwilę, dając wytchnienie oszołomionym słuchaczom. – Mimo to udało mi się określić, gdzie znajduje się miasto, na podstawie późniejszych wydarzeń, to jest drogi, którą kapitan Kobold obrał podczas ucieczki z Sułtanapuru. Nie miałem bowiem

najmniejszych wątpliwości, że gigantyczny miecz, który przedziurawił kadłub „Bazyliszka”, jest tym samym, który trzyma tytan wyobrażony na tym medalionie.

Pierś, na której wisiała wzmiankowana ozdoba, żywo zafalowała z wrażenia.

– Chcesz powiedzieć... – wykrztusiła Philiope – że wrak statku Kobolda wraz ze skarbem znajdują się u podnóża tej rzeźby... – ścisnęła medalion w dłoni.

Crotalus nie odpowiedział, ale potwierdzeniem był jego triumfalny uśmiech.

– Pozwól, że sprawdzę, czy dobrze cię zrozumiałam. – Santhindrissa schowała sztylet i podeszła do czarnoksiężnika z wyzywającą miną. – Spodziewasz się znaleźć skarb, którego położenia nikt nie zna, wpierw odnajdując miasto, którego położenia nikt nie zna?

– Właśnie. Dokładnie w miejscu spotkania dwóch legend. – Crotalus wyszczerzył zęby. – Nie mam żadnych wątpliwości, gdzie zatonął „Bazyliszek”. Popłynęmy na północ, a udowodnię to. Wasza ochrona może być bardzo przydatna, chociaż podejrzewam, że kosztowna. Przydadzą się mi również wasze silne grzbiety, jeśli skarb jest tak wielki, jak twierdzą stare powieści!

V

BOGOWIE GŁĘBIN

Przez kolejne dni dwa statki żeglowały na północ. Conan kierował się radami Crotalusa, chociaż czarnoksiężnik rzadko zaglądał do map. Zembabawańczyk wydawał instrukcje tym samym, pewnym siebie tonem bez względu na to, czy był dzień czy noc, mgła czy świecił księżyc. Tak jak na galerze, nieustannie zajmował posterunek na dziobie karaku. Rzadko się posilał i co drugą noc drzemał krótko, siedząc w kucki pod grotmasztem.

Conan dobrze wiedział o nawigacyjnym talencie Zembabawańczyka, dlatego też nie pilnował jeńca. Cymmerianin był też przekonany, że może ufać czarnoksiężnikowi, przynajmniej do czasu, gdy dotrą do skarbu.

Na rozkaz kapitana piraci schodzili Crotalusowi z drogi. Unikali niepotrzebnych spotkań z nim, skrycie sarkając na dowódców za przymierze z czarnoksiężnikiem. Dzięki załodze zajętego statku wieść o skarbie rozniosła się błyskawicznie, wywołując zarówno podniecenie, jak i powątpiewanie. Ponieważ jednak karak miał zapasy na długi rejs, dobrze sprawował się pod żaglami i nie trzeba było sięgać do wiosł, nie wspomniano o buncie. Najbardziej prawdopodobną przyczyną awantur byli nurkowie, dlatego miłych dla oka młodzieńców i dziewczyny zamykano na noc w ładowni. Za dnia wolno im było poruszać się tylko po głównym pokładzie.

Dwa statki trzymały się w odległości pozwalającej na wymianę sygnałów, dlatego na „Kroku” musiano często refować żagle i odpadać od wiatru, by nie zostawić galery w tyle. W nocy utrzymywano kontakt za pomocą latarni.

Z wolna zmieniała się sceneria. Wodny przestwór otwartego Vilayet zastąpiły w końcu urwiste cieśniny i zatoki. Z lewej burty leniwie przesuwały się wyspy, podczas gdy na płaskim hyrkańskim brzegu pojawiły się trzęsawiska. W czasie bezwietrznej pogody, o zachodzie słońca z ich powierzchni podnosiły się irytujące piratów mgły, ustępujące dopiero z poranną bryzą.

Pewnego dnia, gdy na niebie pojawiały się już gwiazdy, statki dotarły do połączenia czarnej wody między majaczącymi bielą wierzchołkami gór na północy a łańcuchem garbatych wysepek na zachodzie. Niespodziewanie na morze wpełzła zaćmiewająca gwiazdy mgła. Żagle zwiły bezwładnie. Crotalus nalegał, by rzucić kotwicę, co przyjęto z pewnym zaskoczeniem. Lina kotwiczna wysunęła się na tuzin sążni, nim sięgnęła dna. Naciągnięto kabestan. Conan postanowił wyjątkowo przydzielić nocną wachtę Santhindrissie i zamknął się z Philiope w kapitańskiej kabinie na rufie.

Wczesnym rankiem majtek na bocianim gnieździe dał znać, że mgła rzednie. Conan wstał i zagonił pół tuzina piratów do kabestanu na dziobie. Z początku zakleszczona kotwica powlokła karak do przodu, po czym zaczęła unosić się ociężale, jakby owinięły się wokół niej wodorosty. Piratom przyszło solidnie się namęczyć, by ją wydobyć. Jeden z nich wyjrzał za burzę, przeklinając mordęgę i ujrzał, co zaczęło się o kotwicę... Wrzasnął rozpaczliwie, wyciągnął kord i zaczął rąbać grubą konopną linę, wołając bezładnie do towarzyszy, by spuścili kabestan.

Conan w mgnieniu oka znalazł się przy burcie. Przytrzymując pirata w niedźwiedzim uścisku, wyjrzał, by zobaczyć, co wprawiło go w tak szaleńczy strach. Z głębin wprost ku statkowi wynurzała się wykrzywiona w koszmarnym

uśmiechu niesamowita, obrośnięta wodorostami twarz.

– Kręćcie dalej, psy, to tylko posąg! – wrzasnął Conan.

Przytrzymał mężczyznę, dopóki ten nie przestał się rzucać. W chwilę później kotwica znalazła się na powierzchni. W jej zębach istotnie uwiązał fragment rzeźby, przedstawiającej ludzką lub prawie ludzką postać. Z posągu nimfy, wykonanego zgodnie z regułami pradawnego stylu, ostała się tylko głowa i jedno ramię. Śliska, zohydzona brunatnymi naroślami figura wynurzyła się z morza jak wspinający się po kotwicznej linii koszmarny mieszkaniec głębin.

– Wystraszyłeś się tego gargulca, Thraxusie? – Conan puścił pirata, który schował kord do pochwy, wciąż wpatrując się w kamiennego idola oczami wyłazającymi na wierzch z odrazy i przerażenia. Śmiechom i szyderstwom jego towarzyszy wyraźnie brakowało przekonania. Cymmerianin doskonale zdawał sobie sprawę, że ten incydent jedynie podsycił obawy przed niesamowitymi mieszkańcami wodnych otchłani. Wbrew wszelkiej logice, żeglarze potraktowali to jako zły znak.

– Crotalusie! – zawołał, szukając sposobu, by naprawić sytuację. – Czy należy sądzić, znajdujemy się blisko celu?

– Niewątpliwie – czarnoksiężnik podszedł do kabestanu. – Kiedy mgła się podniesie, ujrzycie coś, przy czym ten demon wygląda całkiem niewinnie.

Kucnął przy marmurowej bryle i przesunął palcem po jej spodzie, wskazującym, że rzeźba odłamała się od jakiejś zatopionej budowli lub reszty wolno stojącego posągu.

Piraci nadal mamrotali niespokojnie. Mgła nie podnosiła się. Conan wysłał za burtę jednego z młodych nurków, lecz chłopak szybko powrócił z wiadomością, że woda jest zbyt mętna, by cokolwiek zobaczyć. Tymczasem na zdobytej galerze wysunięto wiosła i statek podpłynął do burty „Kruka”, czekając na dalsze rozkazy.

Conan zdecydował, że najlepiej będzie dać załodze zajęcie. Poleciwszy Ivanosowi czuwać nad kotwicą, nakazał rzucić ją ponownie. Sondowanie kotwiczowiska miało sprawić, by piraci zaczęli narzekać na coś konkretnego.

Żeglarze zabrali się do roboty, podśpiewując marynarską pieśń. Towarzyszyło jej skrzypienie i klekotanie kabestanu. Wreszcie mgła zaczęła rzednąć. Nim jednak zdażyła ustąpić całkowicie, na galerze rozległ się nagły krzyk. W chwilę później dołączyły do niego wrzaski i zgiełk na pokładzie karaku.

Przed nimi zamajaczyło gigantyczne oblicze, na poły wystające nad powierzchnię wody. Zdawało się, że twarz patrzy wprost na statki upiornymi, głęboko wydrażonymi oczodołami. Niskie fale omywały z chlupotem grzbiet osobliwie rzeźbionego nosa, leniwie poruszając zielonymi pasmami uczepionych doń wodorostów. Conan szybko zorientował się, że niesamowity olbrzym stoi nieruchomo, nie zaś zbliża ku nim, jak zapewne wydawało się przesadnym marynarzom. Tuż obok głowy z mgły wyłoniła się gigantyczna pięść, dzierżąca szeroki, przypominający liść miecz.

– To głowa posągu! – szepnęła Philiope stojąc u boku Conana. – A to, jeśli legendy nie kłamią, jest miecz, który zatopił statek Rudego Kobolda!

– W takim razie dotarliśmy do celu! – oznajmił grzmiącym głosem Cymmerianin, opanowując panikę narastającą wśród załogi. – Crotalusie, podziwiam twój kunszt! Wy tam, nie wciągajcie dalej kotwicy! – krzyknął niepotrzebnie do znieruchomiałych ze strachu piratów. – Przywiążcie cumy do tej kamiennej gęby i gdy tylko mgła opadnie, zaczynamy szukać skarbu!

Widok górującego nad statkiem gigantycznego oblicza wyraźnie przygnębiał piratów. Kuląc się i mamrocząc zaklęcia chroniące od złych uroków, opieszale zabrali się do wypełniania poleceń kapitana. Słowo „skarbu” zapuściło jednak mocne korzenie w ich umysłach. Po chwili, zgodnie z oczekiwaniami Conana, zaczęli ruszać się dużo żywiej.

Tymczasem galera zrównała się z rzeźbą, zaczepiając o nią wiosłami. Uderzyła nawet dziobem w posąg, lecz nie wyrządziło to widocznej szkody ani rzeźbie, ani statkowi. Wkrótce potem podwładni Ivanosa odbili od przeszkody oddalając się nieco od posągu i „Kruka”. Na rozkaz Conana, na obu statkach rzucono kotwice i mocno je naciągnięto. Dzięki temu okręty i rzeźba zostały solidnie połączone.

Mgła ustępowała z każdą chwilą. Wkrótce nad błękitnym, spokojnym Vilayet rozblęskło ciepłe, wschodzące słońce. Słabiutka bryza ledwie poruszała takielunkiem, a oleistą powierzchnię śródładowego morza pokrywały drobniutkie zmarszczki. Conan wiedział, że według marynarskich przesądów nie jest to dobra wróżba. Choć jednak piraci bali się morskich głębin, nie przeszkadzało to w rozpoczęciu poszukiwań skarbu. Nurkowie zdejmowali tuniki, podczas gdy na

pokładzie galery szykowano do opuszczenia za burtę wielkiego spiżowego klosza.

W promieniach słońca dokładniej przyjrzano się tytanicznemu posagowi. Okazał się zbudowany z marmurowych płyt, oblicowujących brązowy szkielec. Między kamiennymi blokami widać było równe szpary, w których zagnieździły się pąkle i bezładne kępy muszelek. Niektóre fragmenty starannie ukształtowanych wielościanów odłamały się, odsłaniając pozieleniałe spiżowe wsporniki, które oparły się pąklom i robakom.

Twarz posągu sprawiała nader przygnębiające wrażenie, nie tyle z powodu nie widzących, wytrzeszczonych oczu i władczych rysów, ile za sprawą zatopionej brody, porośniętej oleistozielonymi, falującymi wodorostami. Odrośla psuły dumny wygląd oblicza, które stawało się przez to bezkształtne i traciło ludzki wygląd. W przejrzystej wodzie widać było, że rośliny sięgają do ramion posągu. Stercząca obok głowy masywna prawa ręka kończyła się porośniętą porostami pięścią i zżerany przez patynę spiżowym mieczem. Broń wystawała skośnie nad wodę na wysokość trzech dorosłych ludzi. Kędzierzawa głowa posągu, ozdobiona kamiennym wieńcem laurowych liści, upstrzona była licznymi białymi plamami, gdyż wierzchołek statuy stał się siedliskiem morskiego ptactwa, kołującego teraz nad statkami i piskliwym skwirem protestującego przeciw wtargnięciu ludzi w ich domenę.

W marynarskich wierzeniach gigantyczny, bezimienny wojownik przekształcił się w morskiego boga, którego widok zwiastował nieszczęście. Wrażenie, które sprawiała olbrzymia rzeźba, potęgował fakt, iż było to jedyne dzieło rąk ludzkich na tym morskim pustkowiu. Wszędzie dookoła przetaczały się płaskie, niemrawe fale. Miniaturowe wysepki majaczyły daleko na południowym i wschodnim horyzoncie, podczas gdy na północy piętrzyły się śnieżne czapy gór w głębi ładu. Ani na ich stokach, ani na skalistych wysepkach niewidać było oznak życia. Z wody nie sterczała żadna inna ruina czy rzeźba. Również nic więcej nie było widać w głębinie w pobliżu burt okrętów. Wspaniała kultura, której dziełem była ta tytaniczna statua, musiała doszczętnie zginąć w podwodnym kataklizmie. Jej historia została starta z powierzchni ziemi, z wyjątkiem jedynej, oszalałającej pozostałości.

Conan rozmyślał o tym nadzorując spuszczenie wielkiego dzwonu. Keson przymocowano najpierw do krzepkiego, skośnego bomu na maszcie galery. Wierzchołek masztu przymocowano z kolei linami do burt i rufy stojącego obok karaku. Nucący rytmiczną pieśń marynarze i piraci podnieśli spiżowy klosz nad pokład, obrócili bom za burtę i opuścili go powoli. Spokojne morze ułatwiało spuszczenie kesonu, który dotknął powierzchni wody ze stłumionym, basowym dudnieniem i gładko zanurzył się pod powierzchnię, nie wpuściwszy nawet bańki powietrza.

Czarnoksiężnik stał w milczeniu obok Conana. Na nieprzeniknionym obliczu Crotalusa nie widać było dumy ani entuzjazmu. Cymmerianin niedawno zawarł z nim porozumienie, na które niechętnie przystali jego towarzysze, iż jeśli Zembabwańczykowi uda się napełnić „Kruka” skarbami, będzie mu wolno zatrzymać galerę i zabrać tyle, ile zdoła unieść, jako swój udział w łupie. Amra zobowiązał się również zapewnić magowi bezpieczeństwo i eskortę do połowy drogi powrotnej. Mag nie sprawiał jednak wrażenia człowieka pożądanego bogactw. Zachowywał się tak, jak gdyby powodzenie wyprawy stanowiło jedynie drobny i uciążliwy krok na drodze do o wiele większych osiągnięć.

Nurkowie zdążyli wrócić z obiecującymi wieściami. Promienie porannego słońca przenikały wystarczająco głęboko, by można było dostrzec dno zasłane ruinami i wrakami. Nadzy podekscytowani chłopcy i młodziutki dziewczyny baraszkowali w wodzie lub wspinali się na burty galery. Ten widok z pewnością rozpaliby żądze piratów, gdyby bardziej nie zaprzętała ich wizja czekającego skarbu i gdyby nie patrzyły na nich posępne oczy zatopionego tytana... Nie niepokojeni młodzi nurkowie coraz zanurzali się poi powierzchnię. W końcu ich przywódca, imieniem Keltras, zameldował Conanowi i czarnoksiężnikowi, że udało się dostrzec „Bazyliuszka”.

– Chcę go obejrzeć – powiedział Conan i bez namysłu odparał miecz i zdjął ubranie. Zatrzymał jedynie sztylet w pochwie i pas, który przewiesił sobie przez ramię.

– Zanurkuje z tobą – oznajmiła Philiope i zawahawszy się przez ułamek chwili, ściągnęła przez głowę spłowiałą od słońca suknię, po czym naga podeszła do Conana.

– Jeżeli sądzisz, że wytrzymasz, dobrze. Ruszamy!

Ujawszy ją za rękę, Conan podszedł za Keltrasem do burty. Wszyscy troje wspięli się na nią, przez chwilę oddychali głęboko i skoczyli do wody.

Cymmerianin zanurkował w zieloną głębinę płynąc za szczupłym chłopcem. Philiope, której włosy unosił słaby prąd, w otoczeniu drobnych pęcherzyków powietrza podążyła za nimi. – Keltras oddalał się coraz bardziej od srebrzystej powierzchni morza, posuwając wzdłuż fosforyzującego sznura, na którym zawieszono spiżowy klosz. Crotalus zabrał również dwa mniejsze dzwony, wielkości kociołków. Spuszczano je i podnoszono na przemiał na oddzielnych liniach, by dostarczyć do kresonu zapas świeżego powietrza. Para gibkich, khawarskich sylfid uczepionych skraju dużego dzwonu czerpała po kilka oddechów z małych kloszy i odwracała je dnem do dołu. Powietrze z łoskotem wpadało do kesonu. Mimo to spiżowy dzwon był wypełniony wodą do łowy.

Conan i Philiope wynurzyli się nad powierzchnię w ciasnej, zamkniętej przestrzeni. Powietrze było gęste, lecz dobre do oddychania. Keltras wystawił obok nich głowę tylko na moment i zanurkował dalej, jednak Cymmerianin i dziewczyna potrzebowali dłuższej chwili na złapanie tchu. Potem pocałowawszy się, podążyli w głębinę.

Gdy ich oczy przyzwyczyły się do mroku, ujrzeli połać dna, pokrytego w większości nie naruszonymi budowlami. Jedynie w kilku miejscach domostwa zawaliły się i zostały częściowo pogrzebane przez naniesiony przez wodę muł, wodorosty i gruz. Poza tym dookoła rozpościerał się labirynt krętych uliczek martwego od stuleci, zapomnianego portu.

Conan nie dopuszczał, by oszołomienie odebrało mu dech. Philiope tylko raz mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Oboje z całych sił pracowali rękami i nogami, zanurzając się coraz głębiej. W cieniach przy dnie pływały we wszystkie strony blade, szczupłe sylwetki młodych nurków, z gracją penetrujących ruiny. Conan skierował się w stronę najliczniejszej grupy, która zawisała przy niskiej, krótkiej grani. Nie była to koralowa rafa, lecz wrak statku.

Nie ulegało wątpliwości, że jest to „Bazyliszek”. Butwiejące szczątki były jedynymi, które znajdowały się w polu widzenia. Nie wiadomo, czy dlatego iż flota, która niegdyś kotwiczyła w tym porcie, już dawno zgniała, czy też kataklizm, który zatopił starożytne miasto, zniósł ją na pełne morze.

Port – płaska połać dna, ograniczona murami podwodnego mola, rozciągał się u stóp sięgającego powierzchni posągu. O dziwo, dolna część rzeźby była wolna od wodorostów, które oblepiły jej głowę. Z dna wyrastały krzepkie stopy, masywne białe golenie i ugięte nieco kolana. Niewiele alabastrowych płyt pokruszyło się lub odpadło tworząc kryjówki dla węgorzy i rozgwiazd. Potężne lędźwie pokrywały fałdy, imitujące namarszczoną tkaninę, a masywna pierś posągu była naga. Zatopiona, wzniesiona do pasa lewa dłoń dzierżyła niewielką tarczę. Wodorosty pojawiały się dopiero na wysokości szyi i prawego łokcia, obok których widać było stępki statków i opadające w dół liny kotwiczne.

Philiope i Conan kilkakrotnie wracali do kesonu wiszącego w cieniu tytanicznej rzeźby. Zgodnie z instrukcjami Keltrasa, spuszczone dzwon na wysokość dwóch dorosłych ludzi nad dno i przesunięto w pobliże wraku, co skracało drogę nurkom.

Wrak „Bazyliszka” był przekrzywiony na burtę. Jego stępka przełamała się, a z takielunku pozostał tylko pień masztu i kilka porośniętych glonami ułamków rei i lin. W boku kadłuba ziała wielka dziura, która niewątpliwie stała się przyczyną zagłady okrętu. Conan nie żywił wątpliwości, że było to dzieło spiżowego miecza w dłoni posągu. Niemordowani nurkowie przepływali przez otoczony kawałkami potrzaskanych desek otwór i znikali pod pokładem.

Po nabraniu w płuca świeżego powietrza Conan i Philiope wpłynęli do wnętrza kadłuba. W przypominającej jaskinię wielkiej ładowni galery migały niewyraźne cienie nurków i ryb. Tuż za sobą Cymmerianin dostrzegł klapę, do której prowadziły połamane schody. Przepłynąwszy przez właz, znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, oświetlonym przez dziurę po brakującej desce.

Szybko zorientował się, że zderzenie z posągiem było niespodziewane. Większość zaskoczonych załogi pozostała pod pokładem nie zdążywszy wyskoczyć za burtę. W dole przechylonej podłogi poniewierały się ludzkie kości, uwięzione w płataninie strzępów hamaków, pasm jedwabiu i rzemieni. Kłębawisko szkielecików ze szczyrzącymi zębami czaszkami i wykrzywionymi drapieźnie, pozbawionymi ciała rękami przemieszane było ze rdzewiejącą bronią i szczątkami sprzętów. Conan postanowił nie wspominać o tym grobowcu, by wystraszeni piraci nie wzniecili buntu.

Z palców leżącego obok włazu szkieletu o grubych kościach Cymmerianin wyluskał ciężką złotą rękojeść miecza. Chociaż słona woda dawno już przeżarła stal, musiała to być wspaniała broń odpowiednia dla kapitana. Duży czerep o masywnych łukach brwiowych był już pozbawiony rudych loków, którym Kobold zawdzięczał swój przydomek, lecz można go było rozpoznać po zniekształconym oczodole. Osławiony kapitan miał tylko jedno oko, więc istotnie był to jego szkielet Conan z szacunkiem nakrył czaszkę znaną zlozoną w pobliżu pozieleniała czarą.

Nagle poczuł, że zużyte powietrze zaczyna palić go w piersiach. Upuścił złotą rękojeść. Wparłszy barki w oślizgłe wręgi, barbarzyńca spróbował podważyć nadwątlone deski pokładu. Drewno wytrzymało jednak, być może dlatego, że z braku tchu Conanowi zaczęło brakować sił. Odwrócił się w stronę prowadzącego w dół włazu i podpłynął w jego kierunku. Gdy tylko znalazł się z powrotem w ładowni, wpadł na nurka – dziewczynę, która odepchnęła się od niego kopnięciem i zniknęła w ciemności.

Przypadkowa szamotanina sprawiła, że wzburzony muł na chwilę oślepił Conana. Gdy ponownie zorientował się, gdzie jest dziura w kadłubie, wydało mu się, że jest do niej dalej niż poprzednio. Nim zdołał minąć potraskane deski, bezużyteczne powietrze wyrwało mu się z ogarniętych gwałtownymi skurczami płuc. Przed sobą dostrzegł nieprawdopodobnie odległy dzwon. Ogarnięty paniką, przepłynął kawałek, spazmatycznie wymachując rękami. Uderzywszy w linę dla nurków, podciągnął się po niej rozpaczliwie.

Wśród zasnuwających pole widzenia, wirujących czarnych płatów ujrzał, iż jedna z dziewcząt, które dostarczały do kesonu świeże powietrze, płyńcie z gracją wprost w jego ramiona. Objąwszy go z całych sił, pływaczka przytknęła wargi do ust Conana i wtłoczyła weń życiodajny oddech w chwilę po tym, jak resztki powietrza uciekły mu z piersi.

Przycisnął ją do siebie, wdychając łapczywie i dławiąc się. Po chwili pływaczka odpłynęła na bok, robiąc miejsce dla swojej towarzyszki. Druga dziewczyna zrobiła to samo co pierwsza.

Trzecią i ostatnią ratowniczką była sama Philiope. Jej pocałunek życia trwał najdłużej. W końcu pociągnęła Cymmerianina za sobą do kesonu.

Morskie nimfy wróciły do pracy, nie czekając na podziękowania. Gdy Conan odpoczywał pod kopułą, odzyskując siły, zjawili się podnieceni nurkowie z wiadomością, że znaleźli skarb.

Cymmerianin i Philiope zanurkowali kolejny raz i dostrzegli rojowisko wzbijających piasek rąk i nóg poniżej wraku. Skarby Kobolda widocznie wysypały przez przegniłe deski i osiada w mule. Wpływający pod kadłub młodzieńcy muszlami i łopatkami wygrzebywali złoto oraz klejnoty. Na ich żądanie ze statku spuszczone kosze wraz z narzędziami ułatwiającymi wydobywanie kosztowności.

Conan i Philiope podpłynęli, by przyjrzeć się temu z bliska. Ponieważ przy wraku trudziło się mnóstwo nurków, ich pomoc była na razie zbędna. Młodzieńcy i dziewczyny pracowali zapamiętanie, nie myśląc o tym, jak skromny przypadek im udział w łupie. Conan podejrzewał jednak, że i tak podkradną sporą część zdobyczy. Niektórzy odrzucali sakwy z kamieniami, służące im jako balast i zamiast nich obwieszali się lśniącymi łańcuchami, bransoletami i pasami z masywnymi sprzączkami.

Złoto i klejnoty połyskiwały jaskrawo. Ich szlachetna natura uchroniła je przed zgubnym wpływem mułu i słonej wody. Szczerniały tylko sztaby srebra i zastawa stołowa wykonana z tego metalu.

Prace nad wydobywaniem kosztowności trwały przez całe popołudnie. Kotły z powietrzem systematycznie wciągano na powierzchnię i znów zanurzano, kosze i sita napełnione drogocennymi przedmiotami wnoszono na pokład „Kruka”. Nurkowie krzątał się wokół kesonu jak ławica białych ryb. Siła Conana kilkakrotnie okazała się przydatna przy wydobywaniu ciężkich złotych posągów i sztab. Jednak w czasie pracy szybko zaczynało mu dudnić w głowie, dlatego też w końcu wrócił z Philiope na pokład galery.

Na statku panowała nie mniejsza krzątanina. Obracano wielokrażki, wciągano ładunki, skrzypiały bloczki, przeklinali oficerom wie. Piraci gorączkowo sortowali i czyścili łup zwalany na główni pokład karaku. Kradł, kto mógł, a bójki doprowadziły już do pierwszych ofiar śmiertelnych. Conan postanowił, iż po uporaniu się z „Bazyliżkiem” przeszuka obydwie statki od stępki po wierzchołki masztów, by odzyskać skradzione kosztowności, po czym cały skarb umieści się pod kluczem do czasu, gdy będzie można go spokojnie rozdzielić. Na razie prace

nadzorowane przez Ivanosa, Hrandulfa i Santhindrissę postępowały rażno. Żądza złota sprawiała, że piraci zapomnieli o zabobonach. Wszystkie rozmowy dotyczyły skarbów.

– Mamy tu diademy z rubinami, inkrustowane szafirami berło i... Co to takiego, Lavrusie, hełm bojowy? Z białego złota, o ile się nie mylę? Zdrap pakle, zobaczymy, czy są na nim jakieś klejnoty.

– A co w środku? Znowu monety? Eee... Powinniśmy wyrzucić je za burtę. Przez nie zabraknie nam miejsca na prawdziwe skarby!

– Uważaj, co gadasz, Orfosie! Nie pyskuj przeciw szczodrości bogów – padła odpowiedź. – To najwspanialsza zdobycz, jaka trafiła się od czasu, gdy zostałem piratem... i to bez rozlewu krwi! Jak myślicie, czy to zły znak?

– Wiem jedno: za to wszystko można kupić całe miasto – uśmiechnął się jednooki Lavrus, zeskrobując sztyletem narośle ze złotego hełmu. – Jest tego dość, byśmy wszyscy żyli jak sztechta do końca życia. O ile duch Kobolda pozwoli nam zatrzymać swój skarb...

– A czemu nie? – sparował Orfos. – Rudy Kobold należał do naszego Bractwa. Poza tym nie potrzebuje już tych błyskotek. Niech w pokoju spoczywa na dnie razem z Panem Dagonem.

Orfos, który pochodził z jednego z morskich plemion, przyklęknął z szacunkiem, kreśląc dłonią krąg na pokładzie.

Podsłuchując ich rozmowę, Conan był zadowolony, że piraci, którzy pozostali na powierzchni, nie widzieli ruin znajdujących się pod ich nogami. O wystarczający lęk przyprawiał ich posępny posąg. Większość morskich grabieżców nie potrafiła pływać, a tym bardziej nurkować i bardzo dobrze, gdyż można było nie obawiać się, że podmorska sceneria przerazi ich i wzbudzi lęk przed nadnaturalnymi zjawiskami. Mimo to należało się spodziewać, że młodociani nurkowie rozniosą wieści o niesamowitych widokach. Rozdartym między strachem i zachłannością piratom nie trzeba było lepszego materiału na długie nocne rozmowy. Conan podszedł do stojącego na dziobie Crotalusa.

– Wspaniała zdobycz, przekraczająca nawet to, co obiecywałeś – zwrócił się do Zembabwańczyka. – W tym tempie w ciągu kilku dni oczyścimy wrak.

– Tak też powiedzieli mi nurkowie – odparł czarnoksiężnik. – Oczywiście, o ile przez następne dni również będzie słoneczna pogoda i nikt nie zapadnie na chorobę wywoływaną przez zbyt głębokie nurkowanie.

– I o ile nie znajdą nas rekiny – przyznał Conan z ponurymi skinieniem głowy. – Wydaje mi się jednak, Crotalusie, że skarb „Bazyliczka” to być może zaledwie drobna część bogactw pod na szymi stopami. Nie pomyślałeś, że jeśli istotnie port zapadł się pod wodę w ciągu jednego dnia, a bez wątplenia było to bogate miasto, to musi się w nim znajdować więcej złota i klejnotów, niż jest w stanie unieść największy statek? – uderzył pięścią w poręcz burty. – Nurków czekałoby tu wiele lat pracy. Odzyskane kosztowności można by wykorzystać do odbudowy dawnej chwały Sarpedonu w jakimś nowym miejscu... – machnął ręką w stronę tytanicznego posągu, który wciąż z dezaprobatą przyglądał się krzątaniu śmiertelników.

– Nie, Conanie, a raczej Amro, jak wolisz się nazywać. – Crotalus rzucił mu ironiczny uśmiešek. – Pamiętaj, że skarby miasta są rozproszone i przeważnie ukryte. Jeśli starożytni kryli swoje kosztowności równie zazdrośnie jak współcześni mieszkańcy Aghrapur, trzeba by poświęcić co najmniej stu nurków, by znaleźć choćby jedną szkatułę – potrząsnął przecząco wygoloną głową. – Zważywszy na niebezpieczeństwa, trudności przy wydobyciu, ryzyko sztormów i zagrożenie napaścią innych piratów... Nie, kapitanie Amro, nie zavracałbym sobie głowy takimi pomysłami.

– Bzdury, magu! Byłem przecież na dnie! W Sarpedonie stały świątynie, pałace i rezydencje, w których na pewno nie tylko kryto kosztowności w skarbcach, ale i wystawiano je na widok publiczny. – Cymmerianin rzucił czarnoksiężnikowi wojownicze spojrzenie. – Nim odpłyniemy, zamierzam z pomocą nurków przeszukać kilka najbardziej obiecujących ruin. Zrobię tak bez względu na to, czy mi w tym pomożesz, jeśli jednak chcesz dostać swoją część łupu, życzę sobie, byś sporządził mi jak najlepszy plan miasta...

Chociaż Conan mówił półgłosem, by jego słów nie podsłuchali członkowie załogi, Santhindrissa i stojący z nią w pobliżu oficerowie zorientowali się, czego dotyczy rozmowa. Wysoka przywódczyni piratów podeszła do nich szybkim krokiem.

– Kapitanie, zaciekało mnie to, co usłyszałam o zatopionym mieście –

przerwała im. – Jestem niezłą pływaczką i chciałabym zejść z tobą na dno. Jeżeli wrócimy stamtąd z jakimiś skarbami, bez wątpienia uda się nam przekonać naszego współnika – skinęła głową w stronę Crotalusa – że twój plan jest rozsądny – urwała na chwilę patrząc niemal z pokorą. – Wolałabym popłynąć już teraz, zanim skończy się dzień i przejdzie mi odwaga.

Tak też się stało. Podobnie jak wcześniej Philiope, Santhindrissa podeszła do burty i zrzuciła ubranie, obnażając szczupłe i twarde jak rzemień ciało. Ubiór ze skóry i spiżu złożyła na pokładzie, zostawiając sobie tylko pas ze sztyletem na biodrach. Oczy piratów mimowolnie zbłądziły w jej stronę, lecz wszyscy obwiesie bardzo się starali, by Stygijka nie dojrzała przypadkiem tych spojrzeń. Santhindrissa beztróska wspięła się na burtę i skoczyła do wody za Conanem.

W ciągu kolejnych dni Conan, Philiope i Santhindrissa często wspólnie nurkowali. Szybko nabierali zręczności w poruszaniu się pod wodą. Czasami jeden z portowych nurków, który pełnił rolę ich przewodnika, torował im drogę przez okna do wnętrza zatopionych budowli. Największym zagrożeniem były chmury unoszącego się z dna mułu oraz węgorze, węże wodne i ośmiornice – okrutni mieszkańcy bezludnych domostw.

Conanowi i dwóm kobietom udało się wydobyć sporo kosztowności, aczkolwiek znacznie mniej i o wiele wolniej niż z wraku „Bazyliuszka”. Z budynków, z których niegdyś roztaczał się widok na port, pochodziła zastawa stołowa i kandelabry z nie oszlifowanych diamentów. W głównej świątyni znaleziono inkrustowaną klejnotami misę i nóż ofiarny, a pośród zawałającego ulice gruzu często przebłyskiwały złote monety. Pozostałe znaleziska, głównie złote posągi, wystarczająco duże, by wystawać ponad warstwę szlamu, i solidne, i by oprzeć się niszczącemu wpływowi czasu, były zbyt ciężkie, by: wydobyć je na powierzchnię. Szukanie drobniejszych kosztowności lub wielkich, starannie ukrytych skarbów wymagałoby źródła światła, które można by zabrać do zatopionych komnat i piwnic. Zwykła metoda, polegająca na odbijaniu mętnych słonecznych promieni wypolerowanymi srebrnymi tacami i kierowaniu ich do budynków poprzez dostępne otwory w murach, okazała się niewystarczająca. W miarę jak poszukiwania zataczały szerszy krąg, coraz większym problemem był brak powietrza. Piraci w szalupie nie nadawali z dostarczaniem na dno kolejnych, odwróconych do góry dnem kotłów.

Trzeciego dnia Conan wypatrzył szeroką budowlę zwieńczoną kopułą sąsiadującą z ułamaną wieżycą. Był to bez wątpienia pałac królewski. Kamieniarka kopuły i licujące ją mozaiki okazały się szczelne. Dzięki temu wkrótce wypełniono ją przesyłanymi w dzwonach porcjami powietrza. Na powierzchnię wydobywał się jedynie cienki strumień pęcherzyków, wewnątrz kopuły zaś było bardziej przestronne niż keson. Dzięki temu nurkowie mogli zająć się dokładnym przeszukiwaniem pałacu.

Tymczasem na powierzchni panował przesycony obawami spokój. Przyzwyczajeni do harówki w ławach wioślarskich piraci dobrze radzili sobie z wyciąganiem koszy ze skarbami i wysyłaniem kloszy z powietrzem. Jedynie w czasie bezczynnych wieczorów i nocy, gdy ich wysiłki nie wzburzały powierzchni zastalego morza, a z nieba przyglądał się im obojętny księżyc, rozdrażnienie narastało do granic buntu.

Los chciał, że wrak znaleziono tuż przed pełnią. W nocy nie było dość jasno, by prowadzić podwodne prace, lecz zimne lśnienie, zalewając pokłady, utrudniało sen i wywoływało na nieruchomym morzu niesamowite, niespokojne odbłaski. Piraci szeptali wtedy o narastającym w głębinach gniewie, niewidzialnym mieście i zbezczeszczonej zatopionej galerze. Zwłaszcza członkowie morskich plemion i sam Hrandulf żyli w przesadnym strachu przed zemstą martwych piratów oraz przed potępionymi duszami, uwięzionymi w podwodnym królestwie Dagona i pragnącymi odwetu, a przynajmniej towarzystwa żywych.

Nurkowie, cenieni za solidną pracę, nie byli napastowani. Jednak na wszelki wypadek nadal zamykano ich na noc w ładowni. Łup, który zastępował pod pokładem karaku Conana głazy zabrane jako balast, sprawiał, że napięcie wśród piratów jednocześnie rosło i opadało.

Żaden z trudzących się w nadziei na bogactwo marynarzy nie mógł na dobrą sprawę narzekać, jednak perspektywa zdobycia iście książęcego majątku, jak każda nieoczekiwana i wielka odmiana losu, była przytłaczająca dla słabych i niewykształconych charakterów. Gry w kości i domino ciągnęły się całymi nocami.



Niektórzy piraci już teraz zadłużyli się bardziej, niż mogłoby wynieść ich udział w nawet najfantastyczniejszym łupie.

Nieustannie zdarzały się bezsensowne kradzieże. Najgorzej wyszedł na tym pewien zamorański łotrzyk, który ukradkiem spróbował połknąć inkrustowaną rubinami srebrną broszę i w efekcie udusił się. Oględziny zsiniałego trupa wykazały, że nie trzeba go rozpruwać, by wydobyć ozdobę.

Dwóch innych szubieniczników zniknęło bez śladu, zapewne w następstwie rywalizacji o łup. W djafurskim porcie takie rzeczy były na porządku dziennym, lecz podczas niespokojnych nocy na Vilayet nabrało to w oczach piratów złowieszczonego znaczenia.

Conan, który dzięki pomocy swoich towarzyszy mógł mniej czasu poświęcić dowodzeniu „Krukiem”, z zapałem oddawał się wyławianiu skarbów. Sporo uwagi poświęcał jednak obserwowaniu Crotalusa. Cymmerianin również swoim zastępcom polecił pilnie baczyć na wszystkie poczynania Zembabwańczyka. Mag zgodnie z poleceniem sporządzał plan zatopionego miasta, chociaż wykazywał znikome zainteresowanie wartością wydobytych skarbów. Co więcej, absolutnie nie wykazywał zrozumiałej w takich okolicznościach wojowniczości w kwestii podziału łupu. Codziennie spędzał wiele godzin na pokładzie dziobowym twierdząc, że strzeże statków przed nadejściem złej pogody, do czego czasem uciekali się nawet kapłani Tarima. Każdego dnia odbywał też dłuższą rozmowę z przywódcą nurków Keltrasem, rzekomo po to, by dowiedzieć się, jak postępują prace. Conan jednak zauważył, że przy którejś z tych rozmów czarnoksiężnik przekazał chłopcu jakiś jaskrawy metalowy przedmiot.

Nie widać było, by chłopak nosił przy sobie to, co dostał od Crotalusa. Ukrywanie otrzymanego przedmiotu przyszkolony był z trudem, ponieważ przeważnie był nagi. Wszelkie próby śledzenia Keltrasa pod wodą nie miała sensu. W mętym zielonkawym świetle wszyscy bladokórzy nurkowie byli podobni do siebie jak dwie krople wody.

W pamięci Conana utkwiał wszak pewien incydent. Któregoś popołudnia pozostał pod wodą niemal do zmierzchu, długo po tym, gdy zmęczona Philiope i Santhindrissa wynurzyły się na powierzchnię. Cymmerianin starał się otworzyć wielkie, podwójne drzwi w pałacu. Odrzwia cudem wytrzymały kataklizm, lecz były zamknięte lub zaklinowały się. Drewno mocno zbutwiało, jednak solidne spiżowe obicie sprawiało, że wejście nie stanęło otworem. Conan liczył, że po jego sforsowaniu łatwo dostanie się do najtajniejszych zakątków pałacu, gdzie, jak miał nadzieję, czekają na niego kosztowności równie liczne jak muszelki na morskim dnie. Okazało się, że w wyważeniu drzwi przyszło mu włożyć mnóstwo wysiłku. Długo odkopywał próg oraz podważał zaśnieżone zawiasy i rygle. Jeszcze więcej czasu zabierało mu podpływanie do kopuły dwa piętra wyżej.

W końcu drzwi poddały się i leniwie runęły na zewnątrz, wzbijając tumany mułu. Powstały wir obrócił Conanem. Wpłynawszy do wejścia, Cymmerianin ujrzał, że dalej znajduje się długa galeria i postanowił, że spenetruje ją następnego dnia.

Wszelako największe wrażenie zrobiło na nim to, co zobaczył daleko w głębi korytarza, dokąd nie był w stanie dotrzeć nawet najwytrzymalszy nurek.

Było to światło. Jaskrawsze od płomienia pochodni, lśniło jak okruch słońca w południe. Złoty blask odbijał się w mknących w górę bańkach powietrza. Nie był to jednak czarodziejski wieczny płomień na podwodnym ołtarzu. Światło wędrowało przez starożytne komnaty, jakby niesione przez ludzką dłoń. Jakiś blady, nagi nurek zdołał znaleźć sposób na rozjaśnienie tajemniczych morskich głębin...

Po chwili blask zniknął z pola widzenia.

## VI

### HARFA DAGONA

Ostatni poranek poszukiwań okazał się pogodny, lecz wietrzny. Piraci, którym ciągle doskwierała cisza morska, przyjęli to z dużą ulgą. Poprzedniej nocy jakiś miłośnik hazardu podczas załatwiania naturalnej potrzeby przy burcie ujrzał w blasku księżyca Rudego Kobolda i jego załogę, wspinających się na burtę galery. Wyżarte przez ryby twarze zjaw wykrzywiały się do pijanego pirata w szyderczych uśmiechach.

Zaalarmowana opętańczym wrzaskiem pirata załoga w komplecie wyległa na pokład. Okazało się, że za burtą znajdował się tylko jeden, i to w miarę świeży trup – jeden z zaginionych piratów, który wypłynął na powierzchnię po

trzydniowej wizycie w głębinie. Wyglądał istotnie przerażająco, lecz rozkład zwłok nie posunął się jeszcze na tyle daleko, by na pierwszy rzut oka nie można było stwierdzić, że przyczyną śmierci było poderżnięte gardło.

Ponieważ i tak nie można było znaleźć mordercy, trupa obciążono kamieniami i ponownie wysłano na wieczny spoczynek na: dnie. Zdarzenie to normalnie zakończyłoby się wyszydzeniem sprawcy zamieszania, lecz piraci, których obawy i przesądne lęki jedynie się pogłębiły, wrócili do kajut w posępnym nastroju.

Gdy nastał poranek, Conan podszedł do stojącego na pokładzie dziobowym, „Kruka” Crotalusa i zaczął rozmowę o rezultatach wyprawy. W końcu otwarcie zapytał go o niesamowite światło na dnie.

Nie udało się mu wytrącić czarnoskórego Zembabwańczyka z równowagi. Rysy maga jedynie zmarszczyły się w wyrazie subtelnego rozbawienia.

– Powiadasz, że widziałeś światło pochodni, kapitanie? Zapewne był to miraż, wywołany zbyt długim przebywaniem w głębinie. Słyszałem, że czasem ciężar wody oddziałuje w ten sposób na ludzki umysł. Podejrzewam, że było to zjawisko równie prawdziwe jak legion upiorów, który wyrwał was wczoraj w nocy ze snu. Przyznaję jednak, że w morzu żyją wydzielające światło węgorze – czarnoksiężnik wzruszył ramionami. – Zresztą jakie to ma znaczenie, skoro nasze statki są prawie pełne? – objął szerokim gestem karak i galerę, której głęboko zanurzony kadłub kołysał się ociężale na falach, odbijających się od nosa zatopionego posagu. – Nasza misja wkrótce dobiegnie kresu.

Conan zrezygnował z dalszej dyskusji. Rzadko zawierał układy z czarownikami, a gładkie szyderstwa Crotalusa irytowały go dodatkowo. Zostawił więc maga bawiącego się znaleźnikiem, wydobywając z dna przez jednego z nurków. Była to harfa z brązu ozdobionego złotymi ornamentami. Srebrne struny zachowały się doskonale. Po zdrapaniu z nich ciemnego nalotu wciąż można było wydobyć z instrumentu osobliwie rezonujące nuty.

Cóż, pomyślał Conan, nawet czarnoksiężnicy muszą czasami mieć dość swych zdradzieckich spisków i szukać prostszych rozrywek. Odchodząc, by dołączyć do szykujących się do nurkowania Santhindrissy i Philiope, słyszał za plecami jęk strun trąconych niewprawnymi palcami Zembabwańczyka.

Sytuacja na dnie pogorszyła się. Piracki skarb wyłowiono już prawie w całości, a jego pogrzebane pod kilem „Bazyliuszka” resztki były niedostępne. Gdy próbowano się do nich dokopać, szczątki wraku co chwila spadały na nurków. Na domiar złego pojawiły się rekiny, zwabione rozkładającymi się trupami piratów. Rzadkie z początku drapieżniki krążyły nieustannie wokół nurków, trącając ich niekiedy nosami. Utrudniało im to kontynuowanie prac.

Napełniwszy płuca w kesonie, Conan postanowił odegnać rekina, zagrażającego dziewczynom uzupełniającym powietrze w dzwonie. Nie zamierzał korzystać z noża, by zapach krwi wprowadził rekinów w szal, znany mu aż za dobrze z djafurskiego portu. Podpłynął więc do bestii i kilkakrotnie zdzielił ją w nos pięścią i łokciem. Ryba najpierw rzuciła się w jego stronę, lecz kolejne ciosy i solidny kopniak, wymierzony przez Santhindrissę, która podpłynęła do niej z tyłu, odebrały jej ochotę do walki. Conan pozwolił rekinowi odpłynąć, mając nadzieję, że w wodzie rozejdzie się woń strachu, co zniechęci mniejszych kuzynów drapieżnika.

Resztę poranka spędzono na plądrowaniu galerii, do której drogę Conan utorował poprzedniego dnia. Łup okazał się na tyle obfity, by wynagrodzić trudy. Niektóre znaleźniki były zbyt duże, by Cymmerianin mógł je wydostać na zewnątrz nawet przy pomocy obu kobiet. Zresztą i tak nie udałoby się załadować ich na przeciążone statki. Mimo to nie zrezygnowano z poszukiwań. Philiope kierowała do środka odbite od zwierciadła światło, dzięki czemu Conan i Santhindrissa mogli dotrzeć do inkrustowanych perłami pucharów i dzbanów pełnych rubinów i lapis-lazuli oraz do złotego kandelabru, który w mętnej głębinie połyskiwał niemal tak jaskrawo, jak w czasach gdy przybrany świecami dekorował królewskie komnaty.

Tajemnicza podwodna pochodnia i jej właściciel nie pokazali się więcej. Conan przeszedł niższe piętra pałacu na tyle głęboko, na ile starczyło mu powietrza. Później popłynął do kopuły z ciężką fajansową wazą i odwróciwszy ją, napełnił powietrzem, by zanurkować raz jeszcze. Dzięki temu dotarł dalej niż kiedykolwiek. Światło odbite od umieszczonych przy wyjściu zwierciadeł majaczyło słabo, rozpraszane przez unoszące się w wodzie cząsteczki mułu. W niemal całkowitym mroku Conan dostrzegł jednak przyglądającą się mu postać. Oblicze Dagona, przedwiecznego morskiego boga, zdobiły skrzela i rybi grzebień. Cymmerianin zużył już ostatni haust z fajansowej misy, więc uznał, że jego

pozbawiony powietrza umysł wytwarza zwodnicze omamy. Wypchnawszy z płuc ostatni dech, wypłynął z korytarza i z pomocą obu kobiet dotarł do kopuły. Dojście do siebie zabrało mu dłuższą chwilę.

Gdy odzyskał siły, z pomocą Philiope i Santhindrissy zabrał się do przenoszenia znalezionych w pałacu skarbów. Wkrótce jednak zaczęły się kłopoty. Liny z kosztami przesuwwały się zrywami i zamierały co chwilę. Po pewnym czasie w ogóle przestały być opuszczane. Troje nurków popłynęło w górę, by zbesztać piratów w szalupie, lecz gdy znaleźli się na powierzchni, zrozumieli, co było przyczyną zaniedbania pracy.

W odróżnieniu od spokojnej głębi, powierzchnię Vilayet pokrywały wściekle wzburzone fale. Grzywacze miotały szalupą, uniemożliwiając załodze ustanie na nogach i równe wciąganie lin. Obydwa okręty znosiły ten stan niewiele lepiej. Wiatr szarpał olinowaniem i przerzucał grzbiety fal nad burtami.

Skończyła się łaskawa pogoda, ale na szczęście poszukiwania skarbów prawie dobiegły końca. Walcząc z falami i wichrem, Conan dopłynął do „Kruka”. Rozkazał przyholować szalupy do burty, by można było zabrać piratów na pokład. Odwołano też nurków, którzy wspięli się po linach na statki i trzęśli się zimna, przerażeni niespodziewaną furią żywiołów. Keson spuszczone na dno, a do odchodzącej od niego liny przywiązano pustą beczkę na wypadek, gdyby był potrzebny w przyszłości. Z powodu przeładowania statków nie można było zabrać go w drogę powrotną.

Galera i karak miały duże zanurzenie, aczkolwiek ich ciężki ładunek sprawiał, że dobrze opierały się wichrowi. Szczyty fal raz po raz uderzały w rufę karaku. Mieciona przez wiatr woda siekła marynarzy, usiłujących zabezpieczyć sprzęt i pozamykać kłapy ładowni.

Jedynym człowiekiem, nie krzątającym się gorączkowo, był Crotalus. Wciąż stał beczynnie na dziobie karaku, trzymając w dłoniach wyłowioną z dna harfę. Nie trącał już jej strun, lecz w milczeniu przyglądał się szalejącym żywiołom. Nie okazywał jednak lęku. Sprawiał wrażenie wręcz rozbawionego.

– Hej, czarnoksiężniku! – krzyknął Conan podchodząc do niego. – Wicher wieje z północnego wschodu. Co jest przed nami na zawietrznej? Możemy pozwolić sobie na dryfowanie z wiatrem, czy mamy modlić się, żeby kotwice wytrzymały?

– Sądzę, że to taki sam wiatr, który zatopił „Bazyliuszka”. – Crotalus znów trącił struny harfy, której stalowe nuty natychmiast porwał wiatr. – Rudy Kobold dryfował z nim tak długo, dopóki mu pozwolili bogowie. – Zembabwańczyk uśmiechnął się filozoficznie i przytrzymał masztu. – Jak wiadomo, na zawietrznej rozciąga się hyrkańskie wybrzeże.

– Źle gdyby poniosłoby nas właśnie w tę stronę! – Conan wściekle potrząsnął czarną grzywą. – Nie wiesz, czy coś jest po drodze do brzegu? Jakież rafy czy wysepki, za którymi moglibyśmy się schronić? – Obojętne wzruszenie ramion maga brało mu wszelką nadzieję. – Nie ma żadnych zatok czy portów, do których moglibyśmy się skierować, gdyby kotwice nie wytrzymały? Wolę walczyć z hyrkańską konicą niż z grzywaczami i skałami!

Mag ponownie uśmiechnął się lekko, szarpiąc strunami harfy bez śladu melodii.

– Nie liczyłem na to, że w taką pogodę uda się pokierować statkiem, sterem, wiosłami czy żaglami. Nie widzisz, że wiatr i ustępuje, ale nasila się?

Skwitował retoryczne pytanie mocniejszym uderzeniem w struny. Srebrzysty ton zawisnął na chwilę w powietrzu, po czym zlał się z wyciem wichru.

– Na twoim miejscu nie cieszyłbym się tak, Crotalusie. Twojej części skarbu grozi dokładnie to samo co naszej. Twojej skórze również... – Conan utkwiał w nim zimne spojrzenie, przytrzymując się burty. Lękał się czarnoksięskich zaklęć na tyle, że nie ośmielił się otwarcie zagrozić magowi. – Nadszedł czas, byś wykorzystał swoje moce i zapanował nad pogodą.

– Zapewniam cię, że robię wszystko co w mojej mocy. Twój los, kapitanie Amro, jest w rękach bogów.

Zembabwańczyk nadal zachowywał się z wystudiowaną obojętnością. Narastający wiatr wprawiał struny harfy w wibrację. Zniechęcony Cymmerianin ruszył, by pomóc piratom w zwijaniu żagli i uszczelnianiu włazów. Większość zawadzających lin, potrzebnych przy wydobywaniu skarbów, zwinięto i schowano do ładowni wraz z niepotrzebnym takielunkiem. Conan żałował, że „Kruk” nie jest zakotwiczony dziobem do nawietrznej, dzięki czemu zmniejszyłyby się napór morza na ster i płaską rufę. Zaprzętnięty nurkowaniem, nie zadbał o właściwe ustawienie karaku, a teraz nie zamierzał ryzykować manewrowania statkiem przy narastającym wicherze.

Kolejna niedogodność polegała na złym rozmieszczeniu cum i lin kotwicznych.

Chociaż nie groziło im zerwanie, nie trzymały tak, jak należało. Z czterech kotwic, które rzucono z obydwóch statków, liny trzech znajdowały się po nawietrznej i służyły jedynie do utrzymywania „Kruka” i galery w bezpiecznej odległości. Na czwartej z nich, napiętej do granic wytrzymałości, obydwie statki podskakiwały przy każdej docierającej do nich fali jak garnące się do walki ogary na łańcuchach.

Cuma, którą owinięto wokół prawego nadgarstka tytanicznego posągu, okazała się przydatna do ustawienia karaku i galery bezpośrednio nad wrakiem „Bazyliuszka”. Kilkudziesięciosześniowa lina, której zapewne nic nie byłoby w stanie zerwać, rozpięta była jednak nad powierzchnią wody. Nie dość, że nie amortyzowała naporu fal, to jeszcze wibrowała w ich rytmie, co z trudnością wytrzymywało drewno statków oraz olbrzymie ramie rzeźby.

Na razie mimo bezustannych uderzeń fal i szarpania przez cumę, gigantyczna statua ani drgnęła. Jej porośnięta wodorostami bryła chroniła nawet nieco kadłuby statków przed masami kłębiącej się wody. Dlatego też Conan postanowił nie zdawać się wyłącznie na kotwice i nie ciąć cumy łączącej statki z rzeźbą. Przyjdzie na to pora, gdy położenie stanie się rozpaczliwe.

Philiope chwiejnym krokiem podeszła do Cymmerianina.

– Ile może trwać ta udręka? – zapytała, przekrzykując wycie wichru.

Uczepiła się napiętego olinowania. Miała na sobie koszulę z surowego marynarskiego płótna i pantalony, przemoczone doszczętnie przez niesiony wiatrem wodny pył. W tym samym momencie zaczął lać deszcz splukując sól z jej kruczoczarnych włosów, lepiących się kosmykami do mokrej szyi.

– Módlmy się do Tarima i Dagona, żeby nie było gorzej! – odpowiedział jej posępnie Conan. – Żeby wiatr nie zamienił w jeden z tych potężnych sztormów, jakie niekiedy nawiedzają Vilayet! Wygląda jednak nato, że pogoda się pogarsza. Powinnaś zejść na dół i zająć się nurkami.

Popołudnie równie dobrze mogłoby być nocą. Morze i niebo zlały się w jedno. Wylatujące w górę szczyty fal bez przerwy szturmowały złowieszczą powłokę czarnych chmur. Raz po raz biły błyskawice. Grzywacze wdzierały się już na pokład karaku. Potoki spienionej wody co chwila przewalały się nad okrętem podskakującym jak rozszalały ogier.

Santhindrissa udała się na pokład galery, na której znajdował się Hrandulf wraz z większością nurków. Statek wiosłowy o niższym kadłubie gorzej znosił napór fal. Galera była jednak w miarę solidna. Nie obciążał jej również kłopotliwy w tym momencie skomplikowany takielunek. Dla odmiany nad trójmasztowcem Conana wiatr miotał się między rejami zawodząc jak horda demonów.

– Czarnoksiężnik nie potrafi nam pomóc? – zapytała Philiope.

Przytuliła się do boku Conana, uparcie nie poddając się szalejącej nawałnicy.

– Nie, bawi się harfą i śpiewa dla nas wszystkich pieśń grzebalną. – Conan rzucił pełne złości spojrzenie na postać w bieli i dziobie. – Założę się, że dzięki swym magicznym umiejętnościom mógłby wskazać nam położenie wszystkich raf, skał i portów na Vilayet. Może Crom obdarzy mnie kiedyś łaską rozumienia pokrętnych myśli cywilizowanych ludzi!

– Obawiam się, że Zembabwańczyk chce, żebyśmy się rozbili. – Philiope przyłożyła usta do ucha Cymmerianina. – Nie uwierzyłabym mu, nawet gdyby ofiarował nam pomoc.

– Dlaczego nie? – zdezorientowany Conan zmarszczył brwi. – Na szali jest również jego część skarbu.

– Właśnie. Jeżeli sprawi, że utoniemy i przeżyje, wtedy za pomocą swoich czarów ponownie odnajdzie i wydobędzie skarb.

Conan nie odpowiedział. Zamyślił się, nachylając ku Philiope, by osłonić ją przed uderzeniami wichru.

– Jeżeli odetniemy kotwice i popłyniemy z wiatrem, nasze statki natychmiast się pogubią – zastanowił się na głos. – Tak czy owak, Crotalus straci połowę skarbu, bo wątpię, czy nawet za pomocą czarów zdołaliby śledzić drogę statku w tym szkwale. Poza tym obiecałem mu przecież połowę łupu, bez odliczenia zapłaty dla jego nurków.

– Owszem, ale Crotalus chyba nie bierze poważnie pirackich obietnic. Dlaczego nie miały się pokusić o zawładnięcie wszystkim, bez konieczności dzielenia się?

– Niech Crom i Manannan wygubią wszystkich czarnoksiężników, filozofów i cywilizowanych hultajów! Gdyby oni byli chociażby w połowie tak uczciwi jak piraci, chętnie wziąłbym ich na pokład i zagonił do wiosła, aż by się kurzyło! Nie, Crotalus nie przetrzyma Cymmerianina! – jego gniewne okrzyki natychmiast

zwiął wicher. – Zejdźmy pod pokład, fale stają się niebezpieczne!

Dygotanie pokładu oraz widok chwiejących się masztów sprawiły, że Conan zaczął poważnie obawiać się o całość swojego statku, a zwłaszcza steru. Aczkolwiek „Kruk” miał duże zanurzenie, ciężki ładunek zaś sprawiał, że na razie trzymał się pewnie, coraz wyższe fale zaczynały zagrażać jego stabilności. Zwały słonej wody uderzające w odsłonięte pióro steru mogłyby uniemożliwić manewrowanie statkiem. Conan zdecydował że nadszedł czas, by zaryzykować obrócenie statku na kotwicy.

Obmyślanie planu przerwał mu zgiełk pod pokładem. Z ładowni wyległo troje nurków, a tuż za nimi wyszła Philiope. Jeden z nurków, chłopiec o pajęczych kończynach, przedarł się po zalewanym wodą pokładzie do grotmasztu i zaczął wspinać się po wantach. Conan niewiele myśląc wskoczył na burtę i ruszył za nim po olinowaniu. Wspinaczka w czasie burzy była łatwiejsza niż poruszanie po pokładzie. Zręczny jak kot Cymmerianin bez trudu posuwał się w górę. Dopadł chłopca przy grotmaszcie, gdy ten szykował się do pokonania kolejnej rei. Okazało się, że jest to Keltras, przywódca nurków. Chłopak daremnie szarpnął się w uścisku Conana.

– Co się dzieje, chłopcze?! – barbarzyńca krzyknął mu prosto w twarz. – Włazenie na maszt w taką pogodę to pewna śmierć, nawet dla kogoś tak wyćwiczonego jak ty! Dlaczego nie zostałeś pod pokładem, aż skończy się sztorm?

– Musiałem się wydostać!... To gniew Dagona! Szuka mnie, ponieważ go obraziłem! Wespnę się jak najwyżej i będę prosił Tarima o wstawiennictwo, zanim połknie mnie nienasycona głęбина!

Słowem młodzieńca towarzyszyła rozpaczliwa szarpanina. Młócił na oślep rękami i kopał, by wydostać się z uścisku Cymmerianina i wleźć wyżej na maszt.

– Oszalałeś?! Co za nurek boi się morza? – Conan przy chłopaka do wąskiej platformy pod szczytem masztu. – Co takiego zrobiłeś, by wzbudzić gniew Dagona? Czy wasz morski bóg nie miłuje i nie troszczy się o was?

– Nie tego, kto wykradł jego harfę! Pradawny, święty instrument, którym przyzywa się wiatry!

– Ach, więc to tak!

Wymierzywszy w skroń młodzieńca cios, który pozbawił go przytomności, Conan przerzucił sobie Keltrasa przez ramię. Wkrótce ze swym bezwładnym brzemieniem dotarł na pokład. Poruszał się zgrabnie, nieomal instynktownie, na wycucie przytrzymując się klamer i lin. Przez głowę przeleciały mu niedawne sceny: niesamowita pochodnia w głębi pałacu, widziany przez ułamek chwili idol o rybiej twarzy i rozmowa z Crotalusem. To wyjaśniało wszystko. Zembabwańczyk był sprawcą tego sztormu!

– Philiope, zabierz tego szczeniaka pod pokład, niech zajmą się nim jego przyjaciele. Nie wiążcie go na wypadek, gdyby przyszło nam porzucić statek. Chłopak oszalał: wydaje się mu, że ciąży na nim przekleństwo Dagona, lecz może zdołacie wybić mu to z głowy. Nie wypuszczajcie go z rąk! Czekam na was teraz poważna robota.

Pozostawiając Keltrasa w objęciach dziewczyny, Conan ruszył kołyszącym się krokiem w stronę pokładu dziobowego.

– Podły czarowniku! – wrzasnął do przytrzymującego się want Crotalusa. – Dwulicowy zdrajco! To ty wywołałeś ten sztorm i ściągnąłeś na nas wszystkich nieszczęście! Ty wysłałeś chłopaka z magiczną pochodnią, by odnalazł dla ciebie harfę boga głębin, przyczynę bogactwa i świetności tego miasta oraz pewnie jego zagłady! Dlaczego chcesz, byśmy potonęli? Ty także zwariowałeś? Nic cię nie obchodzi skarby, które zdobyliśmy, ani własny żalosny żywot?

Krzyżąc gniewnie, Conan dotarł do przedniego masztu, lecz nie zbliżył się bardziej do Crotalusa. Harfa, na której grał Zembabwańczyk, gdzieś zniknęła.

– Masz rację, kapitanie – odparł mag z niezmaconym spokojem. – Skarby niewiele dla mnie znaczą. Miło jest posiadać bogactwo, lecz naprawdę przybyłem tu po coś innego. Zawsze szukałem sposobów zyskania nowej władzy i wiedzy. Harfa jest rzeczywiście potężnym narzędziem, lecz trudno nad nią panować. Niestety, chociażbym chciał w tej chwili odwrócić jej działanie, nie sądzę, bym mógł – uniósł rękę, wskazując niesamowity instrument, który zawiesił wysoko na rei. Było niemożliwe, by jakikolwiek śmiertelnik zdołał wspiąć się w taką pogodę po cienkich linach i rozplątać forsztąg. Na razie więc nie sposób było pozbyć się przeklętego instrumentu. Co więcej, chociaż czarnoksiężnik musiał szarpać za srebrne struny, by wywołać sztorm, nie było to już potrzebne do jego podtrzymywania. Każdy podmuch wiatru sprawiał, że ze złotej harfy dobywał się

nowy, niesamowity akord, którego wpływem rezonowało całe olinowanie okrętu.

– Piekielniku, ściągnąłeś burzę, która może zabić nas wszystkich! – krzyknął Conan, zagłuszając kakofonię wichru. – sztorm pewnie zatopi Djafur i Aghrapur! O jednym jednak zapomniałeś! Skoro wkrótce wszyscy mamy stać się pokarmem dla ryb; nic nie powstrzyma mnie przed skruceniem własnymi rękami twojego karku!

– Hola, hola, kapitanie! – Gdy Cymmerianin ruszył z groźną miną w stronę Crotalusa, ten nie cofnął się o ostatni dzielący go od burty krok, lecz nadal śmiało patrzył barbarzyńcy w oczy. – Czy z racji swej rangi nie powinieneś mieć przede wszystkim na względzie dobra statku? Jeżeli tak, na twoim miejscu zastanowiłbym się. Czuję, że karakowi grozi nowe niebezpieczeństwo, większe niż byłe nawałnica.

Istotnie, gdy czarnoksiężnik wypowiadał te słowa, Conan poczuł, że zmienił się rytm kołysania pokładu. Przytrzymując się masztuj Cymmerianin odwrócił się od czarownika i rozejrzał, co jest tego przyczyną. „Kruk” ciągle unosił się na wodzie. Fale jedynie od czasu do czasu wdzierały się na pokład. Niewiele gorzej radziła sobie galera ledwie widoczna z za szczytów przewalających się wodnych gór. Liny kotwiczne trzymały zarówno na dziobie, jaki na rufie. Biegnąca nad falami cuma sięgała do wynurzającej się z morza gigantycznej dłoni, oświetlanej potężnymi błyskawicami...

Czarownikowi chodziło o posąg. Conan pobrnał przez zalewany wodą pokład do stojaka z bronią. Chwycił ciężki topór i pobiegł z nim na rufę. Nie zatrzymał się, by podnieść właz i ostrzec ludzi w ładowni, ponieważ nie miał na to czasu. Gdyby mu się nie powiodło, ostrzeżenie i tak nie miałyby sensu...

Ślizgając się po podskakującym pokładzie rufowym, dotarł do burty i zamachnął się. Przy drugim ciosie topór przeciął kilka pasem cumy, odskoczył i uwiązał w deskach pokładu tuż przy bosej stopie Conana.

Zakławszy, Cymmerianin wyrzwał za rufę, by sprawdzić, czy oczy go nie myliły. Nie było wątpliwości, taranowana olbrzymimi falami i szarpana przez obydwie statki gigantyczna rzeźba przekrzywiła się na zawietrzną. Głowa i ramię z mieczem chyliły się pod nienaturalnym kątem nad wezbranym morzem. Zarost z chłostanych wiatrem wodorostów wisiał skośnie na podbródku posągu. Tytaniczna statua była bliska upadku i wciągnięcia karaku za sobą pod wodę.

Waląc raz po raz, Conan zdołał rozciąć kolejne twarde pasma. Jeden z trzech splecionych sznurów był już przecięty niemal do połowy, gdy cuma zjechała w bok i na chwilę straciła napięcie. Zaraz potem potężne szarpnięcie przyśpieszyło chwilę upadku posągu. Gdy tylko lina napięła się, Conan zaczął ją rąbać dalej. Po chwili udało się mu przeciąć jeden z trzech splecionych sznurów.

Cymmerianin zdwoił wysiłki, zaparłszy się kolanem o nadburcie. Zasypany gradem morderczych ciosów drugi sznur wystrzępił się, odwinął ze splotu i puścił. Resztką cumy nie mogła sama utrzymać statku przy tak silnym wietrze. Napięła się i pękła z trzaskiem w miejscu, gdzie naruszył ją topór.

Karak natychmiast skoczył do przodu pod naporem fal i wichru. Zacisnąwszy rękę na okrężnicy, Conan obejrzał się na tytaniczny posąg za rufą. Rzeźba przechylała się jeszcze szybciej. Po chwili z dolin między grzywaczami wyglądało już tylko jedno oko. Dla odmiany porośnięte wodorostami ramię z mieczem uniosło się wyżej niż przedtem. Wyszczerbione przez morze ostrze mierzyło niemal pionowo w błyskające pioruny. Nadchodziła chwila ostatecznej zagłady posągu. Potężna dłoń obróciła się, a miecz zakreślił nad głową majestatyczny łuk. W momencie gdy ostrze minęło najwyższy punkt swej drogi, oblicze o białych brwiach pograżyło się w morzu. Miecz pomknął z narastającą szybkością w stronę karaku, jak gdyby tytan zamierzał zabrać ze sobą w głębinę tych, którzy splądrowali jego rodzinne miasto.

Czub miecza przeciął wodę pół kroku od burty okrętu. Gdy do „Kruka” dotarła wyjątkowo wysoka fala, powstała wskutek upadku gigantycznej bryły spiżu i marmuru, rzuciło nim gwałtownie do przodu. Woda zmyła barbarzyńcę na środek pokładu. Conan zdołał się podnieść, szybko dotarł do koła sterowego i zdjął unieruchamiające je liny.

Nie było sposobu, by ostrzec galerę, która zniknęła pod osłoną wodnego chaosu i zapadającej nocy. Trudno było jednak sądzić, by czuwający na pokładzie oficer – Hrandulf, Santhindrissa czy Ivanos – nie zauważył upadku gigantycznego posągu. Conan miał nadzieję, że ktokolwiek się tam znajdował, rzucił niepotrzebne cumy i że kotwice galery wytrzymały. Sam wyglądał chwili, gdy karak napnie kotwiczne liny, lecz nie doczekał się. Być może przeciął je miecz padającego olbrzymia. Od czasu do czasu przerażeni marynarze zerkali na Conana z głównego pokładu.

Niewątpliwie zdawali sobie sprawę, że „Kruk” dryfuje z wiatrem. Żaden z nich nie odważył się jednak zbliżyć do kapitana, by odebrać polecenia. Dyscyplinę zmyło za burzę. Przywrócenie porządku kosztowałoby głośną połajankę i nadwerężenie paru czaszek pod pokładem, lecz Conan nie miał na to czasu. Na dziobie chwilami widać było wciąż sterczącego przy burcie Crotalusa, a piekielne wibrowanie harfy wiatrów nie ustawało ani na chwilę.

Conan pomyślał, że po upadku rzeźby nikt już nie zdoła odnaleźć zatopionego portu. Ruiny znajdowały się zbyt głęboko, by i było je widać z powierzchni. Nawet gdyby ktoś w przyszłości trafił w tę okolicę, szukanie grodu nurkowaniem na oślep byłoby stratą czasu. Crotalus zapewne zdołałby wrócić na to samo miejsce dzięki swoim czarnoksięskim umiejętnościom, lecz Conan przysiągł na rogową rękojeść miecza Croma, że raczej gołymi rękami zabije zembabwańskiego piekielnika, niż mu powtórnie zaufa. Na razie jednak sądził, że nie ma się czym przejmować. W ładowni karaku znajdował się wystarczająco bogaty łup. Do tego dochodziły skarby na galerze, o ile ta utrzyma się na powierzchni. W zamian Cymmerianin przysiągł, że raczej trafi razem z ładunkiem na dno, niż podzieli się nim z czarnoksiężnikiem.

„Kruk” gnał z wiatrem. Łopotała postrzępiona bandera z trupią czaszką. Nie sposób było ocenić szybkości karaku. Nie wiadomo było, co nadejdzie najpierw: świt, koniec burzy czy zagłada na hyrkańskim wybrzeżu. W każdej chwili stępka statku mogła zostać rozpruta przez niewidoczne skały, a skarb wraz z całą załogą znalazłby się na powrót w głębinie. Conan sądził jednak, że Zembabwańczyk do pewnego stopnia panuje nad żywiołami, co z kolei wskazywało, że czarnoksiężnik szykuje kolejny podstęp. Dlatego też Cymmerianin nie odchodził od steru, wytyżając słuch, wzrok i umysł, by być na niego przygotowanym.

Ze skłębionej, wyjącej ciemności wyłoniła się Philiope i stanęła u boku Conana.

– Khawarscy nurkowie zdołali uspokoić Keltrasa. Odpoczywają teraz pod pokładem. Obiecałam, że powiem im, jeżeli wydasz rozkaz opuszczenia statku.

– Dobrze – odparł Conan, obejmując ją, lecz nie wypuszczając steru z dłoni. – Jeżeli ktokolwiek zdoła uratować się z rozbitego okrętu i dopłynąć do brzegu, to właśnie oni. Co z piratami?

– Siedzą, jęczą i modlą się do Bel-Dagona. Jest ich zaledwie trzynastu i nigdy jeszcze nie widzieli takiego sztormu. Boją się wyleźć na pokład, boją się Crotalusa, a najbardziej ze wszystkiego boją się ciebie.

– I bardzo dobrze – warknął Conan. – Zresztą i tak nic by tu nie zwojowali. Jesteśmy na łasce czarownika – a on na dodatek może być na łasce czegoś potężniejszego od siebie. – Silniej przytulił do siebie mokre, szczupłe ciało dziewczyny. – A ty jak dajesz sobie radę?

– Nigdy w życiu nie znajdowałam się w takim niebezpieczeństwie – podniosła wzrok na poszarpany takielunek, rozświetlane błyskawicami niebo. Natychmiast opuściła oczy i spojrzała mu w twarz. – Cieszę się, że jesteś przy mnie – powiedziała i tuląc się mocniej do niego, złożyła mu głowę na piersi.

Szaleńcza gonitwa trwała przez całą noc. Wiatr nie ustawał, pchając przed sobą trójmasztowiec z taką łatwością, że chwilami wydawało się, iż „Kruk” leci w powietrzu. Conanowi przemknęło przez głowę, że powinien był się porządnie namyślić, nim nadał statkowi nazwę miłującego burzę ptaka. Walka z opornym kołem sterowym sprawiła, że ból w nadwerężonych barkach palił jak ogień, jednak Cymmerianin obawiał się je puścić, by karak nie ustawił się bokiem do wiatru i nie został zalany wodą. Gdyby nawałnica ze zelżała na chwilę, spróbowaliby wyrzucić dryfkotwę, lecz teraz, gdy nie można było liczyć na pomoc przerażonej załogi, zginąłby lub tylko przyśpieszył katastrofę. Musiał pozostać przy sterze.

Crotalus, mający dla siebie cały dziób, nie był tak bezradny. Widocznie znał się na marynarskim rzemiośle lub przyglądał się pracy załogi Conana. Niewątpliwie był też szalony, bowiem zakradł się na śródokręcie, zabrał nóż ze stojaka z bronią i zaczął ciąć liny do refowania. Żagle rozwinęły się z łoskotem i zaczęły łopotać. Czarnoksiężnik powrócił pod grotmaszt i przeciął kolejne liny, tym razem fokę sztormowego.

Skutek był natychmiastowy. „Kruk” dwukrotnie przyśpieszył. Przez kilka chwil Conan bał się, że maszty połamią się albo nieszczęsny statek stanie dęba i zatonie. Takielunek jednak wytrzymał. Zaledwie jedna czy dwie liny pękły z trzaskiem, przez co żagle łopotały jeszcze głośniejsze. Statek pomknął ku swojemu przeznaczeniu przez mętłą i mokrą ciemność.

Za sprawą opętańczych poczynań Crotalusa niebezpieczeństwo nadeszło szybciej,

niż można by się spodziewać. Przed dziobem pojawiła się poświata przyboju, słychać było łamiące się o brzeg fale. Conan robił co mógł, sterując na oślep.

– Czas ostrzec załogę! – krzyknął do Philiope. – Niech czekają na rufie! Niebawem wpadniemy na skały!

Kilka chwil później piraci i nurkowie wylegli na chłostany wichrem pokład. Khawarczyzy posuwali się do burty z większą ochotą niż przerażeni morscy grabieżcy, z których większość bała się wody i nie potrafiła pływać. Philiope przedarła się z powrotem do Conana.

– Skoczysz razem ze mną, kiedy nadejdzie czas? – krzyknęła.

– Nie, musisz ratować się z resztą! – pokręcił przecząco głową. – Przysiągłem sobie, że jeżeli będzie trzeba, pogrzebię statek i skarb. Słyszysz, Crotalusie?! – wrzasnął. Tym razem wicher usłużnie wyrwał mu słowa z ust i poniósł je w stronę czarownika. – Kiedy statek rozbije się o brzeg, dopadnę cię i zatłukę jego resztkami!!!

Szaleństwo nawałnicy nie pozwalało stwierdzić, czy czarnoksiężnik odpowiedział na jego wołanie. Philiope przysunęła się jeszcze bliżej Conana i objęła go w pasie.

– Jeżeli nie chcesz opuścić statku, zostanę z tobą! – zawołała przekrzykując szkwał.

– Niech tak będzie! Razem zginiemy lub przeżyjemy! – odpowiedział zaciskając mocniej dłonie na sterze.

Odgłosy nawałnicy stawały się coraz bardziej złowieszcze. Wydawało się, że przed statkiem dyszy chrapliwie jakaś demoniczna istota. W chwilę później niebo przecięła wyjątkowo jaskrawa trójzębna błyskawica. W jej świetle ukazała się błada plaża. Drogę do niej zagradzały czarne zęby skał, na których rozbijały się spienione grzywacze. Na rufie rozległy się ginące włoskocie krzyki zgrozy piratów.

– Przed nami Hyrkania! – krzyknął Conan, gdy cichły ostatnie gniewne pomruki. – Koniec podróży! Może minie kilka chwil, zanim fale rozbija „Kruka” o skały. Gdy wpadniemy na nie, skoczę na dziób i uduszę tę czarnoksięską zarazę! Potem, jeśli Crom okaże się łaskawy, spróbujemy dopłynąć do brzegu!

Nim skończył mówić, kruche, żalodne figurki zaczęły wyskakiwać za burty. Byli to przeważnie khawarscy nurkowie, próbujący się ratować parami i trójkami. Piraci, którym nie pozostało nic innego, przełazili przez burty. Ogarnięci zgrozą trzymali się ich tak długo, jak tylko mogli i w końcu rozwierali dłonie. Wielu z nich było z góry skazanych na śmierć.

Linia brzegu wydawała się wyszczerzoną w uśmiechu, najeżoną kłami paszczą. Spienione fale mżyły blaskiem nawet wtedy, gdy nie błyskały pioruny. Statek przyhamował raptownie, po czym dzwignął się chwiejnie, wspinając na skały. Conan usłyszał przeciągły zgrzyt i mocniej przytulił Philiope.

W jednej chwili zapanował nieopisany chaos. Skrzypienie kadłuba upodobniło się do ryku wściekłego słońia. Zdawało się, że lada chwila deski statku rozprysną się we wszystkie strony. Conan zatoczył się na burtę za plecami i niemal stracił przytomność. Philiope wylądowała na nim. Rufa statku dzwignęła się pod niebo, wibrując i dygocząc.

– Co tu się dzieje, na gadzie plemię Seta?! – krzyknął Cymmerianin.

Podniósł z pokładu nieprzytomną Philiope, której głowa bezwładnie uderzała o podskakujące deski stojącego dęba statku. Przycisnął jej ręce do ciała i podtrzymując dziewczynę jedną ręką, równocześnie usiłował wyjrzeć nad burta. Gdy się to udało, jego oczom ukazał się niesamowity widok.

Spienione fale z łoskotem szturmowały brzeg. Skalistą plażę znalazła się za nimi. Obok statku przesuwwały się przyginane do ziemi drzewa. Wydęte żagle na skrzypiącym fokku i grocie niepowstrzymanie pchały okręt przez noc. Dookoła wiatr ryczał tysiącem głosów, zawodząc jak chór demonów i śpiewając jak harfa.

Karak wpadł na brzeg i nie zatrzymując się, pędził dalej.

– Crotalusie! – ryknął Conan odpychając się od burty. – Cóż i to za diabelski czar! Zamierzasz zabrać nas ze sobą do piekła?

Zatoczył się do przodu i padł na kolana. Gnany niezmierną siłą statek nieustannie podskakiwał i dygotał. Noc zamieniła się w wir; miecionego przez wicher piachu, wyrwanych z korzeniami drzew, krzewów, deszczu i rozwidlonych błyskawic.

Rejs po morzu ciemności trwał.



## MIASTO NOMADÓW

Noc była zawodząca wściekle ciemnością. Była również bezwolnym kuleniem się, poddańczą niemożnością swobodnego poruszania, strachem przed wypadnięciem za burtę i roztrzaskaniem o ziemię. Była rozpaczliwym, instynktownym czepianiem się czego popadło. Odmową poddania się, przysięgą pozostania do końca na pokładzie skazanego na zagładę statku, który dosiadły potężnie czujące demony.

Nienaturalnie ciemna noc ciągnęła się bez końca. Jazgotanie wichru nie cichło. Zmusiwszy się do ponownego wyjrzenia za burtę, Conan ujrzał mijane w pędzie, oświetlane błyskawicami wierzchołki wzgórz, połacie trawy i falujące jak ogarnięte sztormem morze krzaki. Czuł, że kil „Kruka” szoruje po twardym, kamienistym gruncie wschodniej równiny. Widział, jak stada dzikiej zwierzyny pierzchają przed dziobem okrętu. Tworzące się nieustannie wiry powietrzne mknęły razem z nim jak miotające się w obłądnym tańcu dziny. Dostrzegł pogrążoną w niespokojnym śnie wioskę. Po chwili poczuł, jak stępka karaku miażdży chaty i zagrody. Pęd wiatru wyrzucił nad burty resztki strzech i dachówek. Zawirowały wokół wyprostowanej postaci Crotalusa i przepadły w ciemnościach.

Pokład co chwila stawał dęba. Kołysaniu na boki towarzyszył trzask łamanego drewna i łoskot, gdy ziemia zdzierała kolejne warstwy poszycia. Wszystko to dowodziło, że Ferdinałd zbudował statek tak solidnie, jak życzył sobie tego Conan. Żagle trzymały się na rejach, maszty i wręgi nie rozpadały się. Wbrew wszel prawom boskim i ludzkim, okręt pędził dalej.

Noc skończyła się wydzierającą dech z piersi burzą piaskową Powietrze wypełnił pył i szczytki roślin, szorujące po pokładzie tak gwałtownie, iż Conan sądził, że „Kruk” zbliża się do oka cyklonu. Mieciono wichrem drobiny niemiłosiernie raniły skórę. Cymmerianin zakrył ramieniem oczy i wystawiając grzbiet pod na wiatru, zasłonił własnym ciałem Philiope.

Gdy w końcu nawałnica ustała, a statek znieruchomiał, był już blady świt. Karak zatrzymał się na skałach u brzegu potoku wezbranego po górskich deszczach. Niedaleko na obszernej równinie wznosiło się miasto. Conan zmiotł z siebie naniesione wiatrem śmiecie i kurz, wyplątał nogi spod kłębowiska lin, po czym wyprostował się. Włosy miał wciąż mokre i zlepione solą. Dygotał z zimna, mimo że i ciepły, pogodny poranek. Czarnoksiężnik zniknął z roztrzaskanego dziobu statku.

Miasto otoczone było palisadą, w której znajdowało się mnóstwo bram. Drewniana fortyfikacja otaczała skupisko niezliczonych i miotów różnych kształtów. Wyglądało na to, że nocna burza; wyrządziła im żadnych szkód.

Conan pomógł Philiope zejść z pokładu. Razem zeskoczył ze zgruchotanego kadłuba. Z dziur w pokieroszowanym poszyciu „Kruka” wysypały się kaskady jaskrawych klejnotów i złota.

Nie sposób było orzec, jaka część morskiego skarbu została stracona na trasie szaleńczego rejsu po łądzie. Arkusze złotej blachy i sztaby, które zastąpiły balast, prawdopodobnie wypadły po drodze. Przez szpary w kadłubie wysypały się drobniejsze kosztowności z rozbitych skrzyń i antałów z ładowni. Schyliwszy się Conan podniósł inkrustowaną rubinami kolbę i zapiął ją na szyi Philiope. Wyszukał ozdobiony klejnotami srebrny grzebień, który; dziewczyna wpięła w wilgotne, pachnące morską wodą włosy. Nazbierał też pierścieni i bransolet, które oboje pozakładali na palce i nadgarstki.

Na wprost nich otworzyła się szeroka brama w drewnianej palisadzie. Z wnętrza miasta wyłonił się orszak jeźdźców w pstrych strojach. Przodem jechali strażnicy miejscy z długimi, prostymi lancami, powstrzymujący następujący im na pięty dum pieszych i konnych mieszkańców. Wśród członków tej procesji przeważali jeźdźcy w puchowych kurtkach i obszytych futrem blaszanych szyszakach, uzbrojeni w szable i łuki. Orszak konnicy zjechał na brzeg strumienia. Stroje i śniade oblicza o wysokich kościach policzkowych świadczyły dobitnie, że są to Hyrkańczycy.

W środku orszaku sunął powóz, ciągnięty przez tuzin koni. Wielki, przypominający dom pojazd jechał ze skrzypieniem czterech par potężnych, okutych brązem kół. Z przodu nad miejscem woźniców wystawał balkon z kunsztownie rzeźbioną balustradką i daszkiem. Trzy czy cztery osoby mogły stąd przemawiać do tłumu lub rozkazywać w czasie walki. Z boków powozu wystawały niższe wieżyczki obronne obsadzone przez hyrkańskich łuczników.

Postać, która teraz pojawiła się na balkonie pojazdu, sprawiała wrażenie najdumniejszego spośród stepowych jeźdźców. Hyrkańczyk miał na głowie wysoki spiżowy hełm, ozdobiony kręgiem miniaturowych wieżyczek, na których szczytach

kołysały się złote wisiory. Mimo pozorów niezmiernego bogactwa, pobrużdżona twarz mężczyzny w średnim wieku świadczyła, iż nieobce były mu trudy surowego życia. Jego szerokie barki okrywała peleryna z podszytych jedwabiem sobolowych skór. Hyrkańczyk z monarszą godnością wydawał rozkazy woźnicom, równocześnie prowadząc rozmowę z kimś, kto po chwili wyłonił się z wnętrza pojazdu. Na widok wysokiego czarnoskórego pasażera w białej szacie Conan zacisnął zęby. Był to nie kto inny, jak czarnoksiężnik Crotalus.

Conan i Philiope ruszyli naprzód, nie czekając, aż hyrkańska świta zbliży się do nich. Cymmerianin stapał dumnie jak król na własnych włościach, aczkolwiek zrobił najwyżej tuzin kroków, nim powstrzymały go włócznie gwardii stepowego władcy.

Masywny pałac na kołach zahamował z dudnieniem i skrzypieniem na udeptanym błocie przy brzegu strumienia. Szeregi pieszych i konnych żołnierzy sprawnie rozstawiły się po jego bokach otaczając równocześnie rydwan i wyładowany skarbami statek. Zza ich szyku wyglądały twarze mieszkańców miasta w futrzanych czapach, niewątpliwie zafascynowanych widokiem strojnych, obwieszonych klejnotami cudzoziemców i statku ze skarbem, który jakimś cudem znalazł się o wiele mil od morza.

– Naprawdę jesteście rozbitkami? Rzeczywiście fimbul przygnał was tutaj zeszłej nocy z Morza Środkowego? – padło pytanie skierowane do Conana. Stepowy władca użył hyrkańskich określeń na Vilayet i burzę na morzu.

– Istotnie – odparł Amra w tym samym języku. – Nazywam się Conan, jestem wędrowcem z dalekiej Cymmerii. Uczyłem się żeglowania po Vilayet – otoczył Philiope ramieniem, nie fatygując się jednak, by ją przedstawić. – Gdzie właściwie jesteście? I do kogo mam zaszczyc się zwracać!

– Znalazłeś się na łasce Antulli, kagana Klanu Jaka, najpotężniejszego z hyrkańskich klanów – po tych dziwnych słowach władcy konni żołnierze pozdrowili go okrzykami i zasalutowali bronią. – Miasto, które macie przed sobą, to Attar Karapesk, moja stolica. – Gdy ucichło łomotanie szablami o tarcze, Antulla kontynuował: – Dobrze się stało, że przybyliście tu właśnie po wczorajszym sztormie. Gdyby nie deszcz, złożylibyśmy namioty i ruszyli dalej.

– Chcieliście porzucić stolicę? – zapytał Conan. – Wiem, że sztorm był gwałtowny, ale... – urwał, bowiem znów zdumiało go, jak palisada i namioty mogły przetrzymać nawałnicę, która przygnała tu „Kruka”. Był to kolejny dowód na czarnoksiężskie pochodzenie burzy.

– Nie zamierzaliśmy jej porzucić, lecz przenieść Attar Karapesk na południowy step, by przygotować się do przypadającego za miesiąc zgromadzenia klanów – odpowiedział władca. – My, Hyrkańczycy, jesteśmy koczownikami – dodał z szerokim gestem obleczonego w jedwabie ramienia – Można by rzec, żeglarzami stepu, miłującymi swobodną wędrówkę po otwartych przestrzeniach. Nie mamy ochoty pędzić życia grzęznąć we własnych odchodach, zamknięci w kamiennych murach jak mieszczychy z cywilizowanych krain – pokręcił głową, przy czym wisiory jego nakrycia głowy zakołysały się dźwięcznie. – Ponieważ ziemia rozmokła, opóźni to nasz odjazd o dzień czy dwa – dodał, wskazując wezbrany strumień, rażno toczący swe wody za wrakiem „Kruka”. – W zamian z radością przyjmiemy również bogactwa z twojego statku.

– Cóż, oczywiście, wodzu – zgodził się natychmiast Conan. – Z wielką przyjemnością oddam ci połowę skarbu jako podziękowanie za gościnę, wynagrodzenie za wyrządzone szkody i zapłatę dla żołnierzy i woźniców, których będziemy potrzebować, by dostać się na wybrzeże z naszą własnością. Wyprawa tego nieszczęsnego statku zakończyła się katastrofą i ja jako jego kapitan marzę jedynie o bezpiecznym powrocie do domu.

Po słowach Conana na ogorzałym obliczu kagana wykwitł ironiczny uśmiech.

– Muszę przyznać, kapitanie, że skończyły się dobre czasy twojego statku. Również załoga wydaje się mocno przerzedzona – żart wodza wywołał gardłowe śmiechy żołnierzy patrzących pożądlivym wzrokiem na klejnoty Conana, a zwłaszcza na Philiope. Antulla mówił dalej: – Jestem wielce wdzięczny za twoją szczodrobliwosć, lecz obawiam się, że ktoś już zdążył okazać się hojniejszy od ciebie – wyciągnął dłoń ku wysokiemu, szczupłemu czarnoksiężnikowi. – Twój były jeniec, który, jak powiada, nazywa się Crotalus, zapewnił mnie, że skarb należy do mnie. Zrzekł się go na rzecz Cesarstwa Hyrkanii, oddając na dowód przyjaźni pod pieczęć mojego klanu.

Po ostatnich słowach kagana tłum zaczął wiwatować na nowo. Conan obejrzał się na pilnujących statku pieszych i konnych wojowników. Grupa jeźdźców ruszyła na

zachód śladem wyżłobionym w ziemi przez kil okrętu. Bez wątpienia żołnierze otrzymali rozkaz zebrania kosztowności, które wysypały się przez dziury w kadłubie.

– Czy Crotalus powiedział ci również, że jest zdradzieckim czarownikiem, który doprowadził do zagłady statku i śmierci znacznej części mojej załogi? – zapytał Conan, śmiało spoglądając w stronę władcy. Ten popatrzył nań obojętnie z góry.

– Dowiedziałem się od niego co nieco o tobie, Conanie z Cymmerii, a może powinienem rzec, Amro z Czerwonego Bractwa? Jeżeli istotnie doprowadził do śmierci twojej załogi, jest to czyn godny pochwały, ponieważ piraci sprawiają wielkie kłopoty handlowi na naszych wybrzeżach.

– A posiedział, że to on jest sprawcą piekielnego wiatru, który nas tu przygnał, siejąc po drodze spustoszenie na twoich ziemiach? – wziawszy pod uwagę fakt, że stepowy władca nie zarządził jego natychmiastowego stracenia, Conan postanowił nie zapierać się swojej tożsamości. Zamierzał zachowywać się hardo, by zyskać sobie szacunek wodza. – Czy zwierzył ci się, że jest sługą i powiernikiem cesarskiego dworu w Aghrapur i podczas poprzedniej swojej wyprawy plądrował hyrkańskie wybrzeże?

– Co do zaczarowanego wiatru, nie wyrządził on żadnych szkód naszemu miastu, dlaczego więc miałbym uważać tego, kto go wywołał, za wroga? – odparł Antulla, zwracając się równocześnie do Conana i tłumu gapiów. – Wiedz, piracie, że to jest Hyrkania, osławiony kraj stepów i demonów. Czarów nie uważa się tutaj za występki. Wręcz przeciwnie, zyskuje się dzięki nim szacunek i podziw – schyliwszy się, Antulla uniósł przedmiot, w którym Conan rozpoznał Harfę Dagona. Hyrkańczyk uniósł ją nad głowę. – Oto instrument, za pomocą którego Crotalus przywołał wiatr. Ofiarował się dbać o nią i wykorzystywać ją do naszych potrzeb jako jeszcze jeden wyraz swej dobrej woli – opuścił harfę, uważając, by nie potraścić jej strun. – Co do przeszłych powiązań naszego gościa z Turanem, czy były bliższe niż konszachty waszego Bractwa, którego okręty napadały na nasze porty i statki handlowe pod turańską banderą? – zapytał kagan. – Dowiedziałem się ostatnio, że wasz port stał się lennem, w którym rządzi namiestnik cesarza Turanu.

– To przeszłość – odparł szybko Conan. – Po śmierci kapitana Knulfa Czerwone Bractwo znów napada na wszystkich bez wyjątku... To znaczy, ochraniaamy jednakowo statki kupieckie wszystkich flag, by przyczynić się do rozwoju handlu na Vilayet...

– A więc wróciliście do niczym nie skrępowanego piractwa – odpowiedział władca – Powiadasz, że Knulf nie żyje... Czy przyszło ci do głowy, kapitanie Amro, że ciebie może spotkać ten sam los? – uśmiechnął się uprzejmie. Konni strażnicy podjechali bliżej Cymmerianina. – Usłyszałem od ciebie wiele gładkich słów, lecz ostrzeżono mnie, że będziesz próbował zamydlić mi oczy – skinał głową towarzyszącemu mu Zembabwańczykowi. – Na twoim miejscu zamilkłbym, jak przystoi skazańcowi, żałującemu za błędy całego życia.

W czasie przemowy Antulli kilku oficerów wspięło się na pokład wraku i zaczęło przeszukiwać jego wnętrze. Obecnie powrócili kołyszącym się krokiem, świadczącym o długich latach spędzonych w siodle. Na ich twarzach malowało się zdumienie i zachwyt. Władca nachylił się, by ich wysłuchać, po czym uśmiechnął się szeroko i zwrócił do znajdujących się najbliżej koczowników:

– Wygląda na to, że dzisiejszego dnia Hyrkania i nasz klan posiadły wielki skarb. Zarządzam, iż od tej chwili do statku i bruzdy, którą wrył, mają dostęp wyłącznie wybrani przeze mnie wojownicy. Wszyscy inni będą wleczeni przez dzikie konie. Wracajmy do miasta, by uczcić to wspaniałe wydarzenie!

Powiedziawszy to, wódz Antulla zwrócił się do Crotalusa:

– Czy przysięgasz, czarnoksiężniku z Zembabwei, że od tej pory wyrzekasz się naszych nieprzyjaciół, Turańczyków oraz piratów i będziesz trudził się na większą chwałę Hyrkanii?

– Przysięgam – potwierdził Crotalus, schylając lekko głowę przed kaganem. – Wiedz, Antullo, że znużyły mnie miastowe intrygi i arogancja żadnych władzy Turańczyków. W waszym kraju zastałem czystsze, o wiele szlachetniejsze obyczaje, podobne do tych, które panują mojej ojczyźnie. Wasza surowa ziemia wydaje silnych władców i potężnych czarnoksiężników, kaganie. W odróżnieniu od swych zniewieściałych nieprzyjaciół, opływających we wszelkie luksusy, wy macie możliwość odbudować dawną moc i chwałę Cesarstwa Hyrkanii. Postaram się was w tym wspomóc.

– Rzeczywiście dobrze zrozumiałeś nasze zamiary – odparł Antulla. – Zaledwie kilka dni temu nasz poseł Adi Bukbul z Klanu Strusia powrócił z Aghrapur, gdzie spotkały go bezczelne obelgi i zakusy na jego życie. Twierdzi, że cesarz i następca tronu to pracy do wojny aroganccy głupcy, zamierzający zepchnąć nas jeszcze bardziej na wschód. Chcą do tego wykorzystać przewagę swojej floty na Vilayet.

– Hyrkania również ma flotę wojenną i liczne porty – wskazał Crotalus. – Lecz czy zdołacie pokonać ich na otwartym morzu?

– Nasze klany od wieków są najsilniejsze na lądzie. Nauczylismy się polegać na sile i szybkości konnicy. – Antulla wskazał szereg jeźdźców trzymających się prosto w siodłach. – Vilayet zawsze stanowiło przeszkodę w naszych lądowych podbojach – dodał poufale. – Kolonia, którą założyliśmy na jego zachodnim wybrzeżu, szybciej nauczyła się innych sposobów walki i wykorzystuje je teraz przeciwko nam. Galery naszych morskich klanów są stare i źle wyposażone. Potrzebujemy nowej floty, żeby pokonać naszych buntowniczych kuzynów.

– W taki razie do zbudowania jej można wykorzystać łup, który wam sprowadziłem, prawda? Sam się przekonasz, że w ładowniach statku znajduje się niezmiernie bogactwo.

– Możliwe, lecz naszej stepowej ojczyźnie brakuje drewna na budowę okrętów. Najlepsze, twarde gatunki musimy przemycać przez turańską blokadę z południowych królestw, na przykład z Kolchii. Pochłania to nie tylko pieniądze, lecz również czas i wiele wysiłku.

– Jeżeli chodzi o czas, to jestem w stanie wesprzeć was moimi magicznymi umiejętnościami – zaczął mówić Crotalus zniżonym głosem, by nikt prócz Antulli nie usłyszał jego słów. – Mam pewne doświadczenie w przyspieszaniu wzrostu istot żywych, zarówno roślin, jak i zwierząt. Być może więc uda mi się zaradzić waszym trudnościom z drewnem. Wtedy będziecie mogli rzucić Turanowi wyzwanie na otwartym morzu szybciej, niż myślicie.

– Wspaniale! – odparł Antulla. – Przedstawię twoje propozycje na zbliżającym się zgromadzeniu klanów. Tymczasem zwołam naszych najznamienitszych czarowników, by ocenili twoją moc i metody, którymi się posługujesz. Być może zechcesz się z nimi podzielić swoimi sekretnymi umiejętnościami. Czuję, Crotalusie, że twoje przejście na stronę Hyrkanii przyniesie nieocenione korzyści zarówno tobie, jak i naszemu cesarstwu.

Na rozkaz Antulli piesi strażnicy otoczyli Conana i Philiope, mierząc w nich włóczniami. Cymmerianin i dziewczyna nie próbowali stawiać oporu. Zmuszono ich do odczekania, aż ruchomy pałac na wielu kołach zawróci szerokim łukiem i skieruje się w stronę bramy w palisadzie. Do tej pory setki stóp zamieniły ziemię przy brzegu strumienia w grząskie błoto. Ponieważ nikt nie ofiarował więźniom butów, przyszło im brnąć po kostki w szarej brei i końskich odchodach. Było to zdecydowanie dziwne odczucie po wielu dniach spędzonych na kołyszącym się pokładzie.

Okazało się, że drewniane ogrodzenie służy bardziej do zapobieżenia ucieczce jaków i koni niż jako fortyfikacja. Cienkie i rzadko rozstawione kołki ogradzały pastwiska na skraju miasta. Conana i Philiope poprowadzono między rzędami namiotów w kształcie piramid. Tworzyły one grupy, odpowiadające poszczególnym rodom. Prawie wszyscy mieszkańcy nosili futrzane stroje. Małe dzieci wyglądały z namiotów, w których dymiły ogniska z suszonego nawozu.

Poprzedzany przez wóz Antulli orszak dotarł do placu na środku koczowiska, który po deszczu zamienił się w błotniste bajoro. Hyrkańczycy skierowali się ku południowemu krańcowi wędrownego grodu. Tutaj na końcu szerokiej alei namiotów i zadaszonych zagród dla zwierząt Conan dostrzegł obszerny pawilon, ozdobiony końskimi ogonami i obsyty futrami. Zapewne była to siedziba władcy klanu.

Orszak podążył jednak dalej błotnistymi alejkami. W końcu dotarł do odludnej części koczowiska, położonej przy wyższej w tym miejscu palisadzie. Obejrzawszy się za siebie, Conan dostrzegł podążający za nimi pokaźny tłum, składający się zapewne z mieszkańców namiotów, które minęli. Milczący Hyrkańczycy trzymali się za konną strażą Antulli, najwyraźniej za coś czekając.

Wreszcie wielki wóz skręcił i zatrzymał się, osiadając od razu w wilgotnej darni. Conanowi i Philiope kazano stanąć przed pojazdem. Na balkonie pojawił się Antulla w towarzystwie Crotalusa. Kagan zamienił pobrzękujący, ozdobny hełm na wysoką futrzaną czapę.

Część starszyny otaczającej dotąd pojazd wspięła się na drewnianą platformę

umieszczoną tuż pod szczytem palisady.

U boku Antulli stanęła piękna, smukła dziewczyna, odziana w futrzane buty i prostą tkaną koszulę. Zdobiła ją garść co cenniejszych kosztowności z wraku „Kruka”. Widać było, że wojownicy Antulli nie ociągali się z dostarczeniem wodzowi zdobyczy.

– Nastął pamiętny dzień dla Hyrkanii – przemówił władca. – Jak sami widzicie, zyskaliśmy bajeczny skarb, lecz jeszcze więcej nasz klan i lud może zawdzięczać przemierzu, które dziś zawarł z nami czarnoksiężnik z dalekich stron. Co więcej, wpadł nam w ręce wróg, który był dotąd postrachem hyrkańskich statków, czyli Amra, plaga naszego morza – wznosił ku niebu obie dłonie w milczącym wyrazie podziękowań. – Nadszedł czas, rzekłem, na świętowanie i zabawę! Pytam was, czy można lepiej uczcić taką okazję, niż pokazując, co potrafi osławiony sasaryszek z północnych wzgórz, ulubieniec naszych czarowników?! – na twarzy Antulli pobrużdżonej trudami panowania i koczowniczego żywota odmalowała się nieklamana, dziecinna uciecha. – Teraz oto ujrzycie sasaryszka w całej jego nieposkromionej srogości! Będzie to niewątpliwie pożyteczna nauka dla naszego gościa, Crotalusa, oraz osławionego jeńca, którego czeka spotkanie z bestią twarzą w twarz!

Na skraju pastwiska słudzy kagana rozlewali kumys do nadstawianych przez koczowników skórzanych kubków. Rozpalono ogniska, nad którymi zaczęto opiekać połcie mięsiwa. Jedzenie to z całą pewnością nie było przeznaczone dla Conana. Gromadka strażników ruszyła nagle, włóczniami zmuszając Cymmerianina do rozdzielenia się z Philiope i marszu w stronę palisady. U jej podstawy znajdowała się mała furtka. Szturchnięciami drzewcy skierowano Conana prosto ku niej.

– Amro! Kochany, co oni chcą ci zrobić?! – krzyknęła odciągana na bok Philiope. – Nie pozwól, żeby cię zabili!

– Dbaj o siebie, dziewczyno, i niech ci się wiedzie! – zawołał barbarzyńca.

Kagan nie groził Philiope, zatem dziewczyna miała zapewne pozostać przy życiu. Conan uznał, że powinien mieć znacznie większe szansę w walce z czekającym po drugiej stronie palisady dzikim stworem niż przy ataku na tłum zbrojnych Hyrkańczyków.

– Rozbroić go! – padł rozkaz Antulli. – Walka powinna być uczciwa. Zabierzcie mu też ozdoby, bo sasaryszek może połamać sobie na nich zęby!

Strażnicy przyparli Conana do palisady i zdołali wyrwać mu kord z garści. Gdy jednak spróbowali zedrzyć pierścienie z palców, Cymmerianin zaatakował. Liczebna przewaga Hyrkańczyków okazała się niewystarczającą ochroną przed gradem błyskawicznych ciosów. Trzaskały łamane palce, nadgarstki i szczęki. Rozległy się krzyki wściekłości i bólu. Tłum przepchnął wreszcie Conana przez otwartą furtkę z grubych kłód, która natychmiast zatrzaskała się za nim.

Po drugiej stronie palisady znajdował się labirynt płóciennych parawanów, w którym łatwo można było stracić orientację. Płótna; umocowane były do rozciągniętych wysoko lin. Tkanina, z której szyto namioty, była zbyt sztywna, by ją rozedrzyć czy wspiać się po niej. Spody parawanów przymocowano wbitymi w ziemię kołkami. Pomiędzy kałużami tu i ówdzie sterczały rachityczne źdźbła traw. Conan ukląkł i nadaremnie spróbował wyrwać jeden z kołków. Stwierdził, że nie sposób podnieść spody płócien czy przepelznąć pod nimi.

Wstał, wytężając wszystkie zmysły. Jak na ironię on, któremu marynarskie doświadczenie powinno podpowiedzieć sposób poradzenia sobie z linami i płótnem, był bezradny w labiryncie z cyrku rodem. Ruszył powoli przez matnię.

Z tyłu rozlegały się okrzyki zachęty widzów, którzy stali na platformie. Mężczyźni w hełmach i kobiety z warkoczykami w futrzanych szubach przyglądali się poczynaniom Cymmerianina z wysokości trzech dorosłych ludzi. Na platformie stali również strażnicy z łukami i włóczniami. Zgiełkliwe, szydercze okrzyki nie ustawały. Zirytowany Conan nabrał garść błota i cisnął nią w żartownisiów, którzy błyskawicznie schowali się za palisadą. Zrozumiawszy, że w ten sposób jedynie się ubrudzi, postanowił nie zwracać na nich uwagi.

Niebawem barbarzyńca zorientował się, że może ustalić swe położenie w labiryncie według widocznych wierzchołków palisady. Celem matni nie było najwidoczniej, by więzień zagubił się w nim beznadziejnie. Prawdopodobnie chodziło o to, by wytrącić go z równowagi, nim trafi w łapy czyhajacej w głębi bestii. Sasaryszka, czymkolwiek był. Conan jednak nigdy nie oczekiwał pokornie na nadejście zguby. Śmiało pokonał pierwszy zakręt.

Znalazł się przy krawędzi płóciennej przegrody. Przystanął, by się jej przyjrzeć. Po chwili namacał gruby rąbek z zakładką i zaczął pisać się po nim w

górze. Nim dotarł do krawędzi, kilka ciśniętych z procy kamieni z łoskotem trafiło w płótno koło jego głowy. Krótka upierzona strzała przebiła tkaninę tuż obok wyciągniętej ręki. Zrozumiawszy ostrzeżenie, Conan zlął na ziemię przy akompaniamencie nowych szyderstw Hyrkańczyków.

Zagłębił się w labirynt. W którejś z bocznych alejek roztoczył się przed nim widok na palisadę, na którą wspiął się tłumek wrzeszczących koczowników. Conan zawrócił do pierwszego, potrójnego rozgałęzienia, wybrał inną drogę i po kilku zakrętach dotarł do kolejnego ślepego zaułka. Palisada i tu przybrana była jazgoczącymi barbarzyńcami. Pomyślał, że zdołałby wspiąć się na jej bale, lecz nie miałyby to sensu, bowiem natychmiast zostałyby spędzone na dół włóczyniami. Zawróciwszy, ruszył kolejnym korytarzem. W trzewiach barbarzyńcy narastał nieokreślony, pierwotny lęk przed spotkaniem z czymś bezimiennym.

Drugie rozgałęzienie zaprowadziło go jeszcze głębiej w labirynt Conan znalazł się zapewne blisko jego środka. Odgłos krzyków docierał do niego falami, tłumiony przez płócienne przegrody. Jeżeli w matni znajdowało się dzikie zwierzę, bez względu na to, magiczne czy nie, zgiełk wprawiał je zapewne we wściekłość. Z pewnością zorientowało się już, że w labiryncie błądzi ofiara. Zachowując całkowitą ciszę, Cymmerianin przeklinał w duchu hałaśliwych barbarzyńców i marzył o tym, by ucichli.

Znalazł się u wylotu kolejnego, dłuższego korytarza. U jego kresu widniał czwarty bok palisady, zwieńczony szeroką, zadaszoną platformą. Czyżby legowisko bestii znajdowało się bezpośrednio pod galerią dla uprzywilejowanych widzów?

Pod płóciennym baldachimem siadał właśnie wódz Antulla. Jego twarz miała wyczekujący, zadowolony wyraz. Po lewej stronie miał Crotalusa, po prawej zaś... nie ustrojona klejnotami koczowniczkę, lecz przytrzymywaną przez dwóch wojowników Philiope. Nie dała po sobie poznać, że dostrzegła Conana. On również nie okazał, że ją zobaczył. Skręcił szybko za płócienną przegrodę. Nie chciał, by rozpraszał go widok jej wylęknionej twarzy.

Dopiero teraz natrafił na pierwszy ślad złowrogiego stwora. Miękka ziemia była miejscami zryta i stratowana, jak gdyby długimi, haczykowatymi szponami. Płócienne przegrody pokryte były smugami zaschniętego błota i krwi. W kilku miejscach tkanina i postrzępiona, lecz dziury starannie załatano, tak że nie można wyjrzeć na drugą stronę. Najdłuższe, nie zaszyte rozdarcie – złowieszczy ślad pazura lub kłosa nieznanego potwora – znajdowało się tak wysoko, iż Conan nie mógł go dosięgnąć.

Niedługo po znalezieniu śladów bestii Cymmerianin poczuł ciężki odór rozkładającego się mięsa. Wraz z nim rozchodziła się jakaś niejasno znajoma woń... lecz trupi smród tłumił wszystkie inne zapachy.

Źródło zaduchu znalazł u końca ślepej odnogi. Był to trup konia z rozprutym brzuchem. Rój czarnych much kłębił się nad szczątkami. Brzęczenie owadów denerwowało Conana, bowiem tłumiło wszystkie inne ukradkowe odgłosy, od usłyszenia których mogło zależeć jego życie.

Barbarzyńca metodą prób i błędów zbliżał się do galerii kagana. W końcu znalazł się na otwartej przestrzeni, na wprost przed platformą. Tu zapewne znajdował się wybieg sasaryszka, co zdawał się potwierdzać narastający szmer podnieconych głosów. Pobrużdżona, zryta ziemia zasłana była kośćmi. Żadna z nich nie nadawała się jednak na broń. Zachlapane zaschniętym błotem, krwią i łajnem płótna oraz drewniane pale świadczyły, że siedziba bestii jest chwilowo opuszczona. Conan nie dostrzegł ani śladu potwora.

Sasaryszek zaatakował go znienacka, wydając wściekły ryk i wyrzucając pazurami błoto spod nóg. Obróciwszy się, Conan ujrzał szarżującą z bocznej alejki istotę z piekła rodem. Przy pierwszym spojrzeniu rzuciły mu się w oczy długie pazury, pełna kłów paszcza, szkarłatna grzywa i rozwiany ogon tej samej barwy.

Pod wieloma względami bestia przypominała kasztanowatego konia, była jednak wyższa w kłębie i miała krótszą sierść od hyrkańskich wierzchowców. Z paszczy najeżonej przypominającymi sztylety kłami dobywał się przenikliwy ryk. Przednie i tylne nogi kończyły się pękami ostrych jak brzytwy pazurów, rozdzierających błotnisty grunt. Bestia pędziła w stronę Conana z szybkością rozwścieczonego tygrysa.

– Patrzcie, dzieci! Oto sasaryszek! Pożerający ludzi brat konia z północnych stepów! – rozległo się wołanie ze szczytu palisady. – Przyjrzyjcie się tym kłom, tym prującym ziemię pazurom! Żaden myśliwy nie może go upolować ani przed nim uciec, bowiem sasaryszek pożre i konia, i jeźdźca!

Conan wykonał błyskawiczny zwrot. Okazało się to daremne. Bestia zbyt szybko poruszała się na otwartym terenie. Nie było nadziei, że Cymmerianinowi uda się ją zmęczyć czy powalić. W końcu sam padłby lub zostałby zapędzony w róg lub ślepy zaułek labiryntu. Nie miał jednak wyjścia; musiał szukać schronienia w kłębówisku płóciennych korytarzy.

Popędził tą samą drogą, którą dotarł do legowiska bestii, czując na karku gorący oddech i ślinę ścigającego go sasaryszka. Przy każdym zakręcie zyskiwał ułamek chwili, ponieważ cięższemu od niego stworowi skręt zabierał nieco więcej czasu. W biegu Conan przypominał sobie, jak skręcać przy każdym kolejnym rozgałęzieniu. Wiedział już, że w labiryncie nie ma pętli, po której mógłby bezpiecznie krążyć. Pozostała mu tylko nadzieja, że zdoła umknąć sasaryszkowi sprzed oczu, wpaść w boczną alejkę i na jakiś czas zmylić bestię.

Z przodu rozległ się ogłuszający zgiełk. Conan zorientował się, że dotarł w to samo miejsce, w którym zagłębił się w labirynt. Wiedział, że pozostałe dwie odnogi pierwszego rozgałęzienia są ślepe. Dysząca bestia pędziła z tętentem najwyżej dziesięć kroków za nim.

Conan zahamował i zaczął ponownie wspinać się po założonym skraju płótna. Z boku rozległy się gwizdy i okrzyki rozczarowania. Na grzbiet Cymmerianina spadł grad kamieni. Kilka strzał z sykiem przecięło powietrze, lecz na szczęście minęły go w sporej odległości i zrykoszetowały od płótna. Zrozumiał, że łucznicy boją się trafić sasaryszka. Bestia zaryła pazurami w ziemię i prychając, stanęła dęba usiłując sięgnąć Conana przednimi pazurami.

Zręcznie, jak przystało na doświadczonego żeglarza, Conan wspiał się pod szczyt płóciennej przegrody. Odbił się i zeskoczył wprost na grzbiet swojego prześladowcy. Wylądowawszy, o mało się z niego nie zsunął. Zaciśnął rozpaczliwie kolana i wsunął obydwie ręce głęboko w czerwoną, postronkową grzywę sasaryszka. Po pokazie umiejętności marynarskich przyszła kolej na jeździeckie.

Sasaryszek zaryczał przeraźliwie i znów stanął dęba, siekąc płótno pazurami przednich nóg. Jednak tak jak każdy koń, nie był w stanie dosięgnąć nimi grzbietu, chociaż starał się, jak mógł. Chwilę później potwór opadł na cztery nogi i ruszył do szaleńczego galopu.

Conan skulił się, przytrzymując kurczowo grzywę bestii. Jazda na oklep na sasaryszku okazała się trudniejsza niż poskromienie dzikiego zamorańskiego ogiera. Z powodu długich pazurów zwierzę poruszało się płynnymi, nierównymi skokami. Rozwścieczone, odbijało się i wspinało na płócienne przegrody, miotając Conem na wszystkie strony.

Pędzący na oślep sasaryszek zwrócił koszmarny łeb w stronę Cymmerianina, zataczając przekrwionymi ślepiami. Czerwona piana skapywała mu z kłów.

W odpowiedzi Conan, który nie zamierzał poskromić potwornego zwierza, pochyliwszy się do przodu, wpił zęby we włochate ucho bestii.

Sasaryszek wydał z siebie ogłuszający ryk. Potężnym szarpnięciem łba wyrwał ucho pomiędzy szczęk prześladowcy i skoczył do przodu. Gnając ze wszystkich sił na oślep, zaczepił wszystkimi czterema łapami o jeden z płóciennych parawanów. Pod impetem tego uderzenia podtrzymująca tkaninę lina napięła się jak cięciwa. Rozległ się trzask pękającego kołka, do którego uwiązany był sznur. Bestia pociągnęła go za sobą obalając fragment palisady.

Zabrzmiały okrzyki przerażonych i zdumionych Hyrkańczyków. Kilku gapiów wpadło do labiryntu, paru innych zdołało przytrzymać się ocalałych pali. Uwięziony pod płótnem sasaryszek rzucał się wściekle na wszystkie strony. W końcu zdołał się oswobodzić i natychmiast rąbnął w kolejną przegrodę. To uderzenie przyspieszyło runięcie przekrzywionego ogrodzenia. Rozległ się łomot i wrzaski nieszczęsnych gapiów, którzy oblepiali palisadę. Niespodziewanie, dla sasaryszka otworzyła się szeroka brama do świata poza labiryntem.

Bestia nie czekała. Napiąwszy mięśnie, najeżywszy sierść, rżąc i tocząc pianę, skoczyła naprzód z Conanem na grzbiecie, pazurami i kłami torując sobie drogę przez gromadkę widzów, którzy pospadali na ziemię, gdy zawalił się fragment palisady. Z drugiej strony pasło się stadko uwiązanych na długich postronkach wierzchowców. Drapieżny koń wpadł na pastwisko i miotając się bezładnie, zaczął rozdzierać swych roślinożernych kuzynów pazurami i zębami. Tryskały strugi szkarłatnej krwi. Piekielne wycie sasaryszka zagłuszało rzenie jego ofiar.

Conan zeskoczył z grzbietu przeklętej bestii pomiędzy przerażone konie jeździeckie. Wypatrzył nie tkniętą jeszcze dereszowatą klacz, która stawała dęba i parskła z przerażenia. Przy siodle miała łuk, kołczan i pełne juki. Conan

chwycił wodze klaczy, wskoczył na grzbiet i odjechał z miejsca rzezi jej pobratymców.

Schylił się, na wypadek gdyby strzelano do niego z łuków, wbił pięty w końskie boki i skierował klacz galopem dookoła palisady. Pośród tłumu Hyrkańczyków, pierzchających spod ogrodzenia, dostrzegł Antullę, ciągnącego za sobą Philiope. Cymmerianin rozluźnił uścisk kolan na tułowi wierzchowca i wychylił się w bok, tak jak nauczył się tego pośród dzikich Kozaków z zachodniego stepu. Wyciągnął ramię na wysokość biodra, wyszarpnął raptownie dziewczynę z uścisku Antulli i podtrzymując w pasie, przerzucił twarzą w dół przez podskakujące siodło.

– Zbyt zgrabnie ci się to udało! – wykrztusiła leżąca na jego kolanach Philiope. – Czyżbyś w ten sposób wykradał już inne kobiety?

– Pewnie! Doświadczony jeździec potrafi zrobić w galopie wiele rzeczy – zapewnił ją. – Jeść, pić i spać w siodle. Zdumiałabyś się, co jeszcze...

Przez pastwisko cwałował jeszcze jeden koń, wałach ze strojnym siodłem. Gonan dogonił go, chwycił za wodze i zatrzymał obydwu wierzchowce.

– Pewnie jeszcze nigdy nie jeździłaś konno? Nieważne, i tak nie mamy dosyć czasu, by cię tego nauczyć. Na razie siądź okrakiem za mną. Musimy przejechać przez bramę, zanim zostanie zamknięta.

Prowadząc za sobą drugiego konia, ruszył galopem w kierunku zewnętrznej palisady drogą pomiędzy dwoma rzędami namiotów. Philiope obejmowała go w pasie. Piesi strażnicy, nie wiedząc, co począć w panującym zamieszaniu, zaczęli krzyczeć piskliwie na widok uciekinierów, lecz nie starali się ich powstrzymać. W chwilę później kopyta koni trafiły na grubą, stepową trawę.

Nie minęło wiele czasu, nim zorganizowano pościg. Zamiast jednak konnej hordy, zaledwie trzech Hyrkańczyków wynurzyło się z otwartej na oścież bramy i popędziło za uciekinierami w stylu świadczącym o mistrzowskim opanowaniu jeździeckich umiejętności. Środkowy z nich gnał na koniu z białym łbem. Klacz Conana utrzymywała równy, szybki krok, lecz pościg z każdą chwilą znajdował się coraz bliżej.

Widząc, że nikt inny nie zamierza ich ścigać, Conan zostawił Philiope na grzbiecie zdyszanej klaczy i przesiadł się na wałacha. Wyszarpnął zawieszony u siodła topór bojowy i potrząsnął nim nad głową.

– Postaraj się nie wypuścić wodzy z rąk, dopóki nie uporam się z tą trójką – powiedział dziewczynie. – Jeżeli mnie pokonają, uciekaj w stronę wybrzeża!

Koczownicy, o dziwo, nie rozjechali się na boki, by zajechać Cymerianina z trzech stron. Środkowy jeździec na srokatym koniu poziomym gestem powstrzymał pozostałych. Okazało się, że jest to Antulla, ciągle w swej spiczastej futrzanej czapie. Podjechawszy stępa do Cymmerianina, uniósł dłoń na znak pozdrowienia.

– Amro z Morza Środkowego! – zawołał. – Słyszałem, że jesteś wielkim łotrem i zawziętym wojownikiem, lecz nie spodziewałem się, że jesteś tak doskonałym jeźdźcem! Rzadko kiedy zdarzało mi się oglądać tak wspaniałe panowanie nad wierzchowcem, i to jakim! Udało ci się wsiąść na sasaryszka, uwolnić tę piekielną bestię i wyrwać swoją kobietę z moich rąk, mimo że otaczali mnie wierni wojownicy. My, Hyrkańczycy z Klanu Jaka, głęboko cenimy taką dzielność! – obejrzał się na obydwóch zauszników, którzy zgodnie pokiwali głowami. – Winni jesteśmy ci gościny i przeprosiny... – uśmiechnął się wspaniałomyślnie. – Być może, mimo wszystko nasze cesarstwo zdoła ułożyć się z tak nieustraszonym wodzem. Upraszam cię, wróć ze mną do Attar Karapesk, przynajmniej na tę noc.

Nie spuszczać oczu z kagana, Conan pozwolił wystraszonemu wałachowi zbliżyć się kilka kroków do Antulli.

– Zastanawiam się, czy wszyscy na twoim dworze zdołaliby równie łatwo wybaczyć i okazać mi przyjaźń? – potrząsnął głową. – Nie, kaganie. Dzięki, ale nie chcę nadużywać twojej gościnności. Nie zaznam również spokoju w obecności podstępnego czarnoksiężnika.

– Rozumiem, dlaczego nie chcesz skorzystać z mojej gościny – odparł wódz. – Znalazłeś się jednak daleko od morza, w nie znanym ci kraju. Pozwól się przekonać...

– Zatrzymaj skarb i zniszczony statek, który do mnie należał – powiedział Conan zdając sobie sprawę, że nie ma co do tego wielkiego wyboru. – Klejnoty, które mamy przy sobie, pozwolą nam dostać się na wybrzeże – przyjrzał się strojom dwóch zauszników Antulli. – Dajcie nam tylko bury, futra, trochę zapasów i konie. Myślę, że nie są to wygórowane życzenia. Jeżeli macie ochotę na negocjacje, możecie wysłać posła do Djafur.



– Bez mojej ochrony nie dotrzecie do wybrzeża – zdjawszy sygnet z palca, Antulla rzucił go Cymmerianinowi. – Na widok tego pierścienia przepuści was każdy hyrkański podjazd.

W ciągu kilku chwil Conan i Philiope otrzymali żądany ekwipunek. Uśmiechając się z siódła do dwóch bosych i pozbawionych wierzchowców podwładnych, wódz Hyrkańczyków patrzył, jak Cymmerianin i dziewczyna odjeżdżają na zachód.

## VIII

### CZERWONE BRACTWO

Dwa tygodnie później niewielka łódź żaglowa zawinęła do djafurskiego portu. Ranne ptaszki wyległy z tawerny „Pod Krwawą Ręką” na plażę, by zobaczyć, kto zejdzie na ląd. Gdy ujrzeli, że schodzi z niej nie kto inny, jak Amra w towarzystwie Philiope, i witali ich radosnymi okrzykami na tyle głośnymi, by postawić i nogi cały Djafur.

Po wyciągnięciu statku na plażę witający wzięli kapitana i jego nadobną towarzyszkę na ramiona, po czym uroczyście zanieśli ich do tawerny, dając znak do wyjątkowo wczesnego rozpoczęcia hulanki. Ponurym pomrukiem skwitowano tylko utratę okrętu, załogi i przede wszystkim skarbu.

Zrządzeniem losu Santhindrissa i Hrandulf wrócili kilka wcześniej do Djafur na pokładzie poturbowanej i przeciążonej galery. Znajdująca się w ładowni połowa skarbu, wciąż przechodząca wszelkie wyobrażenia została ukryta w sekrecie przed morskimi rozbójnikami w lochach zamku Conana. Skromna część, przypadająca członkom załogi, którzy przeżyli, poszła już w obieg. Dzięki dopływowi gotówki ożyły wieczorne swawole i podskoczyły ceny wina i dziewczyn. Złoto znalazło też drogę do pęczniejących kabz hazardzistów, paserów i wszelkiej maści szarlatanów – przypominających pijawki wydrwigroszy, którzy rozplenili się ostatnio jak wodorosty.

Jedynym zgrzytem z powszechnym entuzjazmem były posępne, prowadzone ukradkiem dyskusje. Zazdrośni piraci, którzy nie otrzymali udziału w łupach, twierdzili, że strata „Kruka” nastąpiła wskutek zemsty morskich bogów. Twierdzono, że należy się spodziewać dalszych katastrof i wielu ofiar w ludziach. Tych, którzy wzbogacili się na zbeczeszczeniu zatopionego „Bazyliszka”, a zwłaszcza Amrę, miała osiągnąć zasłużona kara.

Conan nie przejmował się tym gadaniem, ponieważ przeżył gorsze niebezpieczeństwa niż te, które zawistnicy mogli sobie wyobrazić. Odświeżywszy się, zasiadł w tawernie, by przedyskutować z kapitanami podział pozostałej części zdobyczy. Upierał się, że powinna mu przypaść połowa, ponieważ to on dowodził na tej wyprawie. Jednak jego towarzysze skłonni byli traktować łup jako całość, włącznie z tym, co dostało się Antulli. W ten sposób Conanowi zostałaby w rękę najwyżej jedna szóstka zdobyczy. Gwoli sprawiedliwości należało przyznać, że całodzienna dysputa przebiegła spokojnie. Sztylety wyciągnięto dopiero pod koniec, lecz tylko po to, by nakreślić na białce stołu plan podziału łupu.

Po uwiecznieniu zawartego w ten sposób porozumienia, pełniący straż na wzgórzu członkowie morskich plemion i krwawe siostrzyczki Santhindrissy pozwolili w końcu Cymmerianinowi dostać się do własnej siedziby i zająć wyborem swojej części skarbu. Santhindrissa, Hrandulf, Conan, a później w jego zastępstwie Philiope, wybierali najcenniejsze kosztowności, przebierając w świetle pochodni sterty bogactw zalegających posadzkę nowo wybudowanego donżonu. Wybrane przedmioty przenoszono do oddzielnych komnat, strzeżonych przez zaufanych piratów oraz zabezpieczonych kłódkami i łańcuchami. Mniej cenne dobra i monety rozgarniano na kopczyki i dzielono się nimi w ten sposób, że ci, którzy ich nie usypywali, wybierali pierwsi. Najpierw Conan odebrał swoją część, następnie podzielili się Hrandulf i Santhindrissa. Cała procedura, przebiegająca w radosnym nastroju, czemu sprzyjało lejące się szerokim strumieniem wino, przeciągnęła się do kolejnego dnia. Po wyjściu z lochu trójka piratów z zaskoczeniem stwierdziła, że dochodzi właśnie wyjątkowo pogodne południe.

W ciągu następnego miesiąca w Djafur zapanowała gorączka. Sprowadzono nowych rzemieślników do wykończenia zamkowych bastionów, cieśle zaś i tapicerzy przystrajali wnętrza. Wszystkich ich wynajęto lub porwano z Aghrapur. Santhindrissa położyła stępkę pod nowy piracki okręt, Hrandulf zaś zadowolony się przebudową oneraiów – małych, szybkich stateczków należących do niego i jego niezliczonych kuzynów.

Organizowano też nieustanne wyprawy handlowe i łupieżę Vilayet przeczesywała

flotylla okrętów korsarskich, dzięki czemu Ivanos i Ferdinald po raz pierwszy mieli okazję samodzielnie dowodzić. Nawet zwalisty zdobyczny trójrzędowiec „Bezlitosny”, który jeszcze niedawno cumował w Cesarskiej Stoczni w Agraphur, zepchnięto na wodę i wyprawiono w rejs po zatoce. Planowano wykorzystać go do splądrowania turańskiej twierdzy na jednej z wysp w południowej części Vilayet.

Ogólnie rzecz biorąc, bogactwo pomnażało się, dzięki czemu Djafur stał się centrum stale rozrastającej się sieci handlu i rozboju. Największym dowodem uznania statusu portu była wizyta posła Cesarstwa Hyrkanii, Adi Bukbula.

Zanim to nastąpiło, przez pośredników uzgodniono cenę ochrony hyrkańskich statków: jedną dziesiątą wartości ładunku i jedną dziesiątą zysków z podróży powrotnej. Ponadto piraci ze swej strony zobowiązali się nie zajmować statku posła i zapewnić mu ochronę przed działającymi na własną rękę grabieżcami. Hyrkański okręt otrzymał znak rozpoznawczy: czarną flagę, na której widniał błądy, przypominający czaszkę kształt. Od pirackiego godła odróżniało ją to, że na czarnym tle nie było skrzyżowanych szabel.

Ustalwszy w ten sposób środki bezpieczeństwa na czas tej niezwykłej wyprawy, niosący posła okręt ruszył w drogę do południowego przesmyku między wyspami Aetolian. Tam spotkał się z łodzią jednego z morskich plemion i wziął na pokład pilota, który przeprowadził statek przez wiry i kręte kanały do Djafur.

Adi Bukbula witano na brzegu z całą pompą i wystawnością, na jaką stać było morskich rozbójników. Część pstrego tłumu piratów przyglądała się z nie ukrywana wrogością lub maskowanym lękiem znakomicie uzbrojonym Hyrkańczykowi, którzy zeszli na nadbrzeże. Inni nie mogli powstrzymać rąk na widok kosztowności przybyłych. Mimo to poseł oświadczył wkrótce, że wśród piratów czuje się bardziej u siebie niż w luksusach cesarskiego pałacu w Aghrapur.

– Tym gładkim, zniewieściałym osłom na dworach Zachodu brakuje tego, co właściwe jest prawdziwym mężczyznom – zwierzył się Conanowi siedzącemu po przeciwnej stronie nakrytego jedwabiem stołu w tawernie „Pod Krwawą Ręką”. – Nigdy nie splamili się złożeniem głowy na twardej poduszce z końskiego włosia, a już tym bardziej dosięściem grzbietu narowistego rumaka – wznosił puchar z winem. – Ty, panie, ze swojej strony dosiadałeś nie tylko konia! Na dodatek pokonałeś mojego kuzyna Antullę w jego własnej stolicy – obdarzył Philiope w pełni doceniającym jej wdzięki uśmiechem. – Mam wrażenie, że dogadamy się ze sobą jak dwaj handlarze końmi. Liczę, że namówię cię do wsparcia nas w nadchodzącej wojnie.

– Więc będzie wojna? – Conan zmierzył posła zaciekawionym wzrokiem. – Z Turanem? Nie przeszkadza wam, że to Turańczycy panują nad Vilayet, a wasze klany rozporządzają małą i przestarzałą flotą?

Adi Bukbul uśmiechnął się, obracając w palcach kosmyk włosów.

– Czarnoksiężnik, który przybył wraz z tobą, wiele nam obiecał. Wydaje się, że jest zdolny dotrzymać słowa. Jego zaklęcia okazały się zdumiewająco skuteczne w przyspieszeniu wzrostu dębów i świerków w lasach w głębi Hyrkanii. Okazało się, że paplanina Zembabwańczyka oraz pewne krwawe rytuały sprawiają, że drzewa wyjątkowo szybko osiągają rozmiary, pozwalające wykorzystać je do budowy okrętów. Podczas pobytu w Turanie Crotalus poznał również tajemnice skutnictwa, które obecnie przekazał naszym cieślom okrętowym. Mag twierdzi też, że potrafi rozkazywać wiatrom. Co więcej, zarzeka się, że za pomocą swoich czarodziejskich obrzędów zdoła kierować naszą flotą w mgłę, bitewnym dymie, podczas sztormów i na płycznach. – Poseł zamyślił się na chwilę. – Jeśli wszystkie jego sposoby okażą się skuteczne, wykorzystując siłę mojego ludu i skarb, który nam pozostawiłeś, przed nastaniem końca roku będziemy rozporządzać gotową do wypłynięcia flotą.

– Czy mogę zapytać, czego zażądał Zembabwańczyk za pomoc Hyrkanii? – Conan zmarszczył brwi i zatopił wzrok w kubku z piwem. – Czyżby Crotalus po prostu pragnął wypróbować swoje zaklęcia? Wiem z doświadczenia, że czarnoksięskie plemię zawsze ma jakieś sekretne zamysły.

Poseł wzruszył ramionami.

– Zembabwańczyk otrzymał na swoją prośbę dostęp do najściślejszych kręgów hyrkańskich mistyków, aczkolwiek nie sędzę, by nasza rodzima mądrość przewyższała to, z czym on do nas przybył. Crotalus jest również bliskim przyjacielem i doradcą Antulli, którego w ubiegłym miesiącu ogłoszono w Karapesku ushikaganem wszystkich południowych stepów. – Adi Bukbul uśmiechnął się porozumiewawczo. – Prawdę mówiąc, Zembabwańczykowi nie podobał się pomysł przymierza z tobą, lecz Antulla uparł się i wysłał mnie tutaj. To chyba dowód,

że nie rozkazuje mu żaden cudzoziemski czarownik.

– Czy Crotalus mówił wam o galerach, na których wiosłują olbrzymie potwory, ukryte pod pokładami? Zajmował się tym niedawno na polecenie Turańczyków. Może buduje wam flotę po to, by wyżywić swoje bestie?

– Wierz mi, Amro, nie ufam cudzoziemskiemu czarnoksiężnikowi ani trochę bardziej niż ty. – Adi Bukbul zbył obawy swojego gospodarza niedbałym machnięciem ręki. – Widziałem jednak na własne oczy, że jego plany się sprawdzają. Obejrzałem wiele dziesiątków stępek położonych pod nowe okręty. Pierwsze galery zostały już zwodowane. Na rzekach w głębi ładu trwają potajemne prace nad ich wyposażeniem. To duże, dobrze uzbrojone trójrzędowce, przeznaczone do przewożenia nie smoków, lecz wolnych hyrkańskich wiosłarzy i wojowników oraz koni dla wojska. Wkrótce hordy hyrkańskich jeźdźców spłyną z pokładów na zachodnie równiny. Zamierzamy bowiem nie tylko przepędzić turańskie gzy z powierzchni Vilayet. Planujemy również podbić tę kolonię, do której od czasów naszych przaprzodków rościmy sobie słuszne prawa. Powiedzmy to sobie szczerze, Amro: zamierzamy zniszczyć Imperium Turanu; potrzebujemy w tym dziele wsparcia Czerwonego Bractwa.

Prowadzone w podobnym duchu negocjacje trwały przez kolejne dni. Stronę morskich grabieżców reprezentowali Conan i Santhindrissa. Hrandulf i inni wodzowie morskich plemion spotkali się z hyrkańskim posłem jedynie dla dopełnienia formalności. Ten wolny wyspiarski lud łączyły z hyrkańskimi klanami dalekie więzy pokrewieństwa, rozumiano jednak, że w każdym pakcie zawartym przez Czerwone Bractwo znajdzie się miejsce dla morskich plemion i że nic nie zagrozi ich wolności.

Z kolei najważniejszym celem Conana było uznanie pirackiej domeny za samodzielne państwo. Upierał się przy nie ograniczonych prawach handlowych, przywileju napadania na statki neutralnych królestw, wolności portów i umowie o wiecznym pokoju z Hyrkanją. Liczył nawet, że być może zdoła wywalczyć uznanie pirackich okrętów za niezależne jednostki floty wojennej Cesarstwa Hyrkanii. Jak każdy prawdziwy handlarz końmi, Adi Bukbul uchylał się przed natychmiastowym uznaniem któregośkolwiek z punktów przymierza.

Tymczasem spod pokładu hyrkańskiej galery wyładowano wytrzymałe niskie koniki, na których poseł i jego świta mogli popisywać się jeździeckimi umiejętnościami, galopując po okolicznych urwiskach i wzgórzach. Nieco później Conanowi udało się zaprosić swojego gościa na pokład szybkiej łodzi żaglowej – na wyprawę wokół skalistych brzegów siedziby piratów. Jednak na morzu Adi Bukbul czuł się o wiele gorzej niż w końskim siodle. Zbladł i wiercił się niespokojnie, gdy tylko wypłynięto na wody djafurskiej cieśniny. Conan musiał długo manewrować, by powrócić do portu. Na szczęście okazało się, że nie była to strata czasu. Po drodze udało się mu wydebić od zzieleniałego i dygoczącego jak osika posła ustępstwa w wielu nie rozstrzygniętych wcześniej sprawach.

Gdy dyplomatyczna misja dobiegła końca, Adi Bukbul uścisnął Conana na pożegnanie, zabierając ze sobą na pokład długi zwój, na którym pełnym zawijasów hyrkańskim pismem spisano porozumienie. Sprzymierzonym w Czerwonym Bractwie kapitanom pozostawało teraz wzmacniać flotę oraz czekać na wezwą ze strony Hyrkanii do wojny z Turanem.

Niespokojny z powodu świecącego w oczy słońca Garfalk z Yaralet popędzał swoją załogę do większego wysiłku.

– Wiosłować, skorpionie pomioście! – krzyczał manewrując wiosłem sterowym. – Stara Elma, która mieszka na plaży, powiedziała, że widziała żagiel. Jej jedno oko jest warte trzech waszych! Przyłóżcie się do wiosła, łotry spod ciemnej gwiazdy!

Niska łódź prześlizgiwała się między przybrzeżnymi wysepkami. Zużywając minimum siły, wiosłarze pchali statek zgranymi, gładkimi ruchami.

– Jeżeli chcesz, żebyśmy wiosłowali, to nas nakarm! – rozległ się głos spod burty. – W twojej twierdzy zaczyna brakować żarcia!

– Właśnie! – krzyknął inny z piratów. – Odkąd skończyło się piwo, nic dziwnego, że człowiekowi chce się jeść!

– Ciężko nawet znaleźć dziką świnię, żeby ją upiec – poskarżył się trzeci.

– Wkrótce będziemy piec na roznach długie świnię! – wiosłarz, który nie gardził ludożerstwem, zasuszony, podstarzały mężczyzna, skwitował swoją uwagę oblesnym rechotem.

– Wiosłujcie, jeżeli pragniecie jedzenia, picia i bogactwa – stwierdził

Garfalk ze złością. – Przecież po to tkwimy na wysepkach, by dopadać przepływające w pobliżu statki! Popatrzcie! Tam, przed mierzeją! To przecież maszt, chyba że mnie wzrok myli!

Wioślarze zadarli głowy, wiódąc spojrzeniami za wyciągniętym palcem kapitana. Istotnie, za porośniętym krzakami grzbietem piaszczystego cypla, na tle zasnutego błękitną mgiełką nieba widać było samotny maszt. Przez nieruchome powietrze niosło się do nich słabe, rytmiczne bicie w bęben. Żagla nie postawiono, i tak nie zdałby się na nic przy ciszy morskiej, dlatego też statek musiał płynąć pod wiosłami. Niewielki jednomasztowiec miał zapewne mniejszą załogę od pozbawionej masztu łodzi Garfalka. Zniżając głos, kapitan zwrócił się do swoich ludzi:

– Widzicie, że miałem rację? Wiosłujcie teraz równo, a spotkamy się z nimi, zanim wypłyną za mierzeję. Lepszej okazji nie moglibyśmy sobie wymarzyć, chłopcy. Nie musimy się nawet wysilać, bo i tak nas nie prześcignie. Nie hałasujcie, by ich nie spłoszyć.

Garfalk czuł, jak w jego piersi rozpała się uniesienie. Po raz pierwszy od kilku miesięcy trafił na trop ofiary. Pięć lat temu został zmuszony opuścić rodzinną pustynię i podążyć daleko na zachód. Z powodu rosnącej czujności turańskich straży przyszło mu porzucić ulubione rzemiosło rozbójnika, napadającego na karawany zdrażające do Yaralet. Dotarłszy nad śródlądowe morze, tak bardzo przypominające pustynię, skrzyknął zbieraninę darmozjadów, wyrzutków oraz rybaków i zaczął żyć z piractwa. Z początku łupy były niezłe, dzięki czemu udało się mu utrzymać pozycję kapitana, lecz teraz nastały chude lata. Potrzebował dobrej zdobyczy, by podreperować swoją władzę.

Przyglądając się masztowi ofiary, ostrożnie manewrował wiosłem sterowym. Łódź gładko prześlizgiwała się między piaszczystymi mieliznami. Maszt rósł coraz wyżej. Obcy statek poruszał się po kursie styczonym po drugiej stronie zwężającego się cypla. W końcu jego dziób wyłonił się zza coraz niższych krzewów.

– Przyłóżcie się teraz, chłopcy! – rzucił chrapliwym głosem Garfalk. – Przybijamy do abordażu! Co to?!

Zza burty statku, który okazał się sporych rozmiarów galera wyjrzał rząd ogorzałych twarzy. Po chwili na maszt wjechał kawał czarnego płótna, na którym widniała trupia czaszka i dwie skrzyżowane szable – ponura bandera Czerwonego Bractwa.

– Wiosła stój! – na twarzy Garfalka odmalowały się rozczarowanie i strach. – Trafiliśmy na braci piratów, na dodatek na doskonale uzbrojonym okręcie! – stwierdził i ściszym głosem dodał: – Nawet jeżeli mają jakiś cenny ładunek, jest ich zbyt i lu, byśmy zdołali go zdobyć.

– Co z nami będzie? – zapytał płacząco jeden z wioślarzy.

– Na pewno zorientowali się, że grasujemy wzdłuż wybrzeża i jesteście biedni jak myszy kościelne – oświadczył bez przekonania Garfalk. – Mimo to lepiej trzymać się z dala od nich, wypadek gdyby koniecznie chcieli się bić. Na mój rozkaz zawracamy między tamte wysepki...

W tym momencie z pirackiego statku rozległo się gromkie wołanie:

– Ahoj na łodzi! – krępa postać wspięła się na burtę i stuliwszy dłoń przy ustach, krzyknęła: – Bracia piraci, ścigacie ten sam kupiecki statek co my?

– Co? – mruknął zdumiony Garfalk. Osłonił dłonią oczy i zmrużywszy je, powiódł wzrokiem po zasnutym mgiełką horyzoncie. Prawie na wprost, na północy, na skraju widnokregu ujrzał nieruchomy żagiel jeszcze jednego, dużego statku.

– Och, tak, oczywiście! – wrzasnął czym prędzej. – Okrążają wyspę od północy, starając się wymknąć!

– Na to wygląda! – padła odpowiedź. Mówiący mężczyzna ocienił oczy i wyjrzał w stronę skalnego cypla, za którym: tropiony statek. – Wydaje mi się, że to wielka kupiecka balia, wyładowana jak diabli! Przy takiej pogodzie nie rozwinie dużej prędkości, choćby załoga wypruwała sobie żyły przy wiosłach.

– Zatem wy też chcecie ją ścigać? – Garfalk znacząco przekrzywił głowę. Okręty zrównały się i teraz tylko bęben na galerze wyznaczał rytm wiosłowania obydwóm załogom. – Zastanawiam się, czy wystarczy łupu dla nas obu? – uśmiechnął się obłudnie. – My dostrzeżliśmy ją pierwsi – dokończył z nutą wyższości.

– Może – przyznał kapitan galery. – Ale i wam, i nam przyda się jednak pomoc w walce. Taka wielka krypa ma pewnie sporą załogę, dlatego najlepiej napaść ją równocześnie z dwóch stron. Jeżeli ją zdobędziemy, dostaniecie jedną trzecią łupu, ponieważ macie mniejszą załogę. Jestem Ferdinald, zastępca Amry.

Obydwa pirackie okręty zbliżyły się, dzięki czemu rozmowa stała się łatwiejsza. Przeszkadzało w niej jedynie rytmiczne bicie w wodę czterech rzędów wiosł, równocześnie przecinających fale.

– Jestem Garfalk rodem z Yaralet. Dowodzę tymi zawadiakami i drugą bandą na brzegu – rozmyślnie mieszał prawdę z kłamstwami. – Sam sobie jestem panem, ale w pirackim fachu wszyscy jesteśmy braćmi – zatrzymał się na rufie, siląc się na uśmiech wystarczająco szeroki, by dostrzegł go kapitan drugiego okrętu. – Uważam, że sprawiedliwszym rozwiązaniem byłoby podzielenie łupu na pół. Chociaż macie większy statek, należy się nam część za jego wypatrzenie, a poza tym to nasze wody.

– Jest w tym trochę racji – przyznał kapitan Ferdinald. – Dobrze, podzielimy łup na pół, ale najlepsza zdobycz przypadnie tej załodze, która pierwsza wdrze się na pokład. Naprzód, na chwałę Czerwonego Bractwa! Ani się obejrzymy, jak dopadniemy tę balię!

Ferdinald nakazał swoim wioślarzom żywsze tempo, przez co jego okręt wysunął się nieco do przodu.

– Naprzód, dla wielkiego braterstwa wszystkich piratów! – zawołał Garfalk. Jego załoga odpowiedziała entuzjastycznymi okrzykami. Nieco mniejszy statek Garfalka błyskawicznie wyprzedził sprzymierzeńców, aczkolwiek silniej kołysał się na falach otwartego Vilayet. Obydwa okręty mknęły obok siebie. Wioślarskie obsady dawały z siebie wszystko. Ludzie Garfalka śpiewali z uniesieniem.

Gdy galera i łódź okrążyły cypel, kupiecki statek zniknął z pola widzenia. Najlepszym wyjściem dla niego byłoby podążenie na północny wschód, jednak wiatr był na to wciąż za słaby. Tropiony statek musiał wypatrzeć prześladowców i natychmiast szukał jakiejś kryjówki. Garfalk zaczął okrążyć wyspę, machaniem ręki dając znak, by galera Czerwonego Bractwa podążyła z nim.

W końcu dostrzeżono, „kupca”, który zatrzymał się za pobrużdżoną ostrogą skalistego wybrzeża. Tropiony statek natychmiast ruszył z miejsca, by nie zostać zamknięty w pułapce. Na jego pokładzie roiło się od harujących przy wiosłach ludzi. Zapowiadała się zażarta walka. Garfalk spojrzął za siebie, by upewnić się, czy jego sprzymierzeńcy są dostatecznie blisko.

Galera Bractwa znajdowała się niedaleko, lecz zajęła nieoczekiwana pozycję. Jej wioślarze przyśpieszyli tempo, mimo że nikt nie bił w bęben. Okręt zmienił kurs i zaczął zbliżać się z lewej do okrętu Garfalka.

– Ahoj, na galerze! Zwolnijcie! – zawołał pirat z Yaralet. – Mamy przez was za mało miejsca! – Zmienił położenie wiosła sterowego, by zejść nieco z poprzedniego kursu. Jego wioślarze na moment wypadli z rytmu. – Odbijcie trochę od brzegu, to dopadniemy kupca z obydwu stron!

Jednakże galera z posępnym Ferdinaldem na dziobie zbliżała się coraz bardziej. Na jego rozkaz bębnienie rozległo się na nowo, tym razem w szybszym tempie, charakterystycznym dla taranowania.

– Wiosła wstecz! – wrzasnął Garfalk do swojej załogi, napierając na ster. – Zawracamy! – W tym momencie ujrzał, że wysoki kupiecki statek nadciąga od strony łądu. Na jego maszcie zwiisała czerwona bandera. – Zostaliśmy zdradzeni!

Było jednak za późno. Nieprzyjacielski taran trafił w środek burty i wbił się pod ławy wioślarzy. Połamane deski i wiosła poszybowały w powietrze. Impet uderzenia wyrzucił kilku oszołomionych opryszków prosto do morza. Żaden inny nie zdołał utrzymać się na nogach, a większość pospadała z wioślarskich ław. Po chwili ciszy i oszołomienia na łódź zaczęli zeskakiwać napastnicy.

– Na nich! – wrzasnął Garfalk wyciągając spod ławy topór. – By przeżyć, musimy zdobyć ich statek! To łotry, zdrajcy najgorszego pokroju!

Napastnicy utrzymali jednak przewagę wynikającą z zaskoczenia. Brzegowi piraci cofnęli się pod ich naporem pod burty i na rufę. Na śródokręciu rozlegały się krzyki rannych i zabijanych, zgrzyt stali oraz łoskot ostrzy trafiających w ciała lub drewno. Wkrótce pokład tonącej łodzi spłynął szkarłatną krwią.

Garfalk przedarł się na czoło walczących i znalazł twarzą w twarz ze zdradzieckim Ferdinaldem.

– Kłamliwe bydło! – wrzasnął starając się trafić toporem przeciwnika. – Co z naszą umową?! Po co plotkęś o pirackim braterstwie?

– Morscy rozbójnicy mają tylko jedno bractwo! – odkrzyknął Ferdinald. – Czerwone! Od krwi głupców i rywali! – dodał i uchylił się zgrabnie, zastawiając kordem przed następnymi ciosami topora. – Tutaj, Rondo! – krzyknął do jednego z członków swojej załogi. – Zajdź go z tyłu! Nie da rady bić się tą siekierką z obydwoma!

Odwracając się zbyt późno, by stawić czoło drugiemu przeciwnikowi, Garfalk poczuł, jak ostrze kordu płąta mu nogę. Stęknął i potknął się o wioślarską ławę. Rozpaczliwie wymachując rękami, wypuścił topór z dłoni. Pirat i jego kapitan natychmiast przyskoczyli do niego. Na ich twarzach malowały się grymasy: radości u Ronda i niesmaku u Ferdinalda, wobec czekającego ich zadania. Chwilę później Garfalk stracił życie pod gradem niemiłosiernych siekających ciosów.

Walczącym przeszkodziło na chwilę uderzenie kupieckiego statku, miażdżącego drugą burtę staranowanej łodzi. Z wysokiego pokładu zeskoczyła nowa grupa uzbrojonych mężczyzn. Przewodził im zwalasty pirat z czarną grzywą – Amra z Oceanu Zachodniego.

– Ferdinaldzie, widzę, że spóźniłem się na bitwę! – zwrócił się surowo do swojego podwładnego. – Przypominam ci, że plan polegał na skłonieniu tych łajdaków, by zaatakowali mój statek. Mieliście podążać za nimi i zaatakować ich z tyłu! – rzucił okiem na dokonującą się jatkę, po czym uniósł dłoń i poklepał przyjaciela po ramieniu. – Dobra robota, stary druhu! Nie brak ci przebiegłości, potrzebnej pirackiemu kapitanowi z prawdziwego zdarzenia! – ponownie powiódł wzrokiem po kończącej się już rzezi. – Dość! – krzyknął do zwycięzców. – Oszczędźcie resztę tych przybrzeżnych kłusowników, by rozgłaszali wolę Amry i Czerwonego Bractwa! Biada każdemu piratowi na tych wodach, który będzie napadać na statki pływające pod naszą ochroną! Nasze Bractwo niepodzielnie rządzi na Vilayet! Wszyscy inni rozbójnicy zapuszczają się tu na własne ryzyko!

– Kim jesteś, Amro, by przywłaszczyc sobie morze niczym jakiś baron pastwisko? – rozległ się gniewny głos z dziobu rozbitej łodzi. – Jesteś wolnym piratem czy zarozumiałym turańskim admirałem?

Conan odwrócił się w stronę pytającego.

– Nie cofnę się przed niczym, by utrzymać moją władzę na Vilayet! – oświadczył przeszywającym tonem. Przesunął wzrok wzdłuż całego okrętu na rufę, czekając na kolejne protesty. Nie było żadnych. – Zapamiętajcie moje słowa: z Turańczykami też się policzę! Jestem dzisiaj w łaskawym nastroju, dlatego tym, którzy przeżyli, proponuję wybór. Nie stanie się wam krzywda, jeśli zdecydujecie się zostać na pokładzie tego wraku. Jeśli jednak ktoś chce zaznać smaku prawdziwego piractwa, niech zaciągnie się do Czerwonego Bractwa! Mam puste ławy wioślarskie na moim statku. Decydujcie się szybko!

Pokonani piraci popatrzyli po łodzi wypełnionej już wodą prawie do poziomu ław wioślarskich. Ci, którzy pierwsi pierzchnęli z tonącego okrętu, dotarli już na pokrytą łupkiem plażę. Piraci, którzy mieli rodziny na brzegu, postanowili wrócić do domów, jednakże większość niedobitków wystąpiła do przodu na znak, że przyłączają się do zwycięzców.

Niebawem przeszli na pokład galery i pomogli zepchnąć z taranów wrak swojej byłej łodzi. Na koniec zdobyli się na wążki wiwaty.

Obydwa statki Bractwa zrównały szyk i odpłynęły.

## IX

### PRZYJACIELE I ZDRAJCY

Powróciwszy pod sprzyjającymi wiatrami, statek Conana zawinął do djafurskiego portu. Załogi zeszły z pokładu, wyładowano towary. Odbudowany już zamek górował nad portem. Dumne, bliźniacze wieżycy pełniły straż nad okolicznymi wysepkami i cieśninami. Jego obecność budowała ducha starych piratów, przywołując wspomnienia o wspaniałej przeszłości i sentymentalne, pijackie łyżki u niektórych. Nikt z żyjących nie był jednak w stanie powiedzieć, jak zamek wyglądał w przeszłości ani jak dawno temu został zburzony. Najprawdopodobniej w stertę gruzów zamienili go dawni piraci już po wyrwaniu wyspiarskiej twierdzy z rąk prawowitych właścicieli. Działo się to zapewne przed powstaniem Cesarstwa Turanu, a być może przed narodzinami morskich plemion.

Większość zagranicznych inżynierów i rzemieślników spłacono i odesłano do domów, jednak niektórzy wybrali pozostanie. W porcie wciąż wrzała praca. Zamożność rosła, kwitł handel, postępowała budowa drobniejszych umocnień. U nadbrzeża cumowało sporo statków, między innymi „Izba Tortur”, osławiona galera Santhindrissy. W tawernie roiło się od członków załogi Stygijski i ich niedawno wyzwolonych wioślarzy, którzy odkrywali na nowe odwieczny czar, tkwiący w winie. Ich wysokiej dowódczyni o jastrzębim obliczu nie było jednak nigdzie widać.

Conan wypłacił żołąd załodze, równocześnie polecając przetransportowanie łupów i zakupionych towarów do zamku i magazynów na nadbrzeżu. Później ruszył samotnie

na spotkanie nadobnej Philiope. Miasto szybko zostało z tyłu. Zastąpiły je sady i pastwiska. Przed nim pięły się nad skalną ostrogą połyskujące nową kamieniarką mury zamku.

Na końcu drogi znajdował się spuszczonego most. Conan odczekał, aż dowcipkujący morscy łupieżcy, podwładni Ivanosa podniosą bramę. Zawsze gdy opuszczał swe domostwo, musiał powierzyć komuś pilnowanie jego kobiety i skarbów. Ivanos wydawał się wystarczająco wierny i pozbawiony wyobraźni, by można było zlecić mu to zadanie.

Idąc przez dziedziniec i łukowo sklepioną salę biesiadną, Conan nie spotkał ani Philiope, ani wysokiego koryntianckiego pirata. Wydało się mu to podejrzane, lecz z drugiej strony wyglądało na to, że w zamku panuje spokój i porządek. Cymmerianin przeszedł korytarzem opatrzonym wieloma oknami i ruszył spiralnymi schodami północnej wieży. Pierwsza alkowa – wąska, strzelista komnata z wychodzącym na port balkonem, należała do nich.

Przed drzwiami stała para butów. Nie było to delikatne obuwie, ulubione przez Philiope, lecz morskie bucioro, ubrudzone błotem pokrywającym zamkowe zbocze. Na cholewach widniały szczyrby po ciecicach szabli.

Rozwścieczony Conan pchnął solidne drzwi, które z łoskotem uderzyły w mur, i wpadł do środka. Widok wnętrza alkowy pogrążonej w półmroku i cieniach potwierdził jego najgorsze obawy. W łóżu z baldachimem leżały dwie splecione postaci. Obok na podłogę ciśnięto niepotrzebną sukienkę, poszargane czarne bryczesy i skórzany pas z całym arsenałem: kordem, knutem i kilkoma sztyletami. Wyciągając ostrze z pochwy, Conan ruszył w stronę łóżka.

– Obudź się, łotrze, kimkolwiek jesteś! Skraść naraz kobietę, łóżo i zamek człowiekowi, który trudzi się na morzu...! Co jeszcze mi zabrałeś, na Ashtoretha i wszystkie piekielne pomioty?! Powiedz mi, czy warteto było twojego życia?!

Koniec kordu, który odsunął w bok przejrzystą zasłonę i za szturchać kołdrę, został nagle ze szczękiem odtracony przez drugie ostrze. Spod pościeli wynurzył się spiczasty sztylet długości dwóch dłoni... Co za łotr ładuje się z Philiope do łóżka razem i sztucami? – przemknęło Conanowi przez głowę.

– Zżera cię zazdrość o twoją własność, co, Amro z Oceanu Zachodniego? – pod baldachimem rozległ się gardłowy, chrapliwy głos. – Czy to znaczy, że bez niej jesteś w mniejszym stopniu mężczyzną? – ostrze rozsunięło zasłony, a dzierżąca je osoba wyłoniła się zza nich, nie okazując śladu lęku. – Czy też obawiasz się, że ktoś okaże się lepszym mężczyzną od ciebie?

Niewyraźna postać, podświetlona z tyłu blaskiem słońca, znieruchomiała z wymierzoną w przeciwnika bronią.

– Nie boję się żadnego mężczyzny, Santhindrisso – odpowiedział Conan półnagiej dowódczyni piratów, która stawiła mu czoło. – Ani kobiety, która zajmuje bezprawnie miejsce należne mężczyźnie. – Nie spuszczać z oka ostrza puginału, zastawił się kordem przed wysoką, gibką kobietą, odzianą wyłącznie w skąpą jedwabną koszulę, ledwie zakrywającą sprężyste, szeroko rozstawione nogi. – Przysięgam jednak, że zdumiewa mnie, że tu jesteś. Ze wszystkich kamratów, których mogłem podejrzewać o pohańbienie mojej kobiety, ciebie najmniej bym o to podejrzewał!

– Santhindrissa nie wzięła mnie siłą – odpowiedziała senny głosem Philiope, unosząc się i otrząsając sprzed oczu kruczoczarne loki. – Powiedziałabym, że było odwrotnie... – Zsunęła z siebie jedwabną pościel, odsłaniając większą część nagiego, idealnie gładkiego ciała. – Naprawdę, Conanie, żałuję, że nas zaskoczyłeś w tej sytuacji... nie było cię jednak tak długo... Nie miała pojęcia, kiedy wrócisz.

– Słyszałam, jak okrzykiwałeś wartowników przy bramie, ale nie sądziłam, że powinnam się wynieść czy obudzić twoją kochankę – oświadczyła dumnie Santhindrissa.

– Tak nisko mnie cenisz? – spytał posępnie Conan.

Przeniósł zakłopotane spojrzenie z hardej twarzy Santhindrissy na kusząco obnażoną Philiope i z powrotem.

– Nie rozumiem, o co się martwisz – powiedziała zimno Stygijka. – Dzieci z tego nie będzie, obiecuję! – Wzruszyła zadziornie ramionami, opuszczając koniec sztyletu. – Rozrywki między kobietami to nic nowego. Każda dziewczyna z haremu na tym wybrzeżu robi to samo ze swoimi siostrzycami, podczas gdy ich pasza zabawia się z jedną żoną.

– Co mi tam siostrzyce z haremu! – wtrąciła się rozgniewana Philiope, kładąc dłoń na ramieniu Santhindrissy. – Pomyśl o żonach marynarzy! Wolałabym

konkurować o ciebie ze stadem młodych nałożnic niż z jednym szybkim statkiem i załogą z kilkudziesięciu obiboków! – pieszcząc demonstracyjnie kark swojej dumnej kochanki, potrząsnęła grzywą splecionych czarnych włosów i łypnęła wrogo na Conana. – Skoro mnie zaniedbujesz, nie masz prawa dyktować mi, co mam robić podczas twojej nieobecności!

Zdezorientowany i nadal rozgniewany Cymmerianin daremnie szukał odpowiedzi.

– Nie zamierzam... nie winię cię za cielesne pokusy. Jak mógłbym, skoro sam ich doświadczam? – zrozpaczony spojrzął w stronę drugiej kobiety. – Ale ty, Santhindrisso, pływałaś przecież ze mną na jednym statku! Miałaś rangę równą mojej i bywałaś moją rywalką. To chyba nie w porządku...

– Gościłam również w twoim łożu! – przerwała mu zapalczywie Santhindrissa. Spojrzała za siebie, jak przyjęła to Philiope. Jej naga kochanka nie zdjęła jednak dłoni z jej barku. – A ty w moim, na „Izbie Tortur”, pośród moich towarzyszek! – dodała jadownicę, mierzając ostrzem w Conana. – Porozmawiajmy więc, skoro masz na to ochotę: dlaczego na morzu tulisz mnie do siebie, a tu darzysz wzgardą?

– Santhindrisso – rzekł zimno Cymmerianin – częściej spotykaliśmy się w czasie krwawych walk, toczonych na oczach wszystkich! Chcesz doprowadzić do tego samego w mojej własnej komnacie?

– Chcę czy nie, liczy się z tym, że może cię to spotkać! – syknęła Stygijska i zrobiła pół kroku do przodu, wykonując groźny ruch sztyletem. – Dostyc skamlania, wiem, o co ci chodzi Chcesz wbić klin między kobiety, które znasz, by łatwiej nad nimi panować! Wy, mężczyźni, jesteście jednakowi. Chcecie dzielić i rządzić, ale to się już skończyło!

Przysunęła się bliżej Conana lekceważąc jego cięższą, wolniejszą w użyciu broń.

– Nie, Santhindrisso! Nie widzisz, że jest po prostu zazdrosny? – Philiope podeszła do kochanki i otoczyła ją uspokajającym uściskiem. – Na swój nieprzemyślany męski sposób szanuje cię, bowiem, traktuje cię jak mężczyznę. – Okrążyła Santhindrissę i wyciągnęła białą dłoń w ostrzegawczym geście. – Wygląda jednak na to, że byłaś dla niego kobieta...

– Mężczyzną, kobietą, co to za po trzykroć przeklęta różnica? – Stygijska konwulsyjnym ruchem odtrąciła rękę Philiope i odepchnęła nagą dziewczynę. – Jest zazdrosny, nieszczęsny dureń. Czy ja mam być zazdrosna o niego albo o ciebie? Po tym, jak razem żeglowaliśmy, nurkowaliśmy w głębinach i leżeliśmy wspólnie pod pokładem przez długie, chłodne popołudnia? – nie było jasne, kogo miała na myśli. Piratka cofnęła się przed obojgiem z dzikim błyskiem szeroko otwartych oczu. – Byłam kochanką i nieznajomą dla was obojga, zależnie od tego, co było wam na rękę! By was zadowolić, wyzwoliłam swoich niewolników... Teraz obijają się beczynniami, upijają się, spiskują i przywłaszczają moje kobiety! Wyobrażacie to sobie... niektóre z nich, moje dzikie kocice, gadają teraz o małżeństwie i życiu na brzegu! – z goryczą potrząsnęła głową. – Ale nikt z nich, mężczyzna ani kobieta, nie ośmielił się ożenić ze mną!

– Santhindrisso, nie chciałem... – zaczął mówić Conan.

– Nie chciałeś? Nie myślałeś! – odrzuciła gniewnie. Nie myślałeś o nikim z wyjątkiem siebie. Dla własnej wygody, dla swoich okrętów, zamków i wygórowanych ambicji zniszczyłeś nasz spokojny piracki tryb życia! To, w co zamieniło się Bractwo...

– Przestań, Santhindrisso! – Conan ruszył przed siebie, pozwalając opaść klindze kordu. – Jeśli masz kłopoty, pamiętaj, że zawsze masz we mnie przyjaciela...

– Przyjaciela?! Nigdy! – krzyknęła, raptownym ruchem przykładając mu ostrze sztyletu do gardła. – Możesz być moim zabójcą albo współnikiem w rzezi, zależnie od tego, którą stronę wybierzesz! Jakie to na znaczenie? Możesz być moim kochankiem, więźniem, zdobywcą, gwałcicielem. Wszystkim tym byłeś dotąd! – wymachując zapamiętałe ostrzem, cały czas omijała gardę Conana. – Wolę cię jednak jako ścierwo z wyprutymi flakami niż przyjaciela... Cofnij się, ladacznico, lub giń!!!

Philiope bez namysłu schwyciła kochankę za nadgarstek i na chwilę zwróciła na siebie całą moc jej gniewu. Korzystając z okazji, Conan błyskawicznie sparował ostatni cios Santhindrissy. Kord i sztylet potoczyły się ze szczękiem po posadzce. Niedoszły szermierczy pojedynek zamienił się w karczemne zapasy, gęsto okraszone ciosami poniżej pasa, przekleństwami, chrapliwym dyszeniem i szorowaniem obutych i bosych stóp o posadzkę. Narażając się na sińce i ryzyko



poturbowania przez obie walczące strony, Philiope rzuciła się między nie. Pomogła Conanowi zawlec szarpiącą się Santhindrissę na łożo, gdzie prześcieradłami i poduszkami skutecznie zakończono szamotaninę Stygijki.

Szał pokonanej kobiety zamienił się wówczas w wybuch gorzkiego, nie przystającego bezlitosnemu kapitanowi piratów płaczu. Conan i Philiope pocieszali ją przez wiele godzin, zanim w końcu zdołała się uspokoić.

W tawernie „Pod Krwawą Ręką” w Djafur roiło się od zbieraniny najbardziej odstręczających i najpodlejszych pirackich szumowin z czworga dziesiątków portów Vilayet. Zgiełk, przekleństwa i kłótnie rozlegały się w starych i nowych izbach biesiadnych, dobudowanych do zadymionej, przesiąkniętej rybim smrodem kuchni i głównej izby. Poniżej, w wilgotnej piwnicy, której wiekowe kamienne mury wychodziły na plażę, ponad linią przypływów zrobiono izdebki dla klientów, szukających odosobnienia. Zatechłe obskurne klitki, stanowiące niegdyś część magazynów i lochów, były dostępne dla gości, których występki rozkwitały najbujniej tylko w ciasnocie i mroku.

W jednej z takich salek Turańczyk Rondo siedział u szczytu zatłoczonego stołu, tasując talię tekturowych kart. Piracki wikt bardzo poprawił wygląd byłego więziennego nadzorcy. Dobrze jedzenie sprawiło, że Rondo przestał wyglądać jak starzec o szurzących rysach. Jego okrągła, dziobata po ospie twarz rozciągnęła się w uśmiechu na widok przybywających gości.

– Witaj, Atroksie! Przyniosłeś pieniądze? Porządny z ciebie człowiek. Siadaj! Wkrótce zjawia się pozostali, ale już możemy napocząć dzban – z tymi słowami nalał kwartowy kubek podłego, śmierdzącego araku. – Masz. Wznieśmy razem toast za dawnego bohatera. Domyślasz się, za kogo? Za Knulfa Shipbreakera, twojego dawnego kapitana! Nie znałem go, ale wieść gminna głosi, że był wyjątkowo dzielnym piratem. Jeszcze niecałe trzy temu był wielkim wodzem Czerwonego Bractwa. Niech jego kości spoczywają w pokoju na dnie portu, gdzie znalazły się za sprawą naszego obecnego wodza! – Rondo odwrócił się w stronę wejścia. – A któż to? Wchodź, Rufiasie! Należy ci się tęgi łyk! Masz tu trochę tych pomyj. Wypiliśmy kolejkę, by uczcić pamięć kapitana Knulfa, lecz twoje przybycie sprawiło, że przypomniałem sobie jeszcze o kimś, godnym wspomnienia, o Sergiusie, twoim byłym dowódcy. Zabitym, jak wszystkim wiadomo, przez Amrę. Imię Sergiusa jest wciąż żywą legendą na wybrzeżach Vilayet! Widzę, że wspomnienie o nim wywołuje łzę w twoim oku... czy to może skutek kwaśnego wina? Ach, cóż, jak szybko ludzie zapominają... Jestem pewien, że Ivanos również przypomniałby sobie Sergiusa, gdyby nie był tak bardzo zajęty przypochlebianiem się nowemu dowódcy. Nie można jednak zaprzeczyć, że wysoko zaszedł... Witaj, Juwalo! Chylę czoło przed wykształconym mężem, znakomitym pisarzem i prawodawcą naszego Bractwa. Również wyśmienitym karciarzem, o ile sobie dobrze przypominam. Rozmawialiśmy właśnie o wielkich wodzach, trzęsących Djafur w dawnych dniach, srogich bohaterach, którzy przewodzili niegdyś piratom. To były czasy, nieprawdaż? Pirackie bractwo swobodnie przemierzało całe Vilayet, zagarniało najlepsze ładunki i paliło każdy statek, jaki mu się żywnie podobało... Ale to było zanim przymierza i układy związały nam ręce, zanim zaczęliśmy ściągać do portu więcej handlowych łajb, niż ich zatapiamy! Ach, gdybyż wróciły dawne dobre czasy! Nie wątpię, że mógłbyś nam długo opowiadać... Ale powitajmy Diccola, który wreszcie nas znalazł! Nie zaczęliśmy jeszcze gry, więc przepłucz gardło tym arakiem. Często podziwiałem twój ostry dowcip. Słyszałem od ludzi, że nawet władca morza Amra zapomina języka w gębie, kiedy ty rozpuścisz własny!

– Otacza mnie niejaka sława z tego powodu, że zawsze mówię to, co myślę – przyznał Diccolo, nie siląc się na uśmiech. – Istotnie, gotów jestem otwarcie stawić czoło Amrze i każdemu innemu partaczowi, któremu zamarzy się wywyższać nad innymi. Potwierdzą to wszyscy, z którymi pływam, oraz kapitanowie, pod którymi służyłem.

– Kto mądry, docenia to – wtrącił Juwala.

– Niektórzy – przyznał zgodnie Rondo. – No, wreszcie zebrało się nas ośmiu, dość do gry. Wy dwaj, Hermiusie i Zephacie, wciśnijcie się na ławy i nalejcie sobie. W tej klitce jest piekielnie ciasno, ciasniej niż w celi w Aghrapur, z której związałem ostatnio! Tutaj jednak możemy pograć w spokoju, przy świetle i grogu. Żaden wredny oficer nie przysie się do naszych złotych piastrów, chociaż Tarimowi jednemu wiadomo, że niewiele ich oglądałem od ostatniego podziału łupu!

– Zgadza się – przytaknął z zapalem Rufias. – Moja sakiewka jest niemal płaska.

– Przyszedłem, żeby odzyskać trochę z tego, co straciłem dwa tygodnie temu – wtrącił Juwala. – Marzę o tym, żeby znów poczuć się bogatym.

– Niestety, bracie, obawiam się, że nie wzbogacisz się na swoich kompanach. Większość złota uczciwych piratów już dawno wpadła w lepkie łapy szulerów i tłustych kupców, którzy ostatnio tuczą się w Djafur.

– Prawdę mówisz – przyznał Atrox głębokim, żalobnym głosem. – Skończyło mi się zdobyte na morzu złoto. Zostało mi\$ tylko to! – Zakołysał wiotką sakiewką, w której zabrzęczało parę miedziaków.

– Możliwe, że to, co powiadali o przekleństwie skarbu Kobolda, to prawda – stwierdził grobowym głosem Rondo. – Widzi mi się, że to złoto trafi tam, skąd przybyło, na dno morza! Amra i i czarnoksiężnik nie powinni go byli wydobywać na powierzchnię za cenę życia swoich ludzi – zmarszczył brwi, przybierając na tyle trzeźwy wyraz twarzy, na ile mógł, zważywszy na wlaną w siebie ilość alkoholu. – Wy dwaj jesteście nowi. Być może nie znacie tej historii? – rozdając karty zwrócił się do Zephata i Hermiusa. – Byliście w załodze Garfalka, zgadza się? Tego, którego zamordowano ostatnio na rozkaz Amry? Sprawa wygląda tak: nabity po burty piratami, kapitanami i ich oficerami „Kruk” Amry, na którym zda się od początku ciążyła klątwa, wyruszył w rejs dla przyjemności naszego nowego władcy. Pod drodze zajęto galerę, na której płynął czarnoksiężnik. Zamiast go zabić, przyłączono się do niego i wyruszone na poszukiwanie skarbu. Wypłynięto daleko na północ, na ciemne, nawiedzone przez demony morza, nie bacząc na złe znaki, ostrzegające przed nieuchronną zgubą. Dzięki czarom odnaleziono wrak galery Kobolda Rudobrodego, zatopionej razem z skarbem w okrytej legendami przeszłości. Niewolnicy czarnoksiężnika z pomocą załogi „Kruka”, na przekór woli bogów i ducha Kobolda, wydobyli skarb z morskiego dna, lecz rozgniewani bogowie morza zesłali sztorm, który doprowadził do zagłady okrętu Amry. Niektórzy powiadają, że z niebios opuściła się dłoń jednego z bogów z mieczem, którym rozszczępił statek na dwoje. „Kruk” zatonął z całą załogą, z Amrą, jego kobietą i czarnoksiężnikiem. Zdobytna galera dotarła do Djafur z drobną częścią skarbu. Po podziale ci, co przeżyli, dostali marne grosze. Potem, Erlikowi jednemu wiadomo, jakie diabelstwo czy nekromancja to sprawiły, wraca Amra ze swą damą serca, przywłaszcza sobie lwią część łupu, upiększa swój zamek, paktuje z Hyrkańczykami i zachowuje się, jakby nigdy nic się nie stało. Panoszy się jak księżę ze swoim bogactwem i kobietami, gnębi byłych towarzyszy i śmie mordować prawdziwych piratów! Ostatnio krąży wieść, że zamierza nas wciągnąć w wojnę, byśmy walczyli i ginęli za Cesarstwo Hyrkanii!

Piraci słuchali jego słów w ponurym nastroju. Dobierali karty, marszcząc brwi i mamrocząc gniewnie. Jedyne Diccolo ostro zareagował na biadolenie towarzyszy:

– Słuchaj, Rondo, opowiedziałeś nam nader przygnębiającą historię! – Drobnym Kothyjczyk obdarował swoich partnerów ironicznym uśmiechem. – Amra nie zwykł nigdy unikać kłopotów. Tarim jeden wie, że ja również. Nie przywykłem merdać pokornie ogonem przed moimi kapitanami. Nieraz oberwałem po łbie tymi bochnami, które Cymmerianin ma zamiast pięści, dostałem też od niego parę razy wiośłem i rękojeścią noża, ale twierdzę, że Amra zawsze zachowuje się porządnie w stosunku do ludzi, którzy stanęli po jego stronie. Nigdy nas nie opuścił, chociaż nieraz musiał stawać twarzą w twarz ze śmiercią. – Żyłasty pirat zwilżył gardło łykiem trunku. – A że pływałem po tych wodach na długo przed tym, nim trafiłem pod jego rozkazy, nie widzę powodu, by żałować dawnych czasów – machnięciem dłoni objął ciasne, zadymione wnętrza. – Rozglądając się wokół, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział w Djafur równe bogactwo i wygody. Nie pamiętam również, by ten port był kiedyś bezpieczniejszym schronieniem dla uczciwych piratów.

Wypowiedź Diccola sprawiła, że pomruki jego kompanów nabrały charakteru kwaśnej, niechętniej zgody. Jednak po chwili ponownie odezwał się Rondo. Jego głos pełen był nieprzyjemnej dla ucha fałszywej poufałości.

– Zgadza się z tobą pod jednym względem, Diccolo, że w swoim czasie wielokrotnie oberwałeś po głowie! – odczekał, aż ucichną hałaśliwe śmiechy pozostałych piratów. – Nie chciałbym bynajmniej uchybić ani tobie, ani twojemu ukochanemu kapitanowi, dlatego też określe go tylko jako samolubnego tyrana, nie bardziej krwiożerczego niż większość pirackich władców w dziejach naszego Bractwa – wyszczerzywszy się w uśmiechu, przetasował i rozdał karty, mówiąc dalej: – Istotnie, muszę przyznać Amrze pewne zalety. Udało mu się wznieść nad innych. Zbudował sobie zamek – kryjówkę i zgromadził więcej okrętów i bogactw, niż zwykle są w stanie zebrać ci, którzy odrywają się od swoich korzeni. Nie mogę winić go za to, że pilnuje złota ani za to, że chce zaprzedać swoich

dawnych towarzyszy w służbę obcego tronu. Inni robili to samo przed nim i tak bez wątpienia będzie się działo w przyszłości.

– Jacy inni? W jakiej przyszłości? – rzucił ostro Diccolo, rozgniewany pozorną układnością Ronda – Kto szykuje się na miejsce Amry? Myślisz, że zgodzimy się, żebyś ty go zastąpił? Ty, postrach rzecznego handlu na Ubarsie? – Rozejrzał się z irytacją po grupce graczy, szukając tych, którzy uczestniczyli w wyprawie na Aghrapur. – Jak możecie zgadzać się, że Conan zaprzedał nas cudzoziemcom, skoro ochronił Djafur przed Turańczykami i zabił Knulfa za to, że nas zdradził? Czy nie rozumiecie, że zbudował zamek, żeby wrogowie nie mogli zdobyć Djafur?

– Rzeczywiście? – wtrącił się z uśmiechem Rondo. – Myślałem, że postawił go po to, by chować przed nami złoto i swoje kobiety!

Ostry jak żądło osy język Diccola tym razem zdawał się go zawodzić. Przygwożdżony śmiechem graczy pirat zwrócił się jeszcze raz do uśmiechniętego rozmówcy.

– Widzę, gdzie zmierzasz, Rondo, i ostrzegam cię, nie licz na moje poparcie. Nie pomogę ci obalić Amry, byś mógł przejąć po nim schedę!

Z tymi słowami wstał, cisnął karty na stół i wyszedł. Podczas gdy piraci patrzyli za nim z powątpiewaniem, Rondo odciągnął Atroxa na bok i zaczął mu szeptać coś do ucha.

Diccolo wszedł na górę do izby biesiadnej. Nie mógł otrząsnąć się ze złości po tym, co usłyszał. Oczywiście, skargi i buntownicze narzekania nie były wśród piratów niczym niezwykłym, lecz zdawał sobie sprawę, że szubrawiec Rondo coś knuje. Ten rzeczny pirat wyglądał na wystarczająco przebiegłego, by narzucić swoją wolę innym. Niewątpliwie Diccolo zrobiłby lepiej udając przychylność, by wysłuchać do końca jego słów, jednak jak zwykle jego język wpakował go w kłopoty. Jak na ironię tym razem spotkało go to za obronę Conana, nie zaś za szyderstwa z nieustraszonego kapitana.

Diccolo odczuł potrzebę zwierzenia się komuś i porozmawiania o tym, czego się dowiedział. Rozglądając się po rojnej galerii, od razu dostrzegł starego Yorkina, kapłana, układającego teraz poematy. Stary piernik był powszechnie lubiany i stanowił dla wszystkich skarbiec praktycznej mądrości. O jego rozumie świadczył fakt, iż w profesji, w której czas życia był wyjątkowo krótki, dożył tak podeszłego wieku, że wypadły mu prawie wszystkie zęby.

Yorkin siedział na antałku koło spiżarni, pijąc piwo z drewnianego dzbana. Gdy Diccolo podszedł do niego i przyciągnął sobie drugi antałek, Yorkin zwrócił się w jego stronę i przywitał go szczerbatym uśmiechem.

– Bywaj, młodziku! Jakie wiatry sprawiły, że tu przyhalsowałeś?

– Posłuchaj mnie, Yorkinie... ściska mnie okrutnie w dołku, jak pomyśle sobie, co właśnie szemrali pod pokładem pyzaty Rondo i paru jego karcianych koleżków. – Odczepiwszy od pasa drewniany kubek, Diccolo tłukł nim w beczkę tak długo, aż zjawiała się dziewczka służebna z dzbanem araku. Obydwaj mężczyźni zamilkli, gdy pochyliła się, by nalać im trunku, zgarnęła srebrną monetę i spiesznie ruszyła dalej. – Luzują pokład pod kapitanem Amrą – oznajmił Diccolo w pirackim żargonie. – Mają ochotę ściąć mu wiosła i wyrwać maszty! Gadają, jak to się pyszni, jak za nic ma dawnych druhów, i że niby wszystko idzie na gorsze.

– To mi wystarczy – odrzekł starzec. – W Cieśninie Południowej jest bez liku raf, mielizn i fałszywych kanałów! Jeśli sondowanie ma być rzetelne, trzeba musnąć dno! – Yorkin uśmiechał się przyjaźnie, wodząc uważnie spojrzeniem wodnistych oczu po krzątaniu w sali szynkowej.

– Istotnie, stary druhu – zatroskany Diccolo pociągnął łyk araku i zamilkł na chwilę. – Co do mnie, nie przychyliłem ucha do ich gadania, bo widzę, że niebawem nasze Bractwo będzie jeszcze silniejsze i zapowiadają się wspanialsze łupy.

– Tak – powiedział Yorkin. – Mądry sternik kłania się i kapitanowi, i majtkom na wantach – wzniosłszy dzban, upił głęboki łyk piwa – Przy południowym wietrze lepiej potrójnie zrefować żagle, niż je stracić.

Diccolo zorientował się, na czym starzec skupia spojrzenie. Solidne drzwi niewielkiego pokoiku, w którym chroniono beczki z arakiem i piwem przed zakusami nazbyt gorliwych amatorów trunku, stały otworem. Dziewki służebne Philiope w skąpych sukienkach wbiegały do środka i wypadały z pełnymi dzbanami. Właśnie widok krzątających się niebrzydkich dziewczyn sprawiał, że siedzący naprzeciw wejścia Yorkin kiwał głową i uśmiechał się z zadowoleniem pomiędzy kolejnymi

łykami z dzbana.

– Wielkie dzięki, Yorkinie – powiedział Diccolo wstając. Odczuł nagłą potrzebę opuszczenia tawerny i skierował się do drzwi po stronie ładu, prowadzących na oświetloną latarniami rojną uliczkę. Wyjawszy odór dymu i ryb, noc była piękna. Diccolo wyminął tłumy biesiadników i ruszył pod górę, utwierdzając się w przekonaniu o słuszności swojej decyzji.

Skończył się bruk, zaczął się bity trakt, jednak mimo ciemności Diccolo szedł nadal szybko i pewnie. Zabudowania po obydwóch stronach przerzedziły się. Kolejne znajdowały się coraz dalej od ulicy, przesłonięte sadowymi drzewkami. Daleko w przedzie i w górze widać było majaczące na tle gwiazd bliźniacze wieże zamku.

Z tyłu za Diccolem rozległy się spieszne kroki dwóch ludzi. Słysząc je było coraz bliżej. Diccolo skręcił do sadu, lecz uderzył boleśnie policzkiem o gałąź. Nim zdążył dojść do siebie, poczuł uścisk mocnych dłoni na ramionach. W uchu zabrzmiał mu głęboki głos Atroxa:

– Zatrzymaj się, z łaski swojej!

– Poczekaj, Diccolo! Zgubiłeś się? – rozległ się głos Rufiasa. – Zbłądziłeś daleko od morza, chłopie! Nie masz tu czego szukać. Znalazłbyś tu tylko zamek bogatego kapitana, którego tacy jak my przestali obchodzić.

– Zgubił się, biedak – wymruczał z zadowoleniem Atrox, chwytając Diccola za kark.

– Może jednak szuka swojego kapitana, by podzielić się z nim jedną czy dwoma opowiastkami? Możliwe, czyż nie? Nie byłoby to jednak sprytnie z jego strony.

– Nie, Diccolo. Wcale nie sprytnie – stwierdził Atrox, unieruchamiając go w uścisku.

– Ze strony tak wygadanego chłopaka jak Diccolo byłoby to wręcz głupotą. Ostry, ruchliwy język może być bardzo groźny, wiem jednak, jak temu zaradzić.

W dłoni Rufiasa zalsnił sztylet.

X

PRZYGOTOWANIA DO WOJNY

– Musimy natychmiast zaatakować Hyrkanię! Zależy od tego cała przyszłość Turanu! – słowa księcia Yezdigerda przetoczyły się echem pod kopułą pałacowego cyrku, nie przeszkadzając jednak wykonującym swój program akrobatkom. Nie wywołały również pożądanego skutku u cesarza Yildiza, którego obdarzały pieszczotami dwie nałożnice.

– Najszacowniejszy ojczu! – Yezdigerd podjął przemowę bardziej umiarkowanym głosem. – Nasi szpiedzy donoszą, że Hyrkańczycy są gotowi do wojny. Twierdzą, że najlepszym wyjściem dla nas jest wyprzedzenie ich ataku. – Jego słowa wywołały na twarzy cesarza wyraz umiarkowanego znudzenia. Księżę kontynuował: – Musimy dokonać desantu na wschodnie wybrzeże i spalić galery Hyrkańczyków na pochylniach, nim zdołają je zwodować.

– Tak, zapewne tak, ale wykaż, mój synu, trochę zrozumienia dla cierpienia, którego doznają! – spoczywający na stercie poduszek Yildiz wyciągnął przed siebie obandażowane stopy. Machnął dłonią, by uspokoić rozgorączkowanego potomka. – Podagra to nie przelewki. Może sam to kiedyś zrozumiesz. Nie potrafisz usiedzieć spokojnie i cieszyć się przedstawieniem?

– Mam marnotrawić czas, podczas gdy nasi przeciwnicy zbroją się przeciwko nam? – Yezdigerd powiódł miazdzącym spojrzeniem po zebranych dygnitarzach, którzy przytaknęli mu łaskawie!

głowami, nie odrywając wzroku od gimnastycznych pokazów. Na kamiennych ławach rozsiadło się mniej więcej tuzin zaufanych doradców, włącznie z architektem Nphetem Ali, ministrem finansów Ninshubem, admirałem Quubem i niedawno przybyłym generałem Artabanem.

– Daj spokój, drogi chłopcze, nie ma sensu tak się dąsać i boczyć. Usiądź, jeśli łaska! Gdy tak sterczysz nade mną, łupie mnie w obrzękniętych palcach. – Yildiz, wyglądający całkiem przytomnie mimo opuchniętych kończyn i ogólnej bladeści, wskazał swojemu roślemu synowi o wilczym obliczu jedną z wymoszczonych poduszkami kamiennych ław. Yezdigerd przycupnął na niej niechętnie. – Te nadobne młode kobiety wkładają mnóstwo wysiłku, by nas zabawić – kontynuował cesarz. – Racz im się przyjrzeć. Być może uznasz ich wyczyny za pouczające.

Kobietami, o których mówił Yildiz, było sześć gibkich akrobatek z Południa, prześcigających się w akrobatycznych skokach z trampoliny, odbijających się od

batutu i chwytających w powietrzu, podskakujących i wykonujących skomplikowane figury na tyczkach oraz naciągniętych linach. Sądząc po wysokich kościach policzkowych i czarnych włosach, zaplecionych w przypominające sznury warkocze, pochodzili z Zaporozża. Ich przylegające do ciała kostiumy z naszywanego cekinami jedwabiu podkreślały krasę wygimnastykowanych ciał. Jak zawsze, akrobatki wprawiały dworzan w zachwyt, jednak na twarzy Yezdigerda malowała się rosnąca irytacja.

– Sam powiedz, czyż widok kobiecej sprawności nie łagodzi napięcia, które w człowieku powodują sprawy stanu? – spytał Yildiz, gdy zakończył się występ. Przykuty do łoża monarcha uszczypnął bujny pośladek wachlującej go nałożnicy, która wydała gardłowy pisk zachwytu. – Co do twojego pragnienia jak najszybszej napaści na Hyrkanie, sądzę, że jest to pomysł całkowicie chybiony i dowodzi twego braku doświadczenia

– Ależ ojcze, jaki znasz lepszy sposób złamania miecza wroga? Tego rodzaju wyprawa byłaby powodem do chwały, a zważywszy na większą liczebność naszej floty...

– Właśnie z tego powodu powinniśmy zachować ją na ostatek... ach, na Erlika! W miarę możliwości nie powinniśmy tracić; zimnej krwi – Cesarz skrzywił się z bólu i wyprostował się sztywno jak kołek, gdyż nieostrożnym poruszeniem uraził swoje spuchnięte i obolałe stopy. Usługujące mu kobiety niezwłocznie nachyliły się nad nim z troską. Po paru chwilach Yildiz przemówił ponownie: – Wątpię, mój chłopcze, by tobie czy któremukolwiek innemu Turańczykowi udało się przeprowadzić taką inwazję, nawet z pomocą twojego kapryśnego czarnoksiężnika... Jak mu tam?

– Crotalus, ojcze – ton Yezdigerda, zmuszonego do dyskusji na niemiły mu temat, stracił ostrość. – Ostatnie raporty naszych szpiegów potwierdzają to, czego się obawiałem: sztorm zepchnął na brzeg jego statek, a sam czarnoksiężnik wpadł w ręce Hyrkańczyków. Jest to jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy niezwłocznie podjąć działania...

– Wpadł w hyrkańskie ręce, czy zaproponował im swoje usługi. Jakie to ma znaczenie? – rzucił bez troski cesarz. – Wersja raportu, który ja otrzymałem, sugeruje, że Crotalus i jego czary są w znacznym stopniu odpowiedzialne za niedawną rozbudowę hyrkańskiej floty, o której wspomniałeś – cesarz ostrożnie wzruszył ramionami. – Oto kłopot, który często pojawia się przy wypróbowywaniu nowej broni; człowiek szybko się przekonuje, że ma na gardle jej ostrze! – powiódł wzrokiem po pozostałych doradcach. – Co z poruszonymi przez potwory galerami, które Crotalus budował dla nas niebagatelnym kosztem? Czy odważymy się ich użyć, czy też zwrócą się przeciwko naszym statkom, gdy tylko wyprawi się je w morze?

O odpowiedź pokusił się admirał Quub, niski, zasuszony człowieczek w wyraźnie zbyt dużym atłasowym turbanie z bujnym pióropuszem.

– Wasza wysokość, moi poskramiacze zapewniają, że okrętami tymi będzie można bezpiecznie sterować z pokładów dziobowych. Otrzymałem potwierdzenie, że wiosłujące istoty są całkowicie posłuszne. Co więcej, są trzymane w ciemności pod pokładem i brak im inteligencji, by pojęły, że zabrakło ich poprzedniego władcy – drobny mężczyzna uśmiechnął się blade. – Mimo to ze względów bezpieczeństwa proponuję, by używać tych okrętów w oddzielnych formacjach, poza głównymi siłami naszej floty.

– Warto się zastanowić nad tym... – odparł Yildiz – oraz nad ich możliwie szybkim zużyciem w walce. Czarnoksiężnik na pewno wie, jak najskuteczniej poradzić sobie z tymi stworami. Musimy wziąć pod uwagę to oraz kunszt nawigacyjny Zembabwańczyka. Nie wspominam o cechujących go ponoć wieszczych zdolnościach...

– Szczerze wątpię – przerwał mu Yezdigerd – czy Crotalus dałby się przekonać do użycia swoich mocy przeciwko nam. Jednakże rychłe zapobieżenie tej ewentualności i uwolnienie nas od podobnych trosk jest jedną z zalet mojej propozycji...

– Na twoim miejscu, Yezdigerdzie, pogodziłbym się z utratą Crotalusa – powiedział wyniośle cesarz. – Czarnoksiężnika nie wiąże pospolita wierność czy przyjaźń, nie kieruje nim nawet żądza bogactwa lub władzy takiej jak nasza. Czarownicy częstokroć marzą o potędze bardziej subtelnej, ezoterycznej i stale wymykającej się im z rąk. Najczęściej pościg za tym ideałem sprawia, że szybko okrywa ich kurz zapomnienia. Twój mag najprawdopodobniej znudził się Turanem, wycisnąwszy wszystkie sekrety z naszego Trybunału Wieszczów. Nie

zdołasz nakłonić go do powrotu.

– Mimo to, czcigodny ojcze, nie możesz zaprzeczyć, że niezwłoczny atak na Hyrkańnię niesie ze sobą niezaprzeczalne korzyści – upierał się Yezdigerd. – To czyn, którego mógłby dokonać młodszy wódz, obdarzony większym wigorem i mniej... schorowany niż ty. Ułatwiłoby to przekazanie sukcesji, podniosło ducha wojska i stanowiło zaprawę przed przyszłymi kampaniami...

– Dość, Yezdigerdzie! Racz pamiętać, że ciągle jestem cesarzem! – w ciszy, która zapadła po tych słowach, Yildiz ostrożnie poprawił stopy na poduszkach. – Mimo że brak mi obecnie sił, by się z tobą spierać, być może czegoś nauczą cię te kobiety. Kończcie przygotowania!

Zdecydowanym klaskaniem Yildiz zwrócił na siebie uwagę sług sprzątających arenę przed kolejnymi pokazami. Na ten znak śpiesznie zakończyli prace i zniknęli ze sceny. Po przeciwnej stronie kręgu otworzono spiżowe drzwi, przez które wpadła na arenę truchtem szóstka koni różnej maści. Wybornie zadbane, wysokie w kłębie wierzchowce były starannie dobrane pod względem wielkości.

– Hej! Wio, Zubbadiyah!

Raźnymi krzykami woltyżerki zmusiły konie do biegu galopem po obwodzie areny i powskakiwały na ich grzbiety. Chwytając za rzemienie upręży i silnie zwierając uda na końskich bokach, dały pokaz jazdy bez siodeł. Piruety, stójki na rękach, wymyki pod brzuchami wierzchowców niebezpiecznie blisko śmiercionośnych kopyt, wspaniale zsynchronizowane przeskoki z jednego konia na drugiego przykuły uwagę wszystkich widzów, włącznie z urażonym Yezdigerdem.

W pokazie woltyżerki było coś wyjątkowego, czego zabrakło w poprzedniej prezentacji kobiecej zręczności. Połączenie niewieściej gibkości i oszałamiającej samczej mocy wierzchowców okraszane było dodatkowo widokiem prawie nagich ciał wijących się na mknących końskich grzbietach. Patrzącym wydawało się, że mają przed sobą istny żywioł. Kobiety najwidoczniej również to odczuwały, przeskakując z dzikimi krzykami z grzbietu jednego wierzchowca na drugi.

– Widziałeś?! – zawołał cesarz Yildiz, gdy ostatnia z woltyżerek opuściła arenę. – Byłaby to odpowiednia rozrywka dla wysłannika naszych sąsiadów, Adi Bukbula, z którym niedawno pożegnaliśmy się bez żalu. Zaiste, wspaniały pokaz – turański władca obrócił się w stronę syna, który ze zniecierpliwieniem podnosił się z ławy. – I jakie wnioski z niego wyciągnąłeś, chłopcze?

– Może sam mi powiesz, czcigodny ojcze? – ponury młody książę wzruszył ramionami. – Że wyznawczynie dawnego boga Erlika są bardziej bezwstydne i lubieżne od cór Tarima? Wątpię, by o to ci chodziło. Cóż innego chciałeś mi uświadomić, ojcze?

– Zaprawdę, czy jest coś, co uszłoby twojej przenikliwej mądrości? – Cesarz uśmiechnął się przebiegle. – Masz rację, bystry Yezdigerdzie, zakładając, że te kobiety pochodzą z odleglejszych prowincji, w których pielęgnuje się pradawne obyczaje. Są to w istocie Zaporożanki, sprowadzone tutaj wraz z końmi z jednej ze spornych włości na drugim brzegu Vilayet. To pospolite córki jednego z miejscowych klanów, pasterki jaków, które przygotowały to przedstawienie, przedłużając stary uświęcony tradycją obyczaj. Chciałbym jednak zwrócić twoją uwagę na coś innego: to pospolite, koczownicze chłopki, które odkąd wyrosły z pieluch, spędzały w siodle więcej czasu niż poza nim. Ich sztuczki, zdumiewające dla nas, mieszkańców Zachodu, nie zaskakują w stronach, z których pochodzą, w kraju, z którym wkrótce możemy znaleźć się w stanie wojny – czyniąc znaczącą przerwę, Yildiz zwrócił wzrok ku Artabanowi. – Generale, znużyła mnie ta przemowa. Kontynuuj, proszę, z łaski swojej.

– Dzięki, najwyższy panie. Pojąłem, o co ci chodzi. – Artaban, wcielenie ideału młodego i przystojnego turańskiego wodza, skłonił się cesarzowi i zwrócił do Yezdigerda: – Najpokorniej błagam o wybaczenie, książę, chciałbym jednak rzec, iż Hyrkańcy i mieszkańcy innych stepowych krain spędzają jeszcze więcej czasu na końskich grzbietach niż Zaporożanki – szybkim ruchem skłonił głowę przed swoim słuchaczem, na którego obliczu zaczynała malować się irytacja. – Ci ludzie ćwiczą i doskonałą nie akrobatyczne sztuczki, lecz bezwzględna walkę z konia. Po wielu stuleciach pasterstwa, polowań i pościgów, ich wojownicy i wierzchowce przewyższyli rywali z całego świata. Szczycimy się, że mamy doskonałą jazdę, najlepszą w hyboryjskich państwach, lecz mimo to tak Turańcy, jak każde cywilizowane królestwo popełniłoby szaleństwo, otwarcie stawiając czoło stepowym hyrkańskim jeźdźcom. Ich hordy pokonałyby nas wszędzie, a zwłaszcza na wielkich pustkowiach Hyrkanii. Dlatego też zgadzam się z twoim

ojcem, panie – Artaban rzucił szybkie spojrzenie w stronę łaskawie uśmiechniętego Yildiza – że najbardziej prawdopodobnym wynikiem zbyt śpiesznej i zakończonej zbyt powodziem morskiej inwazji byłoby to, czego powinniśmy unikać za wszelką cenę: wojna lądowa z liczebniejszą, doskonale wyćwiczoną hyrkańską konnicą. Nawet pod najlepszym, najdzielniejszym dowódcą – Artaban znów skłonił głowę przed młodym księciem – taki atak nie miałby żadnych szans powodzenia.

– Istotnie, książę, to całkowita prawda – odezwał się siedzący za plecami Artabana admirał Quub. Wstał, rzucił pytające spojrzenie na Yildiza, po czym kontynuował: – Jedynym sensownym wyborem jest wykorzystanie większej siły turańskiej floty. Nasz cesarz zaproponował takie właśnie rozwiązanie: cierpliwe czekanie na planowaną inwazję naszych przeciwników i zgniecenie: ich na morzu. Bez względu na sukcesy, którymi Hyrkańczycy wykazali się przy budowaniu swojej floty, i wspomagającą ich magię, są marnymi marynarzami. Ta sama pasja, która dała im mistrzostwo w jeździectwie, gwarantuje z całkowitą pewnością, że ustępują nam na morzu.

– Zgadza się – wpadł mu w słowo Artaban. – Z drugiej strony, gdyby ruszyli na nasze ziemie, okrążywszy morze Villayet od południa, położone tam liczne góry, rzeki i twierdze osłabiłyby ich siłę i dałyby nam dość czasu na przygotowanie obrony.

– Właśnie – podjął admirał, pragnący dokończyć myśl. – By kampania lądowa nie straciła impetu, Hyrkańczycy muszą przepłynąć drogą morską. W ten sposób nie zdołają nas jednak zaskoczyć. Po wielu latach turańskiej potęgi nad Vilayet, Hyrkańczycy brak wystarczającego doświadczenia, by powieść swą flotę do zwycięstwa. Jeśli nasze jednostki będą trwały w należytej gotowości, możemy rozstrzygnąć wszystko podczas jednej lub kilku i morskich bitew.

– Naprawdę? – zapytał sceptycznie Yezdigerd. – A co z piratami? Hyrkańczycy zawarli przymierza z szeregiem wyspiarskich posiadłości i księstw, włącznie z wyjętym spod prawa Czerwonym Bractwem i sprzyjającymi mu morskimi plemionami. Bractwo i ich sojusznicy wykazali się w przeszłości wielką przebiegłością w walkach na morzu. Jedną z głównych zalet natychmiastowego uderzenia byłoby zapobieżenie połączeniu sił piratów i Hyrkańczyków.

– Nie, synu – uciał stanowczo Yildiz. – Lepiej zaczekajmy, aż się połączą, i pokonajmy ich razem. Cesarska flota wojenna przewyższa nawet ich połączone siły. Poza tym sprzymierzeńcy na morzu to raczej zawada niż zysk. Puściłem już w ruch plan, mający wbić klin pomiędzy morskich rozbójników i Hyrkańczyków. Być może uda się nawet doprowadzić ich do zdrady. Nie powinieneś, synu, nigdy zapominać o zaletach dyplomacji.

– O ile sobie przypominam, czegoś podobnego już raz próbowałeś, ojczcie – odparł chłodno Yezdigerd. – Zdrada kwitła na każdym kroku, co doprowadziło do publicznego upokorzenia naszej floty. W rezultacie ten bandyta Amra zyskał swoją obecną pozycję. Od tej pory jego piraci nękają nasze wody z jeszcze większą zjadłością. Porywają statki, wymuszają haracz, napadają na wysunięte garnizony i śmiają się nawet twierdzić, że stworzyli własne cesarstwo! Trudno sobie wyobrazić większe kłopoty z ich strony.

– Istotnie – potwierdził ze znużeniem Yildiz. – Musisz jednak zrozumieć, mój chłopcze, że w obecnej chwili Amra jest bezpieczny w swojej twierdzy. Amra to jednak tak poślednia postać, czy znajduje się pod naszą absolutną władzą czy nie, jest tylko pionkiem, który możemy wedle woli przesuwac po szachownicy. Dlatego też polegamy na naszych dyplomatycznych wysiłkach. Co do nadciągającej wojny, będziemy trwali w gotowości i wzmacniali flotę. Ponieważ tak rwiesz się do czynu, pozwalam ci dowodzić na morzu, kiedy nadejdzie na to czas, oczywiście pod nadzorem admirała Quuba.

– Tysiącne dzięki, dostojny ojczcie.

Skinąwszy głową, książę Yezdigerd wyszedł z sali. Po trwającej dłuższą chwilę ciszy, generał Artaban odważył się odezwać:

– Książę jest bardzo popędliwy, wasza wysokość, ale rwie się do walki. Dobrzy doradcy mogą sprawić, że przysporzy Turanowi wielu zwycięstw.

Yildiz odwrócił głowę od parującej filiżanki, którą nałożnica przykładała mu do ust, i uśmiechnął się kwaśno.

– Dochodzą mnie słuchy, że ostatnio bardziej zależy mi na i zatriumfowaniu nad swoim ojcem niż nad Hyrkańczykami – cesarz wzruszył ramionami. – Jakkolwiek by było, będę powstrzymywał jego zapędy tak długo, dopóki nie umrę. Każde dorastające dziecko, nawet książę, musi nauczyć się uginać przed wolą rodzica.

Opuściwszy arenę, Yezdigerd spotkał za drzwiami wysokiego arystokratę ciemnym wąsem.

– Khalidzie Abdalu, dobrze zrobiłeś, że na mnie zaczekałeś – rzekł książę.

– Jestem do twojej dyspozycji, panie – powiedział Abdal. – Chociaż nie mogę powiedzieć, bym był człowiekiem niskiej rangi, nie ważyłem się przerywać narady tak dostojnych mężów.

– Bardzo dobrze. Zależy mi, by nasze spotkania pozostały niezauważone.

– Jak zwykle, książę. – Khalid Abdal stał szybko i pewnie obok niespokojnego następcy tronu. Dźwięk kroków rezonujący w pograżonym w półmroku korytarzu skutecznie uniemożliwiał; podsłuchanie rozmowy. – Wiem z długiego doświadczenia, że na dworze istnieje mnóstwo sposobów wywierania wpływu na bieg wydarzeń, a prawdziwa władza nie zawsze pochodzi z góry.

– Dzięki Tarimowi, inaczej nasze cesarstwo byłoby w opłakanym stanie – przyznał Yezdigerd z nutą gorzkości. – O ile dobrze zrozumiałem, wprowadziłeś swojego agenta w pobliże Amry, Conana, czy jak go tam zwą. Czy ten człowiek zdolny jest dokonać mordu?

– Niewątpliwie, wasza wysokość. Można na nim polegać. To były więzień – donosiciel z jednej z twierdz floty, którego Conan i jego piracka tłuszcza uwolnili pospołu zresztą więźniów. Ten człowiek nigdy nie poświęcił się bez reszty zbrodniczemu rzemiosłu: wcześniej zdradzał nam plany rzecznych piratów – mówił Khalid ścisłym głosem, milknąc, gdy mijali kłaniającą się służbę lub otwarte drzwi. – Nie tylko potrafi szybciej niż większość ludzi obchodzić się z nożem, jest również zręcznym wicherzycielem i prowokatorem. Zapewne trzeba będzie zorganizować duży spisek, ponieważ można być pewnym, że Amra będzie walczył jak zapędzony w pułapkę rozwścieczony górski niedźwiedź. Aby pokonać wszystkie drzwi, wartowników i samego Conana, potrzeba będzie co najmniej tuzina morderców.

– Trudno, skoro jest to niezbędne. – Yezdigerd skrzywił się, patrząc na opromieniony przez słońce balkon z lapis-lazuli, skąd roztaczał się widok na pałacowe ogrody i błękitne ujście rzeki. Tutaj mogli rozmawiać bez obawy, że grozi im podsłuchanie. – Zakarbuji sobie, że nie ma co bawić się w tortury czy przesłuchania. Zapłacę szczerze temu człowiekowi, by porządnie wykonał swoją robotę i nie dał się przekupić nikomu innemu. W zamian pirat ma zostać zabity, a ja chcę otrzymać tego dowód!

– Niechybnie tak się stanie, wasza wysokość! Jutro rano wypływam w interesach na wschodni brzeg Vilayet. Tam ponownie spotkam się z mordercą i przekażę mu drugą połowę zapłaty. Dołożę wszelkich starań, by wypełnić twoje polecenia, panie.

– Dla ciebie to również sprawa osobista, czyż nie? – książę, najwidoczniej traktujący Khalida Abdala jak równego sobie, popatrzył rozmówcy w oczy. – Słyszałem, że ten łotr naraził się twojej rodzinie?

Szlachcic zmarszczył brwi pod wpływem niemiłego wspomnienia.

– W wyniku jego piractwa zginęła moja kuzynka, młoda niewinna dziewczyna, pływająca na swoje zaślubiny. Powiedziano mi, że poniosła śmierć z własnej woli, jednak stało się to w obecności Amry. – Khalid Abdal zniżył głos. – Co więcej, Amra zatrzymał moją główną żonę, Olivię, jako swoją brankę, dopóki nie zapłaciłem okupu. Wiem, że ją maltretował; widziałem to w jej oczach, chociaż nie chciała o tym mówić. Liczę, że śmierć Amry pomoże mi odzyskać miłość Olivii.

– Niewykluczone – rzekł poważnie Yezdigerd. – W każdym razie nie pozwól, by osobista nienawiść wpłynęła na twoje poczynania lub doprowadziła do jakiejś niedyskrecji. Wielu ma powody, by gardzić Amrą. Ten łotr niezliczoną ilość razy szkodził honorowi naszego Imperium... – urwał, zmarszczywszy brwi. – Teraz najistotniejsze jest jednak, by zabić go bez zwłoki. Przysłuż mi się dobrze, Khalidzie, a wkrótce powierzę ci poważniejsze zadania, za których wypełnienie będziesz mógł liczyć na odpowiednio większe nagrody – utkwiał w Abdalu spojrzenie połyskujących zimno oczu. – Wiedz bowiem, że czeka nas uporanie się z przeciwnikami bardziej wymagającymi niż Amra... – Skinieniem głowy wskazał zwalisty gmach cesarskiego pałacu, który dopiero co opuścili. – Zaiste, trzeba będzie usunąć kilku głupców i zdrajców, nim sprawy w Aghrapur zaczną toczyć się właściwym torem!



Port w Khorusunie lśnił w błękitnym świetle poranka. Przycumowane wzdłuż kamiennego nadbrzeża statki kołysały się łagodnie na chlupoczących falach. Niektóre z nich zakotwiczyły na otwartych wodach zatoki. Były to kogi i żaglowce z wysokimi masztami, zbyt duże i o zbyt ciężkich kilach, by można je było doholować do brzegu. Inne, napędzane wiosłami statki handlowe, nie zamierzały wyładowywać towarów lub zatrzymywały się w porcie zbyt krótko, by celowe było zacumowanie przy moło. Obok portu leżał szereg wyciągniętych na plażę jednorzędowych galer i odwróconych łodzi rybackich.

W głębi rozciągał się przekładaniec palm, ogrodów i dachów, upstrzony tu i ówdzie wieżycami minaretów i kopułami świątyn. Południowy skraj miasta okalał niski, zębaty łańcuch wzgórz, kończący się skalistym przylądkiem, zamykającym zatokę i osłaniającym kotwiczowisko przed południowo-zachodnimi wiatrami. Wzgórza na północy, pospołu z solidnym murem, chroniły Khorusun przed nawałnicami od strony ładu, jak też przed atakami koczowników. Osłonięta okolica portu sprawiała, że był on miejscem cichym i spokojnym, niezależnym od politycznych wzlotów i upadków oraz nie kończących się kłótni o wschodnie stepy.

Wsparta o burtę jachtu Olivia przyglądała się zamożnemu kupieckiemu grodowi z podziwem i powątpiewaniem. Nie była pewna, dlaczego jej mąż Khalid Abdal tu przybył. Wydawało się to z jego strony ryzykowną i niepotrzebną eskapadą... zwłaszcza teraz, gdy wciąż szemrano o wojnie. Zanosilo się, iż Vilayet zapłonie wkrótce jak kałuża rozlanego oleju do lamp. Olivii wydawało się jednak, że zna prawdziwy cel wyprawy męża. Stawka, o którą chodziło, i towarzyszące jej niebezpieczeństwa sprawiały, że i kołatało jej niespokojnie pod bujnymi, opiętymi jedwabiem piersiami. Wręcz bała się mieć rację.

Było jednak lepiej wypłynąć razem z mężem, niż czekać w domu bez towarzystwa mężczyzny, w stanie nieustannego, daremnego napięcia. Khalid próbował ją zrazu odwieść od tego postanowienia. Tłumaczył jej, że nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia ze strony piratów lub nadchodzącej wojny. Na to wspomnienie zmysłowe wargi Olivii wygięły się w ironicznym uśmiechu. Zupełnie jakby miała się czegokolwiek obawiać ze strony piratów!

Morska podróż przywoływała wspomnienia dźwięków, zapachów i błękitnego spokoju dawnych dni. Usłyszała, jak rozmawiający z kapitanem mąż narzeka głośno na piratów z Djafur. Wiedziała, że Khalid kłamie, skarżąc się na obowiązkowe, nałożone niedawno na kupców taryfy. W naturze Khalida leżało nie uzalenie się, lecz działanie. W khorusuńskim porcie zakotwiczone wieczorem, a już o świcie jej mąż popłynął łodzią na brzeg, by, jak twierdził, opłacić ochronę. Olivia podejrzewała jednak, że zamierzał zapłacić za coś zupełnie innego. Za jakąś krwawą robotę...

W świetle świtu ujrzała piracką galerę. Zakotwiczyła po drugiej stronie portu, z dala od innych statków, jak warujący szary wilk, obserwujący stado owiec. Na dumnie powiewającej pirackiej fladze czaszka widniała na szkarłatnym, nie zaś czarnym tle – była to nowa, bezwstydną bandera dopiero co powstałego nad Vilayet państewka. Olivia zastanawiała się, kto jest kapitanem galery. Na pewno ktoś, kto mógł przekazać wiadomość Conanowi.

Niedługo potem do burty przybiła łódź handlarza warzywami. Wystarczyła sztuka złota dla sternika i Olivia znalazła się w szalupie płynącej na drugą stronę portu.

Kobieta rozwinęła fałdy swej jedwabnej sukni i obszernej opończy, dbając, by chronić przed palącym słońcem obnażone, śnieżnobiałe ręce i szyję. Nie była już przecież ogorzałą piracką dziewczką... Zamyślona zanurzyła dłoń w chłodnych falach, odbijających się od dziobu łodzi. Skuleni wioślarze w wyświechtanych koszulach i turbanach nie rozglądali się na boki, a sternik na rufie nie ośmielał się gapić na nią zbyt otwarcie. Wyglądał raczej na zatroskanego zbliżającym się celem podróży.

Z pokładu pirackiego statku nikt nie okrzyknął szalupy. Większość załogi łajdaczyła się na brzegu, bez wątpienia świętując niedawne zawinięcie do portu. Wioślarze wciągnęli wiosła. Szalupa niepostrzeżenie przybiła do statku od strony rufy. Olivia podniosła się z ławki i z niezwykłą jak na damę zręcznością schwyciła zwieszającą się linę. Obejrawszy się na sternika, wyjęła zza stanika jeszcze jedną sztukę złota i rzuciła mu ją, jeszcze ciepłą.

– Zaczekaj, by odwieźć mnie z powrotem, a dostaniesz jeszcze pięć takich – powiedziała. Sternik pokiwał głową z rozdziawionymi ustami, nie mając pojęcia, co mogło opętać tę kobietę, by samotnie wchodzić na piracki okręt. Olivia

zrzuciła opończę, zsunęła ze stóp pantofle, chwyciła linę w obydwie dłonie i na bosaka wspięła się na burtę okrętu. Gdy przelazła przez nadburcie, od razu podeszło do niej dwóch piratów.

– I co, Ferdinaldzie? – zwróciła się do wyższego i lepiej uzbrojonego mężczyzny. – Zrobiono cię kapitanem, tak? Kto jest namiestnikiem Amry na pokładzie?

– Olivia... – chłonąc jej niepospolite piękno, Zingarańczyk skłonił ostrożnie głowę i gestem ponaglił pomocnika, który stał z szeroko otwartymi ustami. Kobieta ruszyła za nim, a Ferdinald zamykał pochod. Gdy majtek załomotał w drzwi kajuty, te otworzyły się, stanął w nich na poły ubrany Conan we własnej osobie. Miał na sobie bryczesy i rozpiętą jedwabną koszulę. Najwyraźniej szykował się właśnie do wdziania butów.

Był ogorzały i groźny jak zawsze. Olbrzymia brązowa pierś wzdymała się pod koszulą, każąc Olivii zastanawiać się nad rozmiarami bijącego w niej serca. Jej własne zakołatało gwałtownie, gdy przesunął po niej wzrokiem.

– Olivia? Dziewczyno, to naprawdę ty?! – cisnął buty na bok, podszedł do niej, położył wielkie dłonie na jej ramionach i zaczął przegarniać włosy. – Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Wejdz, porozmawiamy – wprowadził ją do środka i zamknął za sobą. Kajuta o niskim sklepieniu była urządzona z tanią elegancją. Wpadające przez okrągłe okna, odbite od morza światło miało zielonkawy odcień. Wystrój nosił męski, surowy charakter.

– Siadaj na łożu! Jest zbyt wystawne jak na mój gust. Zostało zabrane z rezydencji turańskiego namiestnika w Subaraku. Musieliśmy zerwać deski pokładu, żeby je tu umieścić! – Stuknął pięścią w niskie drewniane sklepienie. – Może napijesz się trochę wina? Mamy kothyjskie, rzadki rocznik, pochodzące ze statku kupieckiego z Akifu – uśmiechając się promiennie, wyjął dwa złote puchary i postawił je na stole. – Z reguły zgadzamy się przyjmować od wpływających w morze kapitanów część towarów zamiast złota. To rozsądna polityka.

Uśmiechnął się ponownie, wzniosł kielich do ust i osuszył go paroma haustami.

– Najwyraźniej dobrze ci się powodzi od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Olivia upiła łyżeczek wina, równocześnie gładząc ornament pokrywający oparcie łoża, wypolerowany tak, że przypominał w dotyku aksamit.

Wychyliwszy wino, Conan cisnął pusty kielich na łóżko.

– Kiedy byłaś ze mną, gryźliśmy same chrząstki, ani razu nie mając w ustach polędwicy, ale taki zawsze był los piratów – popatrzysz na nią, wzruszył ramionami, co stanowiło zawsze godne uwagi widowisko, zważywszy na obwód jego barów, i beztrąsko zaczął bawić się pasemkami jej włosów. – W każdym razie z tego, co słyszałem, nieźle się urządziłaś. Jak sądzę, jesteś bezpieczniejsza wśród waszych dworskich piratów niż tych, którzy krążą po morzu – drugą dłonią pogładził ją po policzku i uniósł jej podbródek, tak by na niego patrzyła – A mimo to... zjawiałaś się tutaj...

– Zjawiłam się – westchnęła, rozluźniając się nieco pod jego dotykiem. Conan przysunął się szybko i zaczął wyciskać pocałunki na jej szyi, policzkach i wargach. Wzburzony, przygarnął ją gwałtownie.. Olivia czuła, że traci władzę nad sobą, że topnieje, ulegając mu tak jak dawniej. Jej oddech stał się płytki i przyśpieszony. Jęcząc, zwinęła się w jego objęciach. Tym razem nie z namiętności, lecz by zapanować nad sobą i Cymmerianinem. Zdyszana, odepchnęła go od siebie i odwróciła głowę.

– Nie, przestań! Nie mogę, nie teraz! Jeszcze nie...

– Nie? – wymamrotał zdezorientowany Conan. – To może później... – Popatrzył na nią, stropiony, po czym roześmiał się swobodnie. – Powiedz mi, co w takim razie cię do mnie sprowadza, jeśli nie nawrót dawnej namiętności?

– Och, drobiazg, naprawdę – odsunęła się od niego, poprawiła włosy i dopiero wówczas zdobyła się na uśmiech. – Podróż handlowa z moim mężem i wszystkie wspomnienia życia na morzu. Zobaczyłam twój okręt z drugiej strony zatoki...

– Też widziałem statek Khalida Abdala, chociaż nie miałem pojęcia, że jesteś na pokładzie. – Conan położył na jej ramieniu ciężką dłoń i zaraz ją zdjął. – Chcesz mi powiedzieć, Olivio, że nie boisz się, że ukradnę cię twojemu szlachetnemu mężowi i nigdy nie zwrócę? Czy też że moi ludzie mogą zabrać cię do mnie?

– Do Djafur, stolicy twojego państewka, o to ci chodzi? – Olivia potrząsnęła głową z umiarkowanym rozbawieniem. – Nie, Conanie, znam cię wystarczająco dobrze, by nie bać się ciebie za bardzo, a twojej załogi lękam się jeszcze

mniej, ponieważ wiem, jaki wielki oni czują przed tobą respekt.

– W takim razie dlaczego tu przyplłynęłaś? Wybłągać przywileje handlowe dla męża?

– Nie – zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. – Khalid sam potrafi zajmować się swoimi sprawami. I wieloma innymi oprócz nich – poprawiła jedwabną tkaninę stanika, który przekrzywił się podczas szamotaniny. – Jak się pewnie domyślasz, jesteś tematem nieustannych rozmów na dworze. Powiadają, że w nadchodzącej wojnie opowiesz się po stronie Hyrkanii. Czy jednak prawdę leży w twoim interesie, by Hyrkańczycy rządili Vilayet? Ostatecznie to mocarstwo jest położone najbliżej twoich wysp.

Spojrząwszy na nią z nowym szacunkiem, Conan zaśmiał z głębi piersi.

– Na aghrapurskim dworze mówią wiele słusznych rzeczy, dają słowo. Wiedz, że nie jestem niewolnikiem Hyrkanii, ale zamierzam szczuć na siebie obydwie strony...

– By zwiększyć własne zyski, zgadza się? – Olivia uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Domyślałam się tego. Piraci nienawidzą Yildiza, lecz ty byłeś jego oficerem i służyłeś mu w inny sposób. Nie zaślepią cię wrogość do Turanu.

– Tego mi nikt nie zarzuci. Ani nienawiści do tego starego, lubieżnego głupca Yildiza. Uratowałem kiedyś jego ulubioną żonę i przed szalonymi wyznawcami bogapajaka... Oddałem mu też inne przysługi – potrząsnął posępnie głową. – Gdyby szlachta i eunuchowie na jego dworze byli mniej wrogo nastawieni do cudzoziemców pozbawionych wysokiego urodzenia i talentu do intryg, pewnie byłbym teraz głównodowodzącym armii Yildiza.

– Może się zdziwisz, ale nie wszystko, co robi cesarski dwór, jest konsekwentne. Na przykład, nie zamierza się zmiażdżyć Czerwonego Bractwa, nawet w obecnej sytuacji.

– Widzę w tym rękę twoich przyjaciół na dworze, wstawiających się za mną. Podobnie jak twoją...

Olivia nie odpowiedziała.

– Dwór będzie ci jeszcze bardziej przychylny, jeśli podejmiesz się wesprzeć Turan w nadchodzącej wojnie.

– Aha! Nareszcie wiem, o co chodzi, Olivio! – Conan pokiwał głową. – Podczas gdy twój mąż robi interesy na brzegu, ty załatwiasz je na redzie. Pirackiemu dworowi w Djafur przydałby się taki negocjator jak ty! – z zachwytem klepnął się w udo. – Ostrzegam cię jednak, że nie będę turańskim popychadłem, hyrkańskim zresztą również. Poza tym powziąłem poważne zobowiązania, których jako suwerenny morski władca nie mogę nie wypełnić.

– O ile cię znam, kapitanie Amro, nie zaangażowałeś się w ten układ bez reszty. – Olivia popatrzyła na niego spod spuszczonej powiek. – Na pewno te przysięgi i porozumienia pozostawiają ci boczne furtki. Ja też nie wymagam od ciebie ostatecznych gwarancji.

– Chodzi ci o to, że jedna z frakcji na dworze chce się upewnić, że żadna ze stron nie odniesie całkowitego zwycięstwa – potarł dłonią podbródek. – Dworzanie od zawsze najchętniej podtrzymują zastany stan rzeczy. Hmm... nie byłbym zbyt zdziwiony, gdyby chodziło tu o rywalizację między Yildizem i jego niesfornym synem, Yezdigerdem.

– Najlepiej nie wiedzieć zbyt wiele o knowaniach możliwych tego świata – rzekła Olivia. – Wolę bezpieczną ignorancję.

– Masz zupełną rację. O ile cię dobrze zrozumiałem, dobrze, zgadzam się zachować wstrzeźliwość we wspieraniu nieprzyjaciół twojego kraju. Będę dążył do zwycięstwa Hyrkanii, lecz gdyby do niego doszło, nie posunę się dalej niż do wypełnienia moich zobowiązań. Wiem, że hyrkańskiej tyranii należy obawiać się tak samo jak każdej innej.

– Dobrze – powiedziała Olivia, ściskając rękę Conana na znak zgody. – Przekażę to moim przyjaciołom na dworze. W zamian mam pewną informację, która może ci się przydać...

– Nie zechcesz przypieczętować naszej umowy pocałunkiem?

Za słowami poszedł czyn. Tym razem Conan spotkał się jedynie z symbolicznym oporem. Oboje byli przecież dawnymi, znającymi się na wylot kochankami. Olivia zareagowała na jego pieszczoty równie gorliwie i szybko jak niegdyś. Tylko sytuacja wyglądała nieco inaczej. Kapitanowi Conanowi powodziło się obecnie doskonale: był dowódcą własnej floty, praktycznie królem. Do przeszłości należały ciasne, nędzne kwatery, w których się gnieździli, wstyd i nieustanne zagrożenie w małych, przeciekających pirackich łodziach, pełnych nieobliczalnych złoczyńców. Amra wybudował własny zamek... Zapewne dla ochrony ludzi i rzeczy,

które były mu najdroższe. Jego rezydencja na pewno była bajecznie wystawna i nieprzyzwoicie malownicza. Olivia niemal wyobraziła sobie, że jako ukochana żona Amry Króla Morza zajmuje zesłany jej przez Przeznaczenie tron Królowej Piratów Vilayet.

Żywość i urok tej wizji sprawiła, że zatraciła się w namiętność jednak kłopotliwa rzeczywistość nie dała zapomnieć o sobie. Gdy fala ekstazy opadała, wysunęła się z objęć swojego kochanka, by móc wygodniej szeptać mu do ucha.

– Conanie, muszę ci o czymś powiedzieć. Zapewne nie jestem jedynym turańskim agentem w Khorusunie. Mój mąż z samego rana popłynął dziś na brzeg. Nie chcę, byś ty czy któryś z twoich ludzi zrobił mu krzywdę, podejrzewam jednak, że zabrał się do wypełniania planu...

W tym samym momencie zachrobotała zasuwka drzwi kajuty. Wejście stanęło otworem i wpadła przez nie szeroka smuga światła. Do środka wkroczyła wysoka i szczupła postać. Oświetlonymi od tyłu przybyszem była kobieta. Zamknawszy drzwi, ściągnęła z atletycznego ciała wilgotną szatę i pozwoliła jej opaść na podłogę.

– Zamiast wiosłować do brzegu, popływałam sobie – oznajmił ściszony, gardłowy głos. – Miło było, bo rekiny nie pokazują się z rana. Cieszę się, że jeszcze tu jesteś, Conanie... – kobieta zatrzymała się w pół kroku, gdy jej oczy przywykły do ciemności. – Widzę jednak, że masz gościa!

– Santhindrisso, to ty? – zapytała Olivia siadając raptownie. – Pamiętam cię: piracka ladacznica, znana na całym Vilayet, najkrwawsza suka na południe od Sultanapuru! Tobie także udało się zdobyć łóżko wspaniałego Amry?

Olivia jednym susem rzuciła się na przywódczynię piratów i wczepiła w jej mokre włosy. Roznegliżowana, pozbawiona broni Stygijka nie pozostała beczynna. Obydwie kobiety odpowiadały sobie wzrostem i budową ciała, lecz wkrótce Olivia przejęła inicjatywę. Prychając i miotając przekleństwa, zasypała przeciwniczkę gradem ciosów, powaliła ją na posadzkę i zaczęła wściekle kopać i deptać bosymi stopami.

– Olivio! – wydusił z siebie Conan, chwytając z tyłu rozszalałą kobietę. – Opamiętaj się, to nasza wspólna kajuta!

Miotająca dzikie spojrzenia Ophiryjka wyrwała się mu jednak. Otworzyła na oścież drzwi i wypadła na pokład, poprawiając po drodze ubranie. Równocześnie Santhindrissa podbiegła do ściany i zdjęła z niej długą, zakrzywioną szablę. Gdy z lśniąca stała w dłoni, całkowicie naga ruszyła do wyjścia, Conan powstrzymał ją, przytrzymując za ramiona.

– Niech odejdzie w spokoju – zaczął przekonywać piratkę. – Przypłynęła tu, by ze mną pertraktować. Zazdrość zawsze odbierała jej rozum... Na długo przed tobą była zazdrosna o Philiope.

Nie zważając na dobre chęci Conana, Santhindrissa obróciła się ku niemu i dała upust kobiecej furii. Potężnemu Cymmerianinowi w ciasnej kajucie z trudem przychodziło umykać przed szukającym jego ciała ostrzem. W końcu udało się mu wytrącić oręż z dłoni Stygijki i powalić ją na materac. Przy akompaniamencie stłumionych odgłosów uderzeń, zduszonych okrzyków i plusku wioseł spieszenie odpływającej szalupy, obydwoje zapamiętane walczyli na łóżu.

Zaskrzypiał krządek na maszcie. Klnący majtkowie ciągnęli z całych sił liny, stawiając żagiel „Przeznaczenia”. Świeża bryza, która powiała z południa, załopotowała banderą z trupią czaszką i sprawiła, że żagiel szybko wypełnił się powietrzem. Pokład zaczął kołysać się w innym rytmie. Okręt ruszył naprzód, nie wymagając dodatkowego napędu. Wiosła wciągnięto na pokład i złożono przy ławach.

– Widzisz?! – powiedział pierwszy oficer Jalaf Shah do sternika Ronda. – Mówiłem twoim zadżumionym osłom, że gdy statek znajdzie się z dala od lądu, południowa bryza uwolni ich od harówki. Dlatego właśnie Ferdinałd wydał taki rozkaz, jaki ci przekazałem. Nie pojmuję, dlaczego szemrzą i krzywią się na dobre rozkazy kapitana

– Istotnie, to nie do pojęcia – odparł Rondo, szczerząc w uśmiechu. – Teraz, gdy mamy trochę wolnego czasu, trzeba wybrać któregoś z nich i przykładowie ukarać. Co myślisz o tym psie Efrahimie? Brać go, chłopcy, i przywiązać do masztu!

Wyjątkowo chętni do wypełnienia rozkazu piraci wywlekli szamoczącego się i kopiącego na oślep Shemitę z wiosłarskiej ławy. Wyciągnawszy z za pasa rzemień, Rondo zręcznie przywiązał nadgarstki malkontenta do masztu, po czym pomknął z powrotem do swej ławy sternika na rufie. Pogrzebawszy pod nią, wrócił z pejcem z pięcioma zakończonymi kolcami rzemieniami, znanym już powszechnie jako „ręka

Tarima”.

– Będziesz miał za swoje, buntowniczy łotrze! – wykrzyknął Rondo, potrząsając pejcem na oczach przyglądającego się temu z aprobatą Jalafa Shaha.

– Wstrzymaj się, sterniku!

Za plecami Ronda kapitan Ferdinald zbiegł z pokładu sterowego. Za nim pojawiła się olbrzymia postać Amry, przywódcy Czerwonego Bractwa i samozwańczego pana Djafur.

– Jakiej przewiny dopuścił się ten człowiek? – zwrócił Ferdinald do Jalafa Shaha. – Podniósł broń przeciw któremu z oficerów?

– Nie, kapitanie. Podburzał do niewypełniania poleceń podczas wypływania z portu. – Jalaf Shah wyciągnął rękę w stronę brzegu, który zamienił się w rozmytą cienką kreskę urwisk i obłoków.

– W czym więc kłopot? Wiosłowanie jest już niepotrzebne.

– Uchyłał się od roboty i namawiał do tego innych. – Jalaf Shah wzruszył ramionami. – Cała załoga zaczęła marudzić, dlatego postanowiliśmy ukarać go dla przykładu.

– Zatem to prowodyr – powiedział Ferdinald i odwrócił się.

– Poczekajcie! – rzekł Conan, który do tej chwili trzymał się na uboczu. – Ferdinaldzie, ty jesteś kapitanem na pokładzie „Przeznaczenia”, lecz ja nie żywię miłości do batów, Efrahim zaś pływał kiedyś pode mną. To porządny morski zabijaka, wierny Amrze i Bractwu... – Conan powiódł wzrokiem po posępnych twarzach wioślarzy – ...tak samo jak reszta załogi – zakończył łaskawie.

– Cóż, wobec tego może lepiej zrezygnować z kary – powiedział Ferdinald, obracając się do przywiązanego do masztu człowieka. – Ostrzeżenie powinno wystarczyć...

– Muszę ulec twojej woli, panie... – zwrócił się Rondo do Amry, uśmiechając w zarozumiały, bezczelny sposób. Opuścił i zwinął pięcioramienny bicz, po czym odwrócił do Ferdinalda, rozkładając szeroko ręce. – Przyznaję, że jako sternikowi trudno mi zagonić tych obwiesiów do roboty tylko pięściami i krzykiem. Na pirackim okręcie potrzeba takiej samej dyscypliny jak na kupieckiej czy cesarskiej galerze. Pierwszy raz słyszę, że cenisz sobie wstrzemięźliwość w używaniu batów, panie – ruszył w stronę Conana i wyciągnął pejcz przed siebie. – Skoro jednak chcesz zakazać ich stosowania, proszę bardzo.

Coś w zachowaniu sternika nakazało Cymmerianinowi mieć się na baczności. Gdy Rondo wyciągnął przed siebie rękę, Conan dostrzegł sztylet ukryty w zwojach bicza. Gdy ostry szpic śmignął ku jego brzuchowi, ciosem na odlew odtracił mordercę od siebie i tym samym ruchem chwycił go za barki, starając się zacisnąć palce na grubej szyi Ronda. Równocześnie wszczęło się zamieszanie. Ze wszystkich stron rzucił się na nich tłum ludzi.

Conan poczuł zaciskające się na nim, ciągnące go w tył ręce. Uśmiechnięty napastnik wywinął się z jego uchwytu. Marynarze na rei nie pozostali bezczynni. Wydymając się leniwie, pasiasty żagiel opadł w dół. Przytłoczony niezliczonymi warstwami płótna Conan padł na kolana, szamocząc się z tłumem kopiących i okładających go pięściami piratów.

W ciągu paru chwil skrzepowano Cymmerianina linami, naciągany przez tuzin węzlastych dłoni pokrytych odciskami od wiosł. Ci, którzy pojмали Conana, powlekli go pod maszt. Efrahima skopano i pobito do nieprzytomności, po czym wrzucono pod pokład. Żaden z pozostałych piratów nie odważył się podzielić jego losu. Paradujący przed gorejącymi żądzą zemsty piratami, Jalaf Shah zwrócił się do Conana:

– Bracie Amro, szanujemy cię i zrobiliśmy, co w naszej mocy, by oszczędzić ci tego upokorzenia przez szybki cios noża, lecz ty jak zwykle okazałeś się uparty. Nie mamy wyboru, jak ogłosić prawowity bunt i osądzić cię według praw Czerwonego Bractwa.

Podczas gdy przemawiał pierwszy oficer, Rondo przyniósł miedziany bęben, którego używał jako sternik do wybijania rytmu dla wioślarzy. Zasiadł przy nim czarnoskóry Juwala, znawca pirackiego prawa i dziejów. Uciszył gwizdy oraz krzyki swoich kompanów waleniem w bęben ręką i powiedział:

– Ogłosiwszy bunt zgodnie z prawami Czerwonego Bractwa, załoga domaga się sformułowania oskarżenia, osądzenia i wydania wyroku. Jakie są zarzuty wobec byłego dowódcy?

Jalaf Shah poprawił turban i stanął przed masztem.

– Oskarżamy pirata Amrę o pięć zbrodni – wyciągnął siebie otwartą dłoń i zaczął zaginać palce – to jest: arogancję, legalność, bezprawne morderstwo,

konszachty z wrogami i zwalczanie wolnego piractwa.

– Oskarżony może przyznać się lub nie do każdego z przedstawionych zarzutów, co sąd weźmie pod rozwagę – słowom Juwali towarzyszyło uderzenie w bęben. – Czy oskarżony przyznaje się do zbrodni – arogancji?

Przywiązany, do masztu Conan przetoczył kilkakrotnie głową z boku na bok, by poluzować sznury ściskające jego gardło.

– Czy przez arogancję rozumiecie dumę i pogardę dla innych, psy? Nie, zgrajo ujadających, pokracznych hienich szczeniąt?! Nigdy nie wywyższałem się nad innych piratów ani nie patrzyłem z góry na najmniejszego tragarza portowego! Ktokolwiek temu zaprzeczy, jest zawszonym, zrobaczywiałym szczurojadem!

Jalaf Shah przyjął jego stwierdzenie uprzejmym skinieniem głowy.

– Zaprzeczasz więc, że gromadziłeś bogactwa i kobiety oraz ogłosiłeś się panem wszystkich piratów, by pertraktować z obcymi mocarstwami, i zbudowałeś zamek na wzgórzu niedaleko Djafur?

– Ten zamek to mój dar dla Bractwa, a nie kaprys! – prychnął Conan, szarpiąc się w więzach. – Myślicie, że zabiorę go ze sobą do grobu? Moim jedynym celem była budowa potęgi Djafur i waszej, łotry, zapewnienie nam wszystkim łatwego bogactwa!

– Ma czelność mówić, co dla nas najlepsze! – zawołał Jalaf Shah.

– Oto arogancja, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem – poparł go Rondo.

– Zatem oskarżony przyznaje się do winy – rękojeść sztyletu Juwali zadudniła o bęben. – Lecz niewielki to dyshonor dla pirata. Czy oskarżony przyznaje się do zarzutu legalności?

– O co ci chodzi? – rzucił Conan. – O wiele rzeczy mnie w życiu obwiniano, ale o coś takiego jeszcze nigdy.

Zdradziecki Rondo przysunął się do Jalafa Shaha.

– Przez legalność rozumiemy nałożenie uciążliwych praw, takich jak zachowywanie nocnego spokoju w Djafur czy zakaz piractwa przy wybrzeżu.

– Wszawę psy, w swojej tępocie gotowi jesteście zdobywać miedziaki na rum, rabując i mordując mieszkańców Djafur oraz naszych wojennych sprzymierzeńców. Dla dobra Bractwa ktoś musiał skrócić wam cugle!

– Przyznanie się do winy zostało przyjęte! – kolejne uderzenie w bęben. – Co do trzeciego zarzutu... – Juwala urwał. – Powtórz, o co chodziło, Jalafie!

– Bezprawne morderstwo. Chodzi o zbrodnie na Diccolu, naszym ukochanym bracie – piracie!

– Niech Crom ześle na was zarazę! Niech ogary Erlika szarpia wasze wnętrzności, niech Saddrah o ośmiu ramionach ostrzy swe noże na waszych kościach! – unieruchomiony linami Conan daremnie szarpał się i miotał przekleństwa. Nie widział na poznaczonych bliznach twarzach zarośniętych piratów ani śladu wierności czy solidarności. Gdyby tylko dostrzegł wcześniej, jak gotujący bunt oficerowie Ferdinalda podburzają przeciwko niemu załogę! Gdyby tylko Santhindrissa nie odpłynęła obrażona na galerę Brylith! Gdyby tylko mógł zacisnąć dłoń na swoim kordzie, wbitym w pokład o kilka kroków od niego! – Niech tysiąc skorpionów żądli twój kłamliwy język, Jalafie Shahu! – grzmiał Cymmerianin. – Jak śmiesz obarczać mnie winą za śmierć Diccola?! Był jednym z moich najdzielniejszych piratów, chociaż to prawda, że czasami zamieniał się w natrętą osę! Łupił jednak przy moim boku tak, że byłem z niego dumny! Razem obłuskaliśmy do czysta pięć portów i dwakroć tyle statków! Ja miałem go zabić, skoro gotów jestem przewrócić Djafur do góry nogami, by znaleźć jego mordercę?!

– To tylko chytry wybieg, nie ma wątpliwości – powiedział szyderczo Rondo. – Jeszcze jedna wymówka, by zastraszyć piracką brać. Diccolo zginął z dala od wybrzeża, przed bramą twojego zamku. Czyje to dzieło, jeśli nie twoich sowicie opłacanych strażników?

– Hańba! – dorzucił Jalaf Shah. – Bezprawnie zamordowałeś Diccola, ponieważ był dla ciebie utrapieniem. Ten szlachetny pirat nigdy nie pogodziłby się z twoimi tyrańskimi kaprysami, dlatego musiałeś go uciszyć.

– Teraz rozumiem! – Conan niespodziewanie uspokoił się i powiódł po swoich prześladowcach lodowatym, złowróbnym spojrzeniem niebieskich oczu. – To wam, buntownikom, zależało, by uciszyć Diccola! Na pewno zdążył do zamku, by mnie ostrzec o waszej zdradzie, lecz wy pod osłoną nocy pozbawiliście go życia, podstępni szubrawcy! Wasze słowa to stek kłamstw, jak każde rzucane na mnie oszczerstwo! – napiął więzy kolejnym szarpnięciem. – Ty, Jalafie Shahu, byłeś zausznikiem Knulfa! Domyślam się, że zamarzyło ci się zająć moje miejsce, tak jak ja zająłem jego. A mioudusty Rondo, więzienny szpicel, to szpieg i morderca,

opłacany przez Turańczyków! Resztę was wybrano ze względu na urazy i niechęć do mnie, jeśli jednak macie choć trochę rozumu, stańcie po mojej stronie i wybierzcie moją, nie ich tyranię. Cały ten proces to błazenada!

– Winny! – orzekł głośno Juwala, waląc w bęben ręką nożem. – Jalafie Shahu, czy musimy pytać oskarżonego, czy przyznaje się do pozostałych dwóch zarzutów?

– Nie! – warknął pierwszy oficer. – Lecz dodaj jeszcze szósty: lekceważenie wysokiego sądu Czerwonego Bractwa!

– Wystarczy – powiedział samozwańczy sędzia. – Sześć ciężkich zarzutów. Przejdźmy do wyroku. Wszyscy, którzy zgadzają się z wyrokiem śmierci dla Amry, niech podniosą ręce...

W tym momencie nastąpiła chwilowa zwłoka. Poturbowany Efrahim wylazł spod pokładu i zaczął szamotać się z przytrzymującymi Ferdinalda piratami. Korzystając z chwilowego zamieszania, Zingarańczyk zdołał wyrwać się swoim prześladowcom wyciągając jednemu z nich szablę zza pasa. Obrócił się na pięcie i wbił ostrze w pierś Ronda. Sternik chwycił za sterzącą z piersi rękę, zatoczył się i wypadł za burtę galery, co wywołało niezmierną konsternację zbuntowanych piratów.

Tymczasem Conan zebrał swe godne tura rezerwy siły. Z trzaskiem oderwał się od masztu i wlokąc za sobą kilkunastu piratów runął naprzód. Zdołał trafić pięścią w zarośniętą brodę Jalaf a Shaha, który oszołomiony patrzył na śmierć swojego współnika. Chwilę później piraci ponownie unieruchomili Conana i powlekli go do masztu.

– Uderzył naszego nowego kapitana! Ma za nic dyscyplinę! – krzyčeli. – Raz zabić tego szubienicznika to za mało! Wypruć mu najpierw flaki, a potem przeciągnąć pod kilem, żeby rekiny miały uciechę! Kapitanie, jakie jeszcze tortury przychodzą ci do głowy?

Jalaf Shah, który runął jak szlachtowany wół, nie odpowiadał. Gdy piraci dźwignęli go z pokładu, okazało się, że ma złamaną szczękę. Co więcej, krew sączyła się mu z jednego ucha, a głowa zwisała pod nienaturalnym kątem.

Widząc to, powstrzymujący Conana piraci stracili zapał. Niektórzy nawet natychmiast pierzchli, byle dalej od niego. Pozostali szybko poszli ich śladem, porzucając barbarzyńcę na środku pokładu. Cymmerianin błyskawicznie strząsnął z siebie więzy. Gdy podniósłszy kord, ruszył w stronę Ferdinalda, piraci, którzy bili się z Zingarańczykiem, również umknęli. Obydwaj kapitanowie stanęli w kręgu buntowników, przyglądających się im w bezruchu. Tych kilku, którzy jeszcze mieli w rękach kordy, upuściło je zaraz na pokład.

– No, psy! – zawołał Conan. – Teraz widzicie, jaką głupotą jest bunt! Wasi prowodyrzy nie żyją! Juwala! Resztę rejsu spędzisz przywiązany do masztu. Suchy chleb i popłuczyny sprawią, że nabierzesz rozumu. A wam może wystarczy odnowienie tu i teraz przysięgi na wierność Amrze i dzielnemu Ferdinaldowi! – Wzniósł wysoko kord, chwyciwszy go jedną ręką za zakrzywione ostrze. – Precz z biadoleniem, obwiesie! Przysięgajcie na rękę!

Przez okrzyki, które rozległy się po jego słowach, przebijała większa szczerłość i rozpacz, niż kiedykolwiek dane było Conanowi słyszeć. Cymmerianin powiódł spojrzeniem po twarzach załogi, znajdując jedynie bezgraniczne poparcie. Ferdinald tymczasem wyznaczył dwóch ludzi do wyrzucenia za burtę trupa Jalafa Shaha.

– Dość tego! – zagrzemiał Conan. – Wciągać żagiel na maszt i ruszamy do domu! Wiatr ciągle nam sprzyja! – odwrócił się do Ferdinalda i powiedział ponurym szeptem: – Zanim dopłyniemy do Djafur, musimy dowiedzieć się więcej o śmierci Diccola!

## XII

### NIEBEZPIECZNI SPRZYMIERZENCY

Budowle Attar Karapesk – spiczaste namioty, płócienne i futrzane, pokryte freskami pawilony oraz drewniane baraki, rozciągały się aż po horyzont Oddziały jeźdźców w futrzanych czapach pędziły szerokimi, pokrytymi błotem alejami, mijając trzeszczące fury, ciągnięte przez konie, woły i strusie. Niedaleko, na okalających miasto trawiastych łąkach pasły się stada włochatych jaków i dzikich stepowych kuców. Miasto w ostatnim okresie rozrosło się niebywale.

To, że Attar Karapesk tworzyły prawie wyłącznie namioty uszyte ze skór koni i jaków, rozciągniętych na drewnianych rusztowaniach, nie ujmowało bynajmniej

miastu splendoru. Było ono stolicą wielkiego cesarstwa, łączącego mnóstwo ras i plemion. W pawilonach świątyni i na oświetlonych pochodniami bazarach rdzenni Hyrkańczycy o garbatych nosach targowali się i uprawiali hazard z wysokimi, chudymi sagariańskimi najemnikami, wąsatymi, skośnookimi mandarynami z Khitaju i przysadzystymi Zaporozżanami o płaskich obliczach. Z górnego biegu rzeki docierały do miasta łodzie i barki, zwożące pstrą zbieraninę wędrowców z wszystkich krain na wschód i południe od morza Vilayet.

Tego roku Attar Karapesk stała się również portem morskim. Przygotowania do wojny ściągnęły hyrkańskie plemiona na zachodnie wybrzeże Vilayet. Zjednoczone klany rozbiły swoje namioty i pawilony pośród niskich wzgórz, nad brzegami rzeki uchodzącej do śródziemnego morza.

Nieco dalej, w głębi lądu, gdzie rzeczne odnogi owijały się wokół zalesionych wysepek, wrzały przygotowania do wojny. Na brzegach dziesiątków żeglownych strumieni i rzecznych dopływów zbliżała się do końca budowa potężnej floty. Na mulistej plaży w pobliżu znajdował się już tuzin gotowych do wodowania nowych galer. Dla upamiętnienia tego wydarzenia ze stolicy przybył ze swoją świtą sam Antulla, ushikagan wszystkich hyrkańskich klanów. Wyglądał majestatycznie w obszytym futrem stroju jeździeckim, wysokiej, spiczastej futrzanej czapie i butach ze złotymi ostrogami. Po stoczni oprowadzał go sławny cudzoziemski czarnoksiężnik Crotalus.

– Drewno jest silne i giętkie – obcasy Antulli uderzały dźwięcznie w deski pokładu nowego trójrzędowca. – Wygląda na to, że twoja pomoc w hodowli drzew okazała się przydatna.

– Najtrudniejsze było wyhodowanie grubych, krzepkich belek na kile i tarany – czarnoksiężnik w białej szacie uśmiechnął się, uprzejmie kiwając wygoloną głową i wskazał górujący nad nimi dziób statku zwieńczony rzeźbą, przedstawiającą głowę konika morskiego z błoniastymi uszami i rozwianą grzywą. – Zapoznanie kapłanów Erlika z moimi zaklęciami i zezwolenie im na przekazywanie tych nauk pomniejszonym czarownikom i akolitom pozwoliło na przyspieszyć wzrost kilku tysięcy drzew. – Crotalus poprowadził ushikagana dalej, wskazując miejsce, gdzie masywna, łukowata belka dziobnicy wystawała nad jasne deski pokładu. – Jak widzisz, panie, poddane magicznym zabiegom drewno nabiera czerwonego odcienia – powiedział, przyklękając i gładząc dłonią gładko ociosane belki. – Czar ten wymaga użycia krwi, na szczęście twoje klany zatrzymały dość jeńców po wojnie z Zaporozżanami, by wystarczyło ich do naszych celów.

– Dobrze. – Antulla skinął z powagą głową, gładząc czerwono zabarwiony maszt. – Kilka miesięcy temu jechałem przez puszcę. Widziałem, jak konali, przywiązani do kołków u korzeni drzew – potrząsnął głową. – Trochę żal było patrzeć, jak marnuje się tyłu ludzi, którzy mogliby służyć jako wioślarze, ale przecież tak czy inaczej mnóstwo Hyrkańczyków odda życie w nadchodzącej wojnie.

– Nie ma wątpliwości, że w szlachetnej sprawie – odrzekł Crotalus, kiwając ze zrozumieniem głową. – Czy twoi wojownicy będą gotowi do zaokrętowania na czas, panie?

– Oddziały z końmi i żeglarze zbierają się w Attar Karapesk i kilkunastu innych portach wzdłuż wybrzeża. Zebrano dość zapasów i broni na szybką inwazję. Wiem, że pora roku robi się późna, dlatego chciałbym wiedzieć, czy możesz zagwarantować, że przeprawa okaże się wystarczająco szybka i łatwa, by nie zaszkodziła koniom?

Crotalus zdjął sakwę, którą nosił zawieszoną na ramieniu. Pod luźną tkaniną widać było trójkątny przedmiot – osławioną Harfę Dagona, którą czarnoksiężnik wydobyl z głębin północnego Vilayet. Gdy Crotalus trzymał ją pod pachą, przypominał wędrownego barda czy minstrela, jednak nie wyciągał jej z torby, nie chcąc, by srebrne struny wydały choć jeden dźwięk.

– Nie obawiaj się żywiołów, bez względu na porę roku – zapewnił Antullę. – Dzięki temu amuletowi i mojej wiedzy tajemnej mogę zapewnić twojej flocie przeprawę prosto na zachód w najszerszym miejscu Vilayet. Pozostaje nam zgromadzić okręty, a potem wymknąć się nieprzyjacielowi bądź go zniszczyć.

– Zamierzasz zatem popłynąć z nami? – Hyrkańczyk utkwiał przenikliwe spojrzenie w czarnych oczach maga, w których tliły się niepokojące ogniki. – Nie prosiłem o to wcześniej, zważywszy na wszystko, co dla nas zrobiłeś.

– Nie przepuszczę takiej okazji – oznajmił Crotalus z uśmiechem. – Powrót do żalosego kręgu zawistnych aghrapurskich dworzan w roli zdobywcy i zajęcie w tamtejszym pałacu miejsca przy twoim boku to zbyt kusząca perspektywa.

Powiedziawszy to, czarnoksiężnik z powrotem zawiesił torbę z harfą na



ramieniu i skinął na swojego gościa, by podążył za nim. Podeszli do umocowanego do burty szerokiego trapu na zawiasach, przeznaczanego do wysadzania oddziałów jazdy na turańskim wybrzeżu. Trap można było podnosić i opuszczać za pomocą łańcuchów, przytwierdzonych do masztu i karku drewnianego konia na dziobie.

– Nasi kapitanowie znajdują się już w drodze na swoje okręty – stwierdził Antulla, schodząc na nabrzeże. – Otrzymali rozkazy, iż flota ma zebrać się koło Przylądka Furii. Flota piracka dołączy do nas później na południe od wysp Aetolian.

– Aha, osławiony Amra i jego kompani – powiedział Crotalus, ruszając wielkimi krokami w stronę szop stojących w pewnej odległości od brzegu. – Czy można polegać na nich, że przybędą w należyтым porządku i nie zdradzą twoich zamiarów nieprzyjacielowi? – czarnoksiężnik rzucił hyrkańskiemu wodzowi zamyślane spojrzenie. – Czy nie lepiej byłoby zniszczyć ich od ręki, niż ryzykować, że uciekną po rozpoczęciu bitwy lub zwrócą się przeciwko nam w jej trakcie?

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Antulla zrównał się ze swoim doradcą i uśmiechnął się. – Istotnie, piraci to wątpliwi sprzymierzeńcy. Jednak nasz poseł, Adi Bukbul, jest przekonany, że Amra dochowa przynajmniej litery naszego porozumienia, a ja sam jestem pewien, że herszt piratów to nieustraszony wojownik.

– Z własnego doświadczenia wiem, że to podstępny, krwiożerczy łotr – stwierdził Crotalus tonem nie pozostawiającym najmniejszych wątpliwości.

– To również całkowita prawda – odparł ushikagan. – Pozostaje jednak pytanie: czy bez względu na dzielność Amry można mieć pewność, że jego kapitanowie i ich załogi będą walczyć uczciwie i nie pogwałcą obietnic swego wodza? – potrząsnął głową, nieco stropiony. – Osobiście obawiam się, że Adi Bukbul okazał się nieco zbyt szczodry. Lękam się dnia, w którym po naszym wielkim triumfie i objęciu panowania nad morzem Vilayet okaże się, że piraci, których siła również wzrosła, są większym cierniem w naszym boku niż teraz dla cesarstwa Turami.

– Nie przejmuj się, panie, przewidziałem twoje obawy – oświadczył Crotalus i z pewnym siebie uśmiechem wskazał jedną z szop. – Mam broń, dzięki której pozbedziemy się piratów, kiedy tylko ci szubrawcy spełnią swoje zadanie i stana się dla nas zawadą.

– Mamy już dość broni – powiedział Antulla. – Tarany, katapulty, łatwopalne ciecze, ostre jak brzytwa miecze i strzały. Ciekaw jestem, jaką nową okropność chcesz mi pokazać – ushikagan przystanął przed zamkniętymi drzwiami. – Czy to jakiś nowy owoc twoich nekromanckich praktyk?

– Piraci to wyjątkowy rodzaj istot ludzkich. – Crotalus nie śpieszył się z zaspokojeniem ciekawości gościa. – Nie są to zdyscyplinowani żołnierze czy wierni poddani. Ani to wojownicy, ani żeglarze, ani oracze. Czczą własnych bogów i żyją według własnych reguł. Ich przesady są o wiele silniejsze niż wiara w jakiegokolwiek boga – czarnoksiężnik uśmiechnął się. – Jestem gotów zniszczyć ich, kiedy przyjdzie na to pora, w sposób straszniejszy i bardziej doszczętny niż przy użyciu mieczy czy taranów. Pierwszą bronią, która mi do tego posłuży, jest to... – Crotalus wy dobył z torby na ramieniu lniane zawiniątko. Rozsupłał tkaninę i wyciągnął rękę przed siebie. Złowieszczy widok sprawił, że zahartowany wódz znieruchomiał w pół kroku i o mało nie cofnął się. Była to ludzka, czy też na poły ludzka, ohydna biała czaszka. Upstrzona była garbami, grzebieniami i kraterami pozostawionymi przez morskie żyjątka. Antulla zauważył natychmiast, że jeden z oczodołów jest zniekształcony, jednak stara rana wyglądała tak, jak gdyby wygoiła się za życia. Do kości przywarło kilka pąkli. Właśnie one przydawały czaszce niesamowitości. Nim Antulla zdążył cokolwiek powiedzieć, czarnoksiężnik zwinął czerep i schował go z powrotem do sakwy. – To potężny talizman – stwierdził z mocą Zembabwańczyk, otwierając drzwi szopy. – Urok, jaki można rzucić za jego pomocą, jest o wiele niebezpieczniejszy dla piratów niż dla uczciwych żeglarzy i żołnierzy. Wszelako jest to tylko niewielka cześć mojego arsenału. Wewnątrz ujrzysz więcej, panie.

Otworzywszy szeroko drzwi szopy, Crotalus wykonał zapraszający gest. W mroku pozbawionego okien wnętrza krzątały się, zaskoczone niespodziewanym potokiem światła... kobiety. Były i bosonogie pracownice, odziane jedynie w koszule z surowego materiału. Zerkając z szacunkiem na gości, pracowały przy szerokich warsztatach tkackich. Co chwila niespokojnie spoglądały w górę, na pogrążone w mroku sklepienie szopy.

Powiódłszy oczami za ich wzrokiem, Antulla ujrzał duże, blade wrzeciona, zwieszające się pod belkami stropu. Były to poczwarki gigantycznych, wielonogich

larw, długości i szerokości człowieka, wierzące się w cienkich, niemal przezroczystych kokonach. Z gruczołów przędnych poruszających się w tę i z powrotem wysuwały się długie pasma jedwabiu tkanego następnie na krosnach. Pod zręcznymi dłońmi robotnic jedwabne nici tworzyły cienką, przejrzystą tkaninę o srebrzystym odcieniu.

– To pospolite jedwabniki, powiększone jednak w jeszcze i większym stopniu niż zaczarowane drzewa! – domyślił się Antulla. – Twoja czarodziejska moc zaiste nie zna granic!

Crotalus skrzyżował na piersiach brązowe dłonie i skromnie skłonił głowę.

– Postępowanie jest takie samo w przypadku zwierząt, jak i roślin – nachylił się ku wodzowi i kontynuował poufnym tonem: – Potrzebne do tego zaklęcia krwawe ofiary składa się wcześniej, gdy tylko larwy się wylęgają, dlatego te zręczne tkaczki nie muszą się niczego obawiać.

– Tkanina jest przedniej jakości – orzekł wódz, przesuwając palcami po materiale. – Czy nie jest jednak zbyt cienka i delikatna na żagle?

– Można bez obawy użyć ją na żagle nawet największych statków, panie – zapewnił go Crotalus. – Lecz ja zamierzam wykorzystać ją inaczej. Do poruszania okrętów wojennych wystarczą konopne liny i płótno. Na tych krosnach tka się śmierć naszych nieprzyjaciół, lecz na razie wolałbym o tym teraz nie mówić – czarnoksiężnik uśmiechnął się. – Obawiam się, że nawet po tym, co do tej pory widziałeś, panie, uznałbyś moje plany za przechwałki lub brednie szaleńca. Zaręczam ci jednak, że w połączeniu z moimi zdolnościami ten nowy oręż przypieczętuje hyrkański tryumf.

– Do boju, ludzie z Czerwonego Bractwa! Zaciągajcie się, piraccy bracia! Ruszcie się, bowiem słońce wstaje nad wschodnimi wyspami! Zawitał nam dzień zmagania i chwały!

Conan stojący na dziobie wielkiego trójrzędowca „Bezlitosny” wyciągniętego do połowy na djafurską plażę, niestrudzenie powtarzał swoje wezwanie. Wokół gromadzili się piraci. W większości skacowani i niewyspani po nocnych uciechach, wylegli z niechętnymi pomrukami z tawern, zaułków i zamtuzów, poganiani przez swoich oficerów i bosmanów. Conan wiedział, że mętna godzina brzasku jest najlepszą porą na przemowę do pirackiej braci. Później morscy rozbójnicy nabraliby ducha i wykazaliby nieprzeciętną pomysłowość w wymyślaniu powodów, dla których nie powinni zgodzić się na to, co zamierzał im zaproponować.

– Nastał wielki dzień dla Djafur i Bractwa! – zawołał wielkim głosem Conan. – Tym razem czeka was nie kolejna piracka wyprawa. Usłyszcie wielką nowinę: wypowiedziano wojnę! – rozpostarł ręce w teatralnym geście, robiąc wszystko, by przykuć spojrzenia piratów. – Wojna oznacza starcie potężnych flot i armii oraz upadek mocarstw! A gdzie padają mocarstwa, tam płynie rzeka łupów, skarbów i kosztowności! Bracia piraci, zzywam was do złupienia dumnego Aghrapur. Stańcie przy mnie, by splądrować cesarstwo! – Jego słowa sprawiły, że tłum zaczął wykazywać pewne oznaki podniecenia. W szmerze bełkotliwych, niepewnych głosów pobrzmiwało wyraźne zainteresowanie. Niektórzy z piratów ożywili się i zaczęli przepychać się w stronę brzegu.

– Ja, Amra z Oceanu Zachodniego, dowodzący flotą Czerwonego Bractwa, powiodę was z pokładu „Bezlitosnego”, wyrwanego spod nosa samego cesarza Yildiza! – Wspiąwszy się nie wyżej, Conan oparł dłoń na poślaczanych piórach na karku rzeźbionego orła na dziobie. – Popłyniemy całą flotą i zabierzemy z powrotem należną nam część łupów. Najlepsze statki i kapitanowie Djafur, Hrandulf i jego bracia z morskich plemion, a także Santhindrissa i Brylith ze swoimi wiedzmi morskimi oraz wolnymi wojownikami – wyszły już w morze wraz z zapasami i bron. Wypłynęli już również kapitanowie Ivanos i Ferdinald. Bogactwo i sława, jakie zyskamy, przypadnie w udziale każdemu, kto należy do Bractwa, a Djafur stanie się perłą Vilayet!

– Nie, wszyscy zginiemy! – rozległ się anonimowy głos z głębi tłumu. – Jesteśmy piratami, nie żołnierzami!

– Bracia, nie lękajcie się kolei wojennego losu! – zawołał z uniesieniem Conan. – To Hyrkańczycy, nie my, wysadzą swoje oddziały na ląd i będą toczyć bitwę. Klęska którejkolwiek ze stron nie pociągnie za sobą naszej zagłady. Jeśli wojna pozostanie nie rozstrzygnięta, też wiele skorzystamy. Wódz Antulla, rozkazujący wszystkim hyrkańskim klanom, obiecał nam w traktacie dziesięć złotych talentów za każdy turański statek, który zatopimy, spalimy lub zdobędziemy. To złoto zostanie podzielone między załogi okrętów, które tego

dokonają, zgodnie z regułami naszego Bractwa – te słowa Conana przywitał zdecydowany pomruk poparcia.

– Przystaliśmy do Hyrkańczyków – kontynuował Cymmerianin – lecz „Bezlitosny” i inne okręty pozostaną pod moim, nie ich dowództwem. Wiercie mi, nigdy nie dopuszczę, by ta wojna zniszczyła to, czego dokonałem dla naszego Bractwa! Podążcie za mną po bogactwo i chwałę, jak czyniliście to wielokrotnie!

Rozległo się niemrawe skandowanie: „Amra, Amra!” Z początku krzyczeli oficerowie, którzy spędzili tłum na plażę, lecz wkrótce podjęło je więcej gardeł. Tymczasem z okrętu opuszczono trapy i piraci zaczęli brnąć do przodu, niepewnie wspinając się na szerokie deski. Conan, stanawszy okrakiem na dziobie, wparłszy stopy o obydwa nadburcia, pomagał co bardziej pijanym łotrzykom zachować równowagę i wciągał siłą na pokład tych, których w ostatniej chwili opadły wątpliwości.

Wkrótce wioślarze tuzinami usadzili się na ławach. Conan ruszył na pokład rufowy, gdzie czekała na niego Philiope. Odziana w dworską suknię z głębokim wycięciem, z rozpuszczonymi kruczymi włosami, dziewczyna pośpieszyła, by go uściskać.

– Conanie! – westchnęła. – Udało ci się! Trudno było uwierzyć, że ten statek zapełni się piratami i żeglarzami! Żaden wróg wam się nie oprze!

– Na pewno? – zapytał Conan tonem świadczącym, że sam jest o tym święcie przekonany. Odwróciwszy się, powiódł nie widzącym wzrokiem po ciżbie rojącej się na górnym pokładzie. – Nasi wrogowie mają jednak takie same, a nawet większe okręty...

– Naprawdę splądrujesz i spalisz Aghrapur? – zapytała Philiope. – Czy to konieczne? Nie kocham turańskiego cesarza, ale stolica to wielkie miasto, pełne niewinnych prostaczków.

– Jeżeli Turan padnie, nie zdołam zapobiec zburzeniu miasta – odpowiedział szczerze Conan. – Nie sądzę jednak, by do tego doszło. Trudno liczyć na olśniewające zwycięstwo którejkolwiek ze stron.

– Przecież powiedziałaś piratom... – Philiope podniosła na niego zdumione spojrzenie.

– Powiedziałem im to, co było konieczne, by nabrali ochoty do walki – przerwał jej. – W rzeczywistości w najlepszym interesie Djafur jest sprawić, by obaj tyrani jak najdłużej utaczali sobie krwi. Zamierzam przestrzegać warunków naszej umowy z Hyrkańczykami i jestem pewny, że tak czy owak przypadnie nam mnóstwo łupów i nagród, nie zamierzam jednak przechylić szali zwycięstwa na czyjąkolwiek stronę. Żadne państwo nie powinno uczynić morza Vilayet swoim wewnętrznym jeziorem – przytulił dziewczynę do siebie i pocałował ją. – Nie obawiaj się, wrócę do ciebie.

– Nie chcę, żebyś do mnie wracał – powiedziała wierząc się w jego objęciach. – Chcę popłynąć z tobą!

– Philiope! Wojna bywa okropna nad wszelkie wyobrażenia – zaczął przemawiać jej do rozsądku, nie wypuszczając z uścisku. – Nie będę w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa...

– A możesz zapewnić mi je tutaj, w Djafur, skoro miasta i zamku będą broniły tak nikłe siły? – zapytała marszcząc brwi. – Santhindrissa wypływa z tobą, będzie walczyła przy twoim boku. Czy dlatego mnie nie potrzebujesz?

– Santhindrissa to mój najbardziej doświadczony kapitan – zaczął tłumaczyć. – Będzie miała pełne ręce roboty... ujrawszy rozdrażnienie kochanki, roześmiał się. – Już dobrze. Możesz płynąć ze mną.

Kilka minut później załoga znalazła się na miejscach. Na komendę Conana podniesiono wiosła i wysunięto je za burty. Tymczasem ci, którzy pozostali na brzegu, zwolnili stemple i kliny, utrzymujące okręt na pochylni. Na znak sternika Conan wykrzyknął rozkaz. Załomotały młoty. Rozległo się głębokie, basowe trzeszczenie, pokład zawibrował i nachylił się pod przyprawiającym o zawrót głowy kątem. Wielki okręt rufą naprzód zsunął się w fale djafurskiego portu.

## XIII

### WICHRY WOJNY

Przez dziesięć dni i nocy gorący wiatr strachu dał w Aghrapur.

Wiał ze wschodu... Odmienne od łagodnych, popołudniowych zefirków, niosących stolicy ochłodę i świeżą woń znad morza, był to nieustanny, uporczywy, duszący

wicher, wzbijający wirujące kłęby pyłu i sprawiający, że zboże marniało na pniu. Tajemniczym sposobem ten niezwykle wiatr przecinał szerokie Vilayet, ani trochę nie mieszając się z ożywczym, kojącym morskim powietrzem. Zamiast słonej woni fal czuć w nim było surową spiekotę hyrkańskich stepów, uschnięte łądygi, wypalone przez słońce trawy i popiół obozowych ognisk.

Ludzie na ulicach szeptali z przerażeniem: że wiatr jest skutkiem czarów, że to wicher wojny, wezwany, by hyrkańscy najeźdźcy mogli dotrzeć wprost do turańskich wybrzeży.

Wiatr sprawiał, że nerwy Turańczyków były napięte jak struny. Wzburzenie i rozognione temperamenty często doprowadzały do wybuchów. Nawet powietrze zachowywało się wrogo. Złowieszcze powiewy wpadały przez kominy i otwarte okna, rozsypując węgle z palenisk i wpychając okienne zasłony w płomienie oliwnych lamp. Gdy wywołane przez wiatr pożary ogarniały całe dzielnice Aghrapur, mieszkańcy prowincji wciągnęli w nozdrza woń dymu i wołali: „Hyrkańczycy wylądowali! Palą stolicę! Uciekajcie, niedługo tu będą!” Kwitły plotki, wybuchały zamieszki. Nad wszystkim zawisła aura nieuchronnej zagłady.

Zgromadzeni w sali narad wysocy turańscy oficerowie nie mieli złudzeń co do czarnoksiężskiej natury wiatru.

– To dzieło Crotalusa, tego zdradzieckiego diabła! – oznajmił admirał Quub. – Śmiałem się, kiedy moi szpiedzy donieśli mi, że Zembabwańczyk znalazł sposób rozkazywania bogom morza, lecz teraz w to wierzę. Szkoda, że Rada Wieszczy nie uprzyjemniła mu pobytu w Turanie wróceniem z jego trzewi!

– Słyszałem, że czarnoksiężnik za bardzo uwikłał się w dworskie utarczki – odparł półgłosem generał Artaban. – I to po niewłaściwej stronie...

Zamilkł, gdy książę Yezdigerd odwrócił się od mapy morza Vilayet.

– Hyrkańczycy na pewno wylądują na południe od miasta – stwierdził książę. – Moczary Mehar i rzeczne płycizny utrudniają wykorzystanie konnicy na północy. Możemy założyć, że nasz nieprzyjaciel o tym wie.

– Niewątpliwie, panie – odpowiedział z dystygnowanymi uśmiechem admirał Quub. – Gdyby nasi wrogowie zdołali dopuścić do rozproszenia okrętów i wylądować w zaplanowanym miejscu, desant na południu ułatwiłby im uderzenie na Aghrapur.

– Nie wątpię, że chcą dotrzeć do brzegu gdzieś między nami a północnym krańcem Gór Kolchiańskich – powiedział z przekonaniem Yezdigerd. – Na otwartym wybrzeżu bez trudności uporają się z naszą piechotą.

– Gdyby wylądowali dalej na południe, zapewne próbowali by iść na północ wybrzeżem – wskazał Quub.

– Jeżeli zostaniemy ostrzeżeni na czas, nasze okręty mogą zmusić ich do lądowania w okolicy, w której ze względu na bliskość gór będą mieli ograniczone pole manewru – powiedział Yezdigerd.

– Tak, panie – zgodził się generał Artaban. – Jednakże góry utrudnią ruchy naszej jazdy tak samo jak hyrkańskiej. Można też spodziewać się, że dzięki doświadczeniu nieprzyjaciel zdoła szybciej zebrać swoje siły.

– W takim razie wyślijcie jazdę na północny skraj Gór Kolchiańskich – odparł rozdrażnionym głosem Yezdigerd. – Niech armia przystąpi do budowania umocnień między górami i wybrzeżem, jednak główne siły konnicy powinny być gotowe do odparcia nieprzyjaciół, gdyby dotarli na równinę lub pokonali góry.

– Mądra strategia – odparł Quub, robiąc notatki rylcem na woskowej tabliczce. – Oczywiście, najlepiej dla nas byłoby, gdybyśmy zdołali zapobiec lądowaniu. Mimo wszystko nasza flota wojenna dorównuje hyrkańskiej.

– Kłopot polega na tym, jak odnaleźć flotę wroga – rzekł Artaban. – Jeśli rozproszymy nasze statki szukając Hyrkańczyków, nie zdołamy odeprzeć zmasowanego ataku w jednym miejscu.

– Jeżeli zdołamy zmusić Hyrkańczyków do bitwy morskiej, zdołamy ich powstrzymać – odparł Yezdigerd. – Nasze okręty uzbrajane są właśnie w nową broń...

– Z wolą Tarima nie dopuścimy do lądowania wrogów – powiedział Quub, wzywając nowego boga przez wzgląd na wiarę księcia. – W każdym razie jeśli Hyrkańczycy znajdą się blisko wybrzeża, w żaden sposób nie zdołamy zapobiec desantowi. Nie mamy innego wyboru, jak dopaść ich na otwartym morzu, jak najdalej od brzegu. Teraz przede wszystkim powinniśmy dążyć do jak największego skupienia naszych okrętów między hyrkańską flotą i wybrzeżem.

– Owszem – przyznał Artaban. – Musimy zmusić ich do zawrócenia, a przynajmniej zepchnąć ich na południe.

– Gdy tylko ich znajdziemy, będziemy musieli polegać na umiejętnościach kapitanów i wierzyć, że zdołają zgromadzić flotę – dodał Quub.

– W takim razie wyślemy na północ wiele małych okrętów, z największymi jednostkami skupionymi na południu i posuwającymi się wolno na północny wschód – orzekł Yezdigerd. Wysoki i wyniosły książę najwyraźniej poważnie traktował swoje nominalne zwierzchnictwo nad flotą wojenną. – Flaga sygnałowa z czerwonym kołem będzie oznaczać dostrzeżenie nieprzyjaciela. Po przekazaniu tej wiadomości statki mają skupić się najszybciej jak to możliwe.

– Czekaj nas ciężkie żeglowanie wprost pod wiatr.

Artaban podszedł do okna, przyłożył dłoń do czoła i wyjrzał na zewnątrz. Flagi nad portową twierdzą zwrócone były wprost ku umocnieniom w głębi ładu.

– Jeśli zdejmie się maszty, niewiele zaszkodzi to naszym okrętom wiosłowym – zauważył Quub, skończywszy pisać. – Powolniejsze żaglowce będą pilnowały wybrzeża, możemy jednak wykorzystać małe, szybkie łodzie, zdolne do żeglowania przy dziobowym wietrze, do zatykania dziur i łączności. Gdy tylko nieprzyjaciel zostanie wypatrzony, posłużą do przekazania tej wieści na brzeg.

Artaban skierował spojrzenie na wschód.

– Jeżeli Hyrkańczycy wyruszyli pierwszego dnia tego wichru, to pokonali już ponad połowę drogi.

– Istotnie, zakładam jednak, że Hyrkańczycy zgromadzili swoją flotę z dala od brzegu – odparł Quub. – Mamy zatem nieco i więcej czasu. Ich sprzymierzeńcy powinni spowodować dalszą j zwłokę – drobny, łysy admirał w przekrzywionym turbanie wzruszył ramionami. – To mało istotne, i tak mamy tylko jedną szansę, by ich zawrócić. Czy uwikłamy ich w walkę w pobliżu naszego czy hyrkańskiego wybrzeża, nie wolno nam oszczędzać sił w tej bitwie. Wojska lądowe i statki osłaniające wybrzeże będą musiały poradzić sobie ze wszystkimi wrogimi okrętami, które przedostaną się przez trzon naszej floty – skinąwszy na jednego z oczekujących przy drzwiach adiutantów, admirał podał mu woskową tabliczkę. – Te rozkazy mają trafić do sztabu w pałacu cesarza, te zaś... – podał mu drugą tabliczkę z naszkicowanymi marynarskimi sygnałami – ...mają znaleźć się na masztach.. Kopie mają zostać wysłane poprzez konnych kurierów do garnizonów w Sultanapurze i Khawarizmie. Ich odbiór ma zostać natychmiast potwierdzony. Jutro o świcie flota ma podnieść kotwice!

Za sprawą kapitanów i pirackich bogów – wszystkie z wyjątkiem jednego czy dwóch statki Amry spotkały się na południe od archipelagu Aetolian. Sformowawszy długą linię za okrętem flagowym, ruszyły na południe wzdłuż hyrkańskiego wybrzeża. Ze względu na wiatr od wschodu był to uciążliwy kurs. Kapitanowie szybko zorientowali się, że przy każdej próbie podniesienia choćby skrawka żagla przy tym bocznym wietrze okręty przechylały się tak, że wioślarze po nawietrznej nie mogli sięgnąć wody. Poruszano się więc wyłącznie przy użyciu wiosł.

Gdy na południowym horyzoncie dostrzeżono mnóstwo żagli, Conan nie rozkazał skrócić natychmiast na spotkanie z drugą flotą, lecz polecił obranie zachodniego, prawie równoległego kursu. Dzięki temu przy wietrze i fali od rufy można było bez trudu osiągnąć szybkość taką samą jak Hyrkańczycy.

– Przed zapadnięciem ciemności powinniśmy znaleźć się w odległości umożliwiającej wymianę sygnałów – powiedział Conan do Philiope. Oparłszy się na rękojeści masywnego wiosła sterowego, barbarzyńca przyglądał się wypełnionym wiatrem żaglom i rozcinającym spienioną wodę dziobom tuzina okrętów Bractwa płynących za nimi. – Jutro dołączymy do Hyrkańczyków albo będziemy płynąć własnym kursem... – zamilkł na chwilę, nasłuchując pieśni wioślarzy, rozbrzmiewającej w rytmie narzucającego im tempo bicia w bęben. – Nasze załogi są co najmniej tak samo zahartowane i przygotowane do walki jak hyrkańskie.

– Dołączymy, o ile utrzyma się wiatr. – Philiope oparła się o pokrytą złotym ornamentem burtę rufową. – Teraz, gdy płyniemy z wiatrem, ledwie go czuję.

– Jestem pewny, że to robota Crotalusa. – Conan wciągnął w nozdrza suchy powiew od ładu. – Niedobrze mi się robi, jak o tym pomyślę, ale dzięki temu pewnie przez całą noc będziemy szybko posuwać się na zachód. Hyrkańscy najeźdźcy nie mogli wyobrazić sobie lepszego, a właściwie gorszego znaku, poprzedzającego ich przybycie.

– Przynajmniej tym razem zły wiatr jest po naszej stronie – powiedziała Philiope.

– Na razie – odparł Conan.

Niedługo przed zmrokiem wymieniono sygnały za pomocą dużych flag. Hyrkańska flota stanowiła olśniewający widok. Blask zachodu podświetlał żagle czerwienią

jak z gorejącego paleniska. Ponad setka okrętów – poruszały się zbyt bezładnie, by można je było dokładnie zliczyć – pokrywała morze jak stado kaczek płynących po stawie. Hyrkańskim stawie, którym wkrótce może się stać morze Vilayet, pomyślał Conan.

Watr utrzymał się również po zachodzie słońca, lecz obydwie floty pozostawiły na masztach jedynie minimum żagli, niezbędne do utrzymania pozycji w szyku i dotychczasowego kursu. Rozproszenie się było bowiem większym zagrożeniem dla planu inwazji niż opieszałość. Wydano też rozkaz, że po zapadnięciu zmroku nie wolno palić żadnych świateł. Liczono, że dzięki temu hyrkańska flota zdoła przepłynąć niepostrzeżenie między patrolującymi Vilayet okrętami turańskimi. Wystawiono wzmocnione wachty dla uniknięcia zderzeń i nagłego ataku nieprzyjaciela.

Gdy zapadła czarna, bezgwiezdna noc, załogi pokładły się do snu, ledwie zważając na twardość pokładów i wioślarskich ław. Po całym dniu pracy niewiele energii pozostało piratom na późne gadanie i przesady.

W pierwszych promieniach świtu okazało się, że okręty obydwu flot zwiększyły odstęp, jednak utrzymały położenie względem siebie. Statki Conana, z czerwonymi banderami, rozproszyły się nieco na północ od trzonu hyrkańskiej formacji o żółtych flagach. Cymmerianin rozkazał zacieśnienie szyku i ujrzał, że Hyrkańczycy robią to samo. Obserwując wznoszące się i opadające żagle odległych okrętów, nie był w stanie stwierdzić, na pokładzie którego z nich znajduje się Crotalus. Zakładał, że jest to ten duży, czerwony statek nieco w tyle za centrum formacji, ponieważ pozostałe jednostki trzymały się zawsze w stałej odległości od niego.

Upalny wiatr wiał z równą mocą jak poprzednio. Przeżywając poranne suchary, Conan ponownie poczuł zdumienie, że tak daleko od brzegu można mieć spierzchnięte usta i czuć suchość w gardle. Powiew szemrał w takielunku, brzmiał w uszach Conana jak dobiegający z daleka odgłos harfy.

Postawiono żagle i podjęto wiosłowanie, aczkolwiek utrzymywanie kursu z wiatrem sprawiało, że do osiągnięcia dostatecznej szybkości wystarczały krótkie, nie wyczerpujące załogi pchnięcia wiosł. Conan utrzymywał swoją flotę w pewnej odległości od hyrkańskiej, pozwoliwszy pirackim okrętom uformować dwa nierówne szeregi. Flagowy „Bezlitosny” znajdował się na tylnym krańcu lewego rzędu, dzięki czemu Cymmerianin mógł jednym rzutem oka ogarnąć całą swoją flotyllę i horyzont na przedzie.

Mijały godziny, podczas których gnał statki nie cichnący, nienaturalny wiatr ze wschodu. Załogom powietrze wydawało się dziwnie nieruchome. Pędzone przez wiatr fale prześcigały powoli statki, przetaczały się niemrawo od ruf po dzioby nie sprawiając wiosłarzom kłopotów. Żółty pył ze wschodnich stepów przydał nieboskłonowi zielonkawego odcienia. Zabarwienie nieba, upał i ostry blask powierzchni morza sprawiały, iż wydawało się, że „Bezlitosny” płynie we wnętrzu butelki z zielonego szkła.

Conan trudził się na zmianę przy wiosle sterowym i górnym wiosle, pierwszym od rufy. Na rozkaz Cymmerianina do południowego posiłku wydano potrójne racje wody. Miało to przynieść ulgę pocącym się piratom i uciszyć narzekania.

Po południu z bocianiego gniazda dobiegł krzyk. Niedługo potem zza zachodniego horyzontu wyłoniły się wielkie galery, trudne do dostrzeżenia ze względu na zdjęte maszty.

Stojący na dziobie hyrkańskiego okrętu flagowego „Nieustraszony” ushikagan Antulla zmrużył oczy i ocieniwszy je dłonią, popatrzył na zachód. Wodzenie wzrokiem po powierzchni morza było męczące i o wiele bardziej kłopotliwe od obserwowania nieprzyjaciela na bezkresnym trawiastym stepie. Odbity od fal blask słońca sprawiał, że przypominało to wypatrywanie białych tygrysów na zaśnierzonych górskich stokach podczas pogodnego dnia. Można było jednak dostrzec okręty nieprzyjaciela, pełznące jak owady po dalekim skraju widnokregu. Niewyraźne, rytmiczne pobłyskiwanie wiosł było jedynym dowodem ich realności. Było ich niewiele – zaledwie trzy, może cztery, w luźnym szyku. A dalej, czy to żagiel przed chwilą zmaścił horyzont? Błada plamka niknęła z oczu. Być może, okręt zmienił kurs. W każdym razie wydawało się to nieistotne.

Rozkaz Antulli brzmiał: utrzymywać kurs wprost na zachód. Wodza zapewniano, że czarodziejski wiatr niósł hyrkańskie okręty wprost ku Aghrapur. Pędzili więc prosto ku nieprzyjacielskim szykom po to, by je zgruchotać...

Głównodowodzący hyrkańskiej floty przeniósł zadumane spojrzenie na statek

Crotalusa. Do tej pory Antulla nie miał żadnych powodów, by wątpić w przepowiednie czarnoksiężnika. Najwidoczniej dar jasnowidzenia pozwalał magowi dokładnie określać położenie własnego statku i reszty floty.

Należało więc płynąć dalej naprzód. Antulla uznał, że nie powinno być żadnych kłopotów z pokonaniem nielicznych wrogich jednostek, znajdujących się w polu widzenia – zapewne maruderów. Ushikagan wolał jednak, by wykonanie tego zadania przypadło w udziale piratom Amry, którym właśnie po to obiecano udział w łupach. Jego sprzymierzeńcy byli morskimi grabieżcami, bez żadnego doświadczenia w walce na lądzie, przez co nie należało na nich liczyć podczas inwazji na ziemie Turanu. Przy odrobinie szczęścia piracka flota zostanie znacznie przerzedzona przez wroga w bitwach morskich, poprzedzających desant na ląd. O ile do nich dojdzie. Czarnoksiężnik zwierzył się mu ostatnio, że z pomocą swoich magicznych broni powinien zniszczyć statki nieprzyjaciela, nim zajdzie potrzeba abordażu czy taranowania. Gdyby jeszcze udało się uniknąć rozproszenia hyrkańskich okrętów i opóźnienia lądowania na zachodnim brzegu, byłby to zaiste znak przychylności Erlika.

– Przypomina to wielką szarżę pod Yuetschich, z wyjątkiem tego, że dosiadamy drewnianych, nie żywych wierzchowców. – Adi Bukbul podszedł do wodza na dziobie „Nieustraszonego”. – Chyba Turańczycy nie sądzą, że parę okrętów zdoła powstrzymać naszą flotę? – rzekł, uderzając pięścią w rzeźbę dziobową. – Byłoby dla nich lepiej, gdyby uciekli.

– Wątpię, czy bez żagli zdołają się od nas oderwać – odparł wódz. – Sądzę, że już na to za późno.

Hyrkańska flota rażno posuwała się naprzód. Płytkie i częste sztychy wiosł wzmagały szybkość osiąganą dzięki wiatrowi. Pirackie jednostki utrzymywały miejsce w szyku, wysunawszy się nieco naprzód, czego pragnął Antulla. Turańskie okręty znajdowały się coraz bliżej. Ich liczba wzrosła do siedmiu. Z południa i północy dołączały do nich dalsze jednostki. Po horyzoncie gnały drobne, szybkie łodzie żaglowe, służące do przekazywania wiadomości i rozkazów. Było jasne, że rozproszony nieprzyjaciel stara się zewrzeć szyk, by stawić czoło nadciągającym Hyrkańczykom. Turańskie okręty, spore galery, zlewały się w przedzie w jedną linię. By zyskać na czasie, wiosłowały rozpaczliwie w kierunku zachodniego wybrzeża Vilayet.

– Statek Crotalusa wyprzedza nas i wypada z szyku – zauważył Adi Bukbul, spoglądając w bok. Widać było, że wioślarze wielkiego statku zwiększyli tempo. – Czarnoksiężnik mówił, że do swoich sztuczek będzie potrzebować dużo wolnej przestrzeni.

– Owszem – przytaknął Antulla. – Ostrzegł też naszych kapitanów, by trzymali się z dala od niego. Ale co to, czyżby Crotalus chciał postawić jeszcze jeden żagiel?

Przed oczami hyrkańskiej floty i ich dowódcy na pozbawionym żagli przednim pokładzie galery czarnoksiężnika rozgrywała się dziwna scena. Z środka stojącego tam kręgu kapłanów i akolitów zaczął wynurzać się bezkształtny, srebrzystobiały pęcherz, spychany w bok przez wiatr. Jajowata, błyszcząca bańka o powłoce delikatniejszej od najlepszego żaglowego płótna wydymała się i pięła w górę jak przebijający się spod ziemi kapelusz grzyba. Po chwili gigantyczny pęcherz oderwał się od pokładu. U jego podstawy wykwitwały jaskrawe płomienie i kłęby gęstego dymu.

– Maja pożar na pokładzie! – jęknął Adi Bukbul.

– Nie, to jedwab! – wykrzyknął Antulla. – Utkany przez olbrzymie gasienice, które czarnoksiężnik pokazywał mi w stoczni! Ożywił go w jakiś sposób i rozkazuje mu, by leciał tak jak ćmy, które wykluwają się z utkanych przez nie kokonów!

– Pod spodem jest kociołek z ogniem – wskazał Adi Bukbul. – Patrz, panie, to coś kieruje się w stronę nieprzyjacielskich okrętów!

Niski dyplomata mówił prawdę. Wielki jedwabny pęcherz nadał się do pełna, oderwał od burty statku i poszybował z wiatrem, wlokąc za sobą ulatujące z podwieszonego paleniska pasma dymu i pary. Gorejący metalowy kociołek podtrzymywały pod otwartym dnem wielkiej gruszki długie liny. Dzięki nim jedwabny pęcherz był zabezpieczony przed ogniem. Inne liny zwieszały się spod paleniska, wlokąc się po powierzchni morza. Najwidoczniej podtrzymywały balast, pozwalający ognistemu pęcherzowi utrzymywać kurs ku nieprzyjacielskim jednostkom.

– Kieruje się prosto na nich! – stwierdził z uciechą Adi Bukbul. – Popatrz,

panie, szykują następny!

Istotnie, nad pokładem galery wydymała się już druga ognista kopuła. Nieprzyjacielskie okręty zaczęły umykać na boki, przez co wroga flota stanowiła szerszy cel. Jednostki w centrum zwolniły przed nadciągającym nie znanym zagrożeniem, tracąc zdolność manewru. Po paru chwilach zamieszanie zmniejszyło się, lecz widać było, że przynajmniej dwa z turańskich okrętów wpadły na siebie i w rezultacie zderzenia zostały zdane na łaskę fal.

Tymczasem ogniste pęcherze nieuchronnie sunęły w ich stronę. Z niejasnego powodu rozdzieliły się tak, że zmierzały ku częściom szyku nieprzyjacielskich okrętów. Pierwszy dogonił zawracającą galerę, której wiosła daremnie meły wodę w rozpaczliwej próbie ucieczki. Zwisające ku wodzie liny musiały wlec haki abordażowe, ponieważ latający pęcherz zawisł nad bezradnym okrętem. Podwieszony pod kopułą kocioł z ogniem przechylił się i wrzący olej począł lać się na pokład statku, z którego natychmiast buchnęły płomienie. Przypominające mrówki, wymachujące ramionami ludzkie figurki salwowały się skokami do wody. Po chwili ogień objął złowieszczą powietrzną banię. Zabłysła jaskrawo, po czym osiadła na skazanym na zagładę okręcie jak piekielny całun.

Chwilę później za sprawą drugiej ognistej kopuły zapłonął następny statek, jeden z tych, które uciekały najszybciej. Trzecia kopuła minęła turańskie linie, nie wyrządzając szkód, z wyjątkiem tego, że dwa pierzchające na bok okręty szczyły się wiosłami. Czwarta galera zderzyła się z jednym z płonących okrętów. W chwilę po staranowaniu wybuchła ziejąc w niebo słupem ognia i dymu. Deszcz gorejących odłamków opadł na wodę dookoła obu wraków.

– Niech Erlik będzie świadkiem czarów Zembabwańczyka – mruknął Antulla na ten widok. – Mamy niezrównanego sprzymierzeńca!

– Statki wroga poszły w rozsypkę! – nie mogący powstrzymać uniesienia Adi Bukbul wywijał przy burcie tryumfalne hołubce. – Dobrze tak Turańczykom! Niech te niewierne kozły ugotują się we wrzącym morzu! Mamy wolną drogę do Aghrapur!

– Nie. Te płonące wraki stanowią dla nas zagrożenie. – Antulla obrócił się na pięcie i ruszył na rufę. – Pozostałe okręty mogą próbować zagrozić nam drogę lub staranować, gdy będziemy je wymijali. Nie zamierzam stracić ani jednego statku. Rozesłać sygnały, by cała flota zmieniła kurs na południe! Musimy wyminąć niebezpieczeństwo!

– Stracimy przez to trochę czasu, ushikaganie – powiedział podążający za nim Adi Bukbul. – Ale może to i lepiej. Co z piratami?

– Mogą okrążyć płonące statki od północy i dołączyć do nas później, albo zostać tu i walczyć z turańską flotą, jeśli mają taką ochotę. Niewiele mnie to obchodzi! – odparł zirytowany Antulla.

Na pokładzie „Bezlitosnego” Conan i Philiope przyglądali się spustoszeniom, wyrządzonym przez ogniste pęcherze oraz sygnałom, wydawanym z hyrkańskiego okrętu flagowego.

– Co te miłujące konie matolki wymyśliły? – zastanowił się na głos Cymmerianin, gdy olbrzymia flota niemal równocześnie zmieniła kurs na południowy zachód.

– Boją się czarnoksięskich ogni – zasugerowała Philiope wskazując dogorywające wraki, zasnuwające morze opończą dymu.

– Tak jak ja – rzekł Conan. – Nie zamierzam płynąć w ich stronę, na co pewnie mieliby ochotę nasi sprzymierzeńcy.

Nie zmienił położenia wiosła sterowego ani nie wydał polecenia zmiany kursu.

– Nam, piratom, może przypaść w udziale zaszczyt stawienia czoła trzonowi turańskiej floty – powiedziała Philiope, wyciągając palec w stronę wrogich okrętów, wciąż manewrujących za zasłoną dymu.

– I dobrze – odparł Conan. – Zdobędziemy więcej łupów i zasłużymy sobie na szczerzejszą nagrodę.

Z dziesięciu ocalałych turańskich galer sześć zbczyło na południe, najwyraźniej dotrzymując towarzystwa hyrkańskiej flocie. Cztery bliższe okręty zdecydowały się wydać bój piratom. Wypadły z kłębow dymu i zaczęły rozpędzać się do taranowania. Z północy pośpieszyły im w sukurs dwa nowe okręty, które miały niezłe szanse dotrzeć do pole walki przed jej rozstrzygnięciem. Wszystkie wrogie statki były dwurzędowymi biremami o jedną trzecią mniejszymi od „Bezlitosnego”. W sumie jednak dorównywały wartością bojową niejednorodnej pirackiej flocie.

Kapitanowie Conana podporządkowali się wcześniejszemu planowi bitwy i ruszyli podwójnym szeregiem w kierunku nieprzyjaciela. Nie zwrócili się jednak przeciw



niemu dziobami, lecz wystawili burty na przynętę. Conan postąpił podobnie, jednocześnie wysforowując się do przodu. Gdyby któryś z jego czołowych okrętów został staranowany, „Bezlitosny” i pozostałe statki miały uniemożliwić odwrót turańskim biremom. Ponieważ piraci mieli blisko trzykrotną przewagę, zamierzali rozstrzygnąć walkę abordażem. Była to czasochłonna taktyka, lecz stanowiła skuteczną pułapkę na nieostrożnego nieprzyjaciela.

Należało jednak uniknąć staranowania. Turańskie załogi, znużone męczącym wiosłowaniem pod wiatr, musiały narzucić sobie największą możliwą szybkość, podczas gdy piraci wciąż mieli możliwość manewru. Conan czekał spokojnie, aż jego dowódcy wykonają wcześniejsze polecenia.

Pogoda była przepiękna. Złowieszcze szpice wrogich taranów przecinały niebieskozielone fale, od czasu do czasu zapadając w wodę z odgłosem rzeźbiącego spiż dłuta. Gorączkowy łoskot nieprzyjacielskich sterników niósł się pod wiatr, łącząc się ze spokojniejszym rytmem, wybijanym na pirackich okrętach. Rzędy ciemnych głów rytmicznie chowały się i pojawiały za krawędziami burt.

Wreszcie rozbrzmiały rozkazy. Pierwsza wykrzyczała je Santhindrissa, która swoją „Izbą Tortur” wysunęła się przed okręt flagowy. Cztery pierwsze pirackie galery nie zwolniły ani nie zrobiły nic, by uciec turańskim taranom. Zamiast tego zmieniły tylko kurs i zaczęły płynąć równolegle do wrogów. Chwilę później piraccy wiosłarze siedzący przy lewych burtach unieśli wiosła, przez co ich statki wykonały błyskawiczny zwrot w lewo. Rozbrzmiało coraz więcej wykrzykiwanych gromko rozkazów. Zamieniwszy powierzchnię morza w białą pianę, obsady całkowicie wciągnęły wiosła.

Turańczycy siedzący na swoich ławach widzieli nadciągającą ku nim zagładę, lecz byli zbyt wyczerpani, by jej umknąć. Początkowy łoskot zamienił się w przeraźliwy zgrzyt i chrobot, by w końcu stać się jazgotliwą kakofonią odgłosów trzaskającego poszycia i przeraźliwych wrzasków. Cztery masywne dzioby rozharatały burty turańskich okrętów, roznosząc w drzazgi drzewc wiosel i wbijając ich końce w piersi i brzuchy nieszczęsnych wiosłarzy. Pierwszy szereg pirackich okrętów zepchnął trzy wrogie statki na lewo, a jeden na prawo. Pozostawiając za sobą bezradnych przeciwników, piraci ponownie opuścili wiosła i ruszyli w kierunku następnych ofiar.

Dla Turańczyków nie był to koniec grozy. Do okaleczonych okrętów dotarł drugi szereg pirackich statków. Tym razem przyszła kolej na Conana. Na jego rozkaz wciągnięto wiosła prawoburtowe. Obracające się w miejscu po okrutnym zderzeniu nieszczęsne jednostki wroga wystawiły teraz nie uszkodzone wcześniej burty na piekielną powtórkę takich samych druzgoczących ciosów.

„Bezlitosny” Conana, najcięższy i największy z pirackich statków, z trudem oderwał się od staranowanego okrętu, który siłą uderzenia częściowo wtłoczyła pod wodę.

Cymmerianin wyglądający za burtę z posępną miną dostrzegł, że nadbudówka rufowa przeciwnika została oderwana od reszty okrętu. Sternicy i kapitan w jednej chwili zapadli wraz z nią wprost w morskie głębie, masakrowani po drodze młócającymi wściekle wodę wiosłami „Bezlitosnego”.

– Och, na Mitrę! To okropne! – Philiope wyglądająca Cymmerianinowi zza ramienia odwróciła się i dowlokła do przeciwnej burty, gdzie zwymiotowała. Nieruchomy Conan ponurym wzrokiem przyglądał się scenie zniszczenia.

„Bezlitosny” pędził dalej. Zwalisty okręt o trzech rzędach wiosel gładko roztrącił szczątki wraków. W chwilę później, na rozkaz Conana, ponownie spuszczone wiosła na sterburcie. Przed nim rozciągał się nie tknięty szereg pirackich okrętów, których wiosłarze przyglądali się swemu dziełu z tryumfalnymi okrzykami. Cztery zgruchotane galery pełne rannych i konających Turańczyków pozostały za rufą. Jedna z nich była już tylko wyspą potrząskanych desek, bezwolnie unoszących się na falach.

Przed „Bezlitosnym” znalazł się jeden ze statków, które szły Turańczykom z pomocą. Była to długa, niska i zadaszona galera. Na jej górnym pokładzie widać było zaledwie parę dziesiątków marynarzy i oficerów, włącznie z obsadą katapulty. Jej pojedynczy rząd wiosel pracował z zadziwiająco szybkością. Tymczasem manewr, dzięki któremu zmasakrowano jednostki nieprzyjaciela, doprowadził do rozluźnienia pirackiego szyku. Ich okręt flagowy znalazł się teraz w centrum. Wyglądało na to, że nieprzyjaciel szykuje się do staranowania lub obrzucenia płonącymi pociskami statków na czele szyku.

– Widziałem już takie sztuczki – zwrócił się Conan do sterników. Przywołał nadzorcę wiosłarzy, by przejął jego miejsce przy sterze, sam zaś przeszedł na

dziób, gdzie gotowano maszyny wojenne na chwilę, gdy nieprzyjaciel znajdzie się w zasięgu rażenia. Jedna z nich, gigantyczna kusza, została skonstruowana dokładnie według instrukcji Conana. Wyższe od dorosłego człowieka bełty ze stalowymi grotami o drzewcach grubości nadgarstka znajdowały się w stojaku obok masztu.

– Rufiasie, pomóż mi ją wycelować. – Ręcznie przesunawszy broń, Conan przytrzymał ją, podczas gdy piracki oficer zaklinał ją w tym położeniu. Wiatr był wciąż sprzyjający, gładkie morze nie kołysało statkiem, więc Conan ustawił kuszę nisko.

– Gotowe, odsunąć się! – pociągnawszy dźwignię, przyglądał się, jak spuszczone cięciwa skacze z wizgiem do przodu.

– Świetny strzał, kapitanie – stwierdził Rufias.

– Nie, za wysoko – powiedział Conan, patrząc za pociskiem. – Opuść ją o trzy lub cztery ząbki.

Jak gdyby chcąc zadać mu kłam, bełt dosięgnął rufy galery. Kilka wiórów wzbilo się w powietrze. Jednak istotnie, pocisk nie wyrządził znaczniejszych szkód. Nie było widać, by jakieś wiosła wypadły z rytmu. Marynarze na górnym pokładzie na chwilę zwrócili głowy w stronę rufy, najpewniej zaskoczeni zdumiewającym zasięgiem bełtu, lecz po chwili wrócili do przygotowywania własnej broni.

– Słuchaj, kapitanie, szkoda tracić czas na wypuszczanie takich pocisków! – uzależnił się Rufias. – W ten sposób nie przedziurawimy ich kadłuba. Żeby to się udało, trzeba by trafić poniżej linii wodnej. Takim rozem możemy najwyżej zabić wioślarza...

Mimo to marudzący pirat usłuchał polecenia dowódcy i zmienił ustawienie zębatek. W tym samym czasie tuzin wioślarzy naciągał liny przymocowane do krzepkiej cięciwy. Gdy zapadka zaskoczyła, Rufias założył kolejny masywny bełt.

– Gotowe!

Conan odczekał, aż złowieszczą sylwetka nieprzyjacielskiej galery znajdzie się na linii strzału. Przy tak znacznej odległości od wroga nawet najdrobniejsze odchylenie dużo znaczyło. Czując dreszcz odrazy, Cymmerianin pociągnął za dźwignię.

Druga strzała poszybowała za nisko i wzbijała fontannę wody w połowie drogi do celu, lecz dzięki łasce Croma odbiła się od powierzchni i znów poleciała nad falami. Śmignawszy między wiosłami, wybiła dziurę w śródkręciu blisko linii zanurzenia. Na skutek nie trzeba było czekać. Wzdłuż całej burty nieprzyjacielskiej galery pióra wiosł zaczęły nieskładnie młócić powietrze. Statek stracił szybkość i przechylił się, a niespodziewana zmiana kursu powaliła stojących na pokładzie marynarzy. Po chwili rozległ się gwałtowny łomot i dudnienie. Na oczach piratów drewniany pokład wrogiego okrętu z trzaskiem dźwignął się w górę pod ciężarem czegoś, co napierało nań od środka.

Potwór przedziurawił pokład blisko dzioba. Była to olbrzymia, przypominająca owada istota o mnóstwie odnóży z licznymi stawami. Wiła się i szarpała jak przyszpilona gąsienica Gigantyczny krocionóg miażdżył własny statek, we wściekłych agonicznych drgawkach gruchocząc deski pokładu. Ludzkiej załodze nie pozostało nic innego, jak skakać za burtę.

– Widzisz, Rufiasie?! – powiedział z uśmiechem Conan, poklepując oszołomionego oficera po ramieniu. – Miałeś rację. Jeden pocisk na jednego wioślarza! – Gdy statek z miotającym się piekielnym stworem został za nimi, Cymmerianin dodał: – Dopilnuj, żeby balista była stale załadowana i gotowa do użycia. Crotalus na pewno podarował Turańczykom niejednego takiego potwora!

Stojący na dziobie „Nieustraszonego” Antulla i jego świta z uwagą obserwowali zniszczenia, będące dziełem Amry i jego piratów. Widzieli, jak trzy następne turańskie okręty zostały całkowicie wyłączone z boju. Hyrkańscy przyglądali się tej potyczce nieco z tyłu, gdyż trzon ich floty zwolnił z powodu zmiany kursu i nękających działań czterech nieprzyjacielskich galer.

– Pirackie łotrzyki radzą sobie lepiej niż my – poskarżył się Antulla – Szkoda, że nie utrzymali miejsca w szyku i oderwali się od nas.

– Cóż, straciliśmy do tego pory jeden okręt, a wróg pięć – powiedział Adi Bukbul i obejrzał się za siebie, gdzie z płonącej hyrkańskiej galery wzbijał się pióropusz dymu. – Trzeba do tego doliczyć pół tuzina jednostek, które zatrzymały się, by dokonać abordażu. Gdy tylko turańscy oficerowie zostaną ścięci, a załogi złożą przysięgę na wierność Hyrkanii, ruszymy dalej z większą liczbą statków niż

na początku.

– Wolałbym, by flota trzymała się razem – odrzekł wódz. – Ten sprytny atak na nasze skrzydło pozwolił wrogowi uniknąć ognistych kopuł Crotalusa – wskazał statek czarnoksiężnika, który pozostał za rufą. – Rozbiło to cały nasz szyk. Zostaliśmy zmuszeni do wleczenia się w rozciągniętej linii, podczas gdy z południa nadciąga coraz więcej nieprzyjacielskich okrętów! – drepcząc niespokojnie po pokładzie, wyciągnął szpicrutę i walnął nią w burtę. – Na Erlika! – warknął. – Byłbym spokojniejszy, gdybym miał pod sobą silną, rączą kłacz, niosącą mnie prosto na wroga! To czekanie, wieczne rozterki i dumanie sprawia, że walka na morzu jest nie do zniesienia!

– Turańczycy czekają na nas w większej trwodze, panie. – Adi Bukbul zwrócił głowę ku zaciągniętemu mgłą zachodowi. – Czy to tak bardzo różni się od ostatniej szarży na Zaporozan? I tu, i tam zostawiamy za sobą trupy.

– O nie – odparł wódz. – Na każdej z naszych galer znajduje się setka konnicy. – Antulla zawrócił w stronę masztu. – Chodź, trzeba wydać flocie rozkaz, by zwarła szyk...

Wtem rozległ się ogłuszający łoskot, po którym z wioślarskich ław zabrzmiały okrzyki bólu i grozy. Po pokładzie przetoczyły się jakieś skorupy i złowieszcze, wijące się kształty. Jeden z wioślarzy w butach do konnej jazdy klnąc szpetnie zaczął deptać coś, co wpełzło pod jego ławę. Tymczasem przy obu burtach zapanowało bezgraniczne zamieszanie.

– Te przekłete diabły wrzuciły nam na pokład garnek z węzami! – Adi Bukbul wyciągnął dłoń ku jednemu z małych turańskich żaglowców, któremu udało się błyskawicznie zbliżyć do hyrkańskiego okrętu flagowego. Nieprzyjacielska jednostka umykała teraz, manewrując między wpadającymi do wody pociskami i kierowanymi w jej stronę taranami.

Na pokładzie zaroilo się od wyskakujących z ław bosonogich wioślarzy, pierzchających z odrazą i przerażeniem przed kłębiącymi się na deskach żmijami i grzechotnikami. Niektórzy wili się w przedśmiertnych drgawkach, inni mamrotali i toczyli pianę, ogarnięci paraliżującym strachem. Wleczone przez statek opuszczone wiosła podskakiwały na wodzie. Wielki okręt stracił sterowność. Panika dotarła nawet do ładowni, skąd dobiegało pogłębiające chaos rżenie i łoskot kopyt przerażonych koni.

– Wiosłujcie dalej, niech was piekło pochłonie! – Antulla wymachując szpicrutą przyłączył się do rozwścieczonych oficerów, siłą zaprowadzających porządek wśród wystraszonych wioślarzy. – Patrzą na nas wszystkie statki floty! Te przekłete węże zabijają najwyżej po kilku ludzi, potem skończy im się jad!

Przywrócenie ładu wśród ogarniętych paniką wioślarzy było jednak niemożliwe. Podczas gdy pod pokład wysłano ludzi z mieczami, pałkami i pochodniami na polowanie na gady, okręt bezwładnie przetaczał się po falach. Tymczasem reszta jednostek pozbijała się w grupki, doszczętnie łamiąc szyk. Niektóre statki rzuciły się w pościg za nękającymi ich turańskimi galerami. Na barce Crotalusa podniesiono wiosła i statek maga zatrzymał się za rufą „Nieustraszonego”.

Po wielu minutach zamieszania i zwłoki, martwe gady wyrzucono za burtę, wraz z ciałami pokąsanymi na śmierć i zdeptanych w zamieszaniu wioślarzy. Pozostałych wtłoczono z powrotem na ławy, rozdzielono szczipione wiosła i wydano reszcie statków rozkaz powrotu do szyku. W chwilę później, gdy zaczęto na nowo wiosłować, nadszedł meldunek z bocianiego gniazda:

– Przed nami nieprzyjacielskie okręty, panie! Co najmniej dwadzieścia, płyną szybko i gromadzą się na południe stąd! – Przekazując wieści dowódcy, Adi Bukbul ocienił oczy i utkwiał wzrok w horyzoncie rozświetlonym przez słońce stojące wprost nad głowami. Jednak ze względu na nieprzeliczone żagle stłoczonej hyrkańskiej floty nie sposób było cokolwiek dostrzec.

– W takim razie czeka nas kolejna bitwa. Trzymać kurs prosto na zachód. – Antulla uniósł w górę dłoń, przyzywając boskie błogosławieństwo. – Z wolą Erlika zmieciemy nieprzyjaciela z powierzchni morza!

– Co wyprawiają te hyrkańskie dumie? – Conan utkwiał wzrok w gęstwinie okrętów i kłębach dymu, unoszących się nad obszarem bitwy na południowym zachodzie. „Bezlitosny” tymczasem płynął na zachód pod pełnymi żaglami. – Przełamaliśmy dla nich turańską linię i stworzyliśmy im drogę do Aghrapur! Gdyby tylko utrzymali kurs i zmiotli te parę nędznych galer, zwycięstwo należałoby do nas!

– Nieprzyjacielskie okręty zbierają się jak sępy – powiedziała Philiope wskazując rzadkie grupy żagli na północ i południe od nich. – Wkrótce zamkną

drogę Hyrkańczykom.

– Popatrzcie, turańskie żaglowce holują galery z taranami. – Santhindrissa, która przepłynęła łodzią na „Bezlitosnego”, wskazała znacznie oddalony, halsujący trójmasztowiec. Tuż za nim podążała pozbawiona masztów ciężka galera. – W ten sposób uda im się dwukrotnie szybciej wzmocnić obronę.

– Czekaj nas jeszcze więcej kłopotów. – Conan obejrzał się na marudzących z tyłu Hyrkańczyków i zirytowany zmarszczył brwi. – Powinniśmy się zastanowić, czy nie zawrócić i nie pomóc im wydostać z tego bagna!

– Nie możemy zaatakować Turanu o własnych siłach – powiedziała Santhindrissa. – A jeśli się wycofamy, będzie to zmaza na pirackim honorze.

– Owszem – mruknął kwaśno Conan. – Zależy nam, żeby Antulla żył tak długo, by wypłacić nam nagrodę za zatopione okręty – potrząsnął z powątpiewaniem czarną grzywą. – Wcale nie podoba mi się to, jak rozwija się ta bitwa.

Po naradzie kapitanowie przekazali decyzję załodze „Bezlitosnego”. Zachęceni dotychczasowymi zwycięstwami piraci, liczący na bogate łupy, hałaśliwie wyrazili chęć pozostania przy Hyrkańczykach. Ich krzyk: „Za Amrę i zwycięstwo Czerwonego Bractwa!” poniósł się po wodzie, błyskawicznie docierając do pozostałych okrętów floty.

#### XIV

#### BITEWNY DYM

Conan wydał rozkaz, by przygotowano pokład do bitwy w bezpośrednim zwarciu z nieprzyjacielem. Zwinięto żagle i wraz z takielunkiem złożono je pod pokładem. Pozostawiono tylko maszty. Było mało prawdopodobne, że olbrzymi okręt flagowy zostanie staranowany lub zatrzymany przez wroga na tyle gwałtownie, że wielkie drzewca runą na głowy załogi.

Gdy piracka flota wykonała zwrot na południe, wielu hyrkańskich kapitanów poleciło rozpocząć podobne przygotowania, chociaż większość okrętów pozostała pod żaglami. Zbyt ciasny szyk Hyrkańczyków był wyjątkowo niedogodny dla tak dużych i obciążonych jednostek. Conan zdecydował, że poprawi położenie sojuszników przez atak na rząd niewielkich turańskich galer, które uniemożliwiały rozluźnienie hyrkańskiej formacji przez nieustanne nękanie jej pociskami zapalającymi i próbami taranowania.

Turańscy zbyt późno spostrzegli, że piraci wykonują zwrot na nich. Okazało się, że brakuje im szybkości i siły, by uciec przez malejącą lukę. W konsekwencji poniewczasie podjęli próbę stawienia czoła nowemu zagrożeniu, ale prędkość ich jednostek była wciąż jeszcze wystarczająca do taranowania.

Przedni szereg pirackich statków stał się obecnie tylnym. Wysunięty najdalej na południe „Bezlitosny” był pierwszym, który starł się z nieprzyjacielem. Conan wybrał największą wrogą jednostkę – długi, niski dwurzędowiec w środku turańskiej eskadry. Nakazawszy podwoić tempo wiosłowania na lewej burcie, Cymmerianin rażo zaczął pracować razem z innymi wiosłarzami.

Dziób okrętu skreślił powoli i statecznie. „Bezlitosny” majestatycznie dotarł do celu. Jego taran gładko wbił się między miotające się wiosła przeciwnika.

Zapanowało istne pandemonium. Staranowana turańska galera przechyliła się, a jej dziób podskoczył w górę. Tych, których impet uderzenia wyrzucił za burtę, przykryła dźwigająca się gniewna kurtyna morza. Część wiosł została gładko utracona, inne, wbite do wewnątrz, zamieniały się w śmiercionośne włócznie. Tymczasem drażący kadłub taran „Bezlitosnego” zmienił kierunek, miażdżąc ławy wiosłarzy, deski pokładów oraz ludzi, którzy znaleźli się na jego drodze. Zgiełk na skazanym na zagładę okręcie urósł do piekielnego szczytu i szybko opadł do chóru błagalnych jęków i ponurych przekleństw tych, którzy pozostali przy życiu.

Po chwili wszystko się powtórzyło się, gdy jedna z hyrkańskich galer uderzyła w uszkodzony dwurzędowiec od strony rufy.

Conan czuł pod stopami dygotanie desek pokładu, podczas gdy kadłub turańskiego statku gwałtownie się trzeszczał, druzgotany bezlitośnie przez dwa tarany. Drewno i ludzkie ciała zostały zmielone na jedną masę. Liczba ofiar, zarówno tych, którzy zginęli na pokładzie, jak i za burtą, musiała być ogromna, mimo to groźba, że Turańscy dokonają abordażu, wciąż rosła. Conan zastanowił się, jakie szkody może wyrządzić „Bezlitosnemu” ściągający go w dół, nabity na taran wrak.

– Wszystkie wiosła w tył! – krzyknął Cymmerianin. – Nie wolno nam ugrzęznąć w tym tonącym wraku! Turańcykom marzy się skok na nasz pokład, żeby się wysuszyć!

Wiosła wstecz, zdwoić prędkość! Raz! Raz!

Wioślarze utrzymywali szybkie tempo przez dłuższą chwilę, jednak nie nastąpiła żadna zmiana pozycji „Bezlitosnego”.

– Dosyć! Odpoczynek! – warknął w końcu Conan. – Ugrzęźliśmy! Dziesięciu ludzi do mnie! Schodzimy na Turańczyka! Musimy odczepić się od tego wraku albo porzucić go na kawałki, jeśli będzie trzeba. Łucznicy, zajmijcie pozycje przy burtach, będziecie osłaniać! Ruszać się, nie możemy przesiedzieć tu całej bitwy!

Dookoła jak okiem sięgnąć widać było płonące i unoszące się tuż pod powierzchnią okręty Turańczyków. Inne pirackie jednostki również z powodzeniem taranowały wroga. Wśród nich były galery Santhindrissy i Ferdinalda, które za cel obrały jeden dwurzędowiec. Z pokładu turańskiego okrętu niósł się szczyk stali i widać było błyskanie ostrzy marynarskich kordów. Conan ocenił, że ze względu na stosunek sił walka nie potrwa długo.

Jeden czy dwa pirackie statki wycofywały się od przedziurawionych przeciwników. Z nadbudówki nie można było dostrzec, czy któryś z pirackich okrętów ugrzązł tak samo jak „Bezlitosny” lub został staranowany. Maszty statków zlewały się w dali w jeden las. Na dodatek Hyrkańczycy wpływali między pirackie okręty, by rozluźnić swój szyk. Pod niebem rozsnuwał się coraz gęstszy dym z płonących statków. Tych burych, zawieszonych pióropuszy nie był w stanie rozegnać nawet wiatr.

Wiatr... Podniósłszy wzrok na żagle najbliższego hyrkańskiego okrętu, Conan dostrzegł, że ledwie łopocą na masztach.

– Popatrz, Philiope! Zapada cisza morska!

– Może Crotalus powstrzymał wiatr, by opóźnić zbliżanie się turańskiej floty?  
– odparła dziewczyna

– Jeśli tak, zbyt długo zwlekał.

Conan wskazał na zachód. Turańskie dwurzędowce, pozbawione już asysty żaglowców, na południe i północ od miejsca bitwy formowały nowe linie. Hyrkańska flota, wykorzystując chwilę spokoju, rozwijała szyk, płynąc na ich spotkanie.

– Kapitanie – dobiegł głos z bocianiego gniazda – nasza flota jest w dobrym stanie. Zniszczono pięć statków wroga, na dwa dokonano abordażu i zajęto je. Statek Brylith zapalił się, ale ugaszono ogień.

– Doskonale! Przekazać rozkaz odtworzenia szyku na zachód stąd. – Conan spojrzawszy na przedziurawioną turańską biremę, na której śródokręciu tłoczyli się pozostali przy życiu członkowie załogi. Było ich zbyt wielu, by można było wysłać na dół grupę cieśli. Po chwili przeniósł wzrok na statek sprzymierzeńców, który również ugrzązł po przeciwnej stronie wraku. Hyrkańczycy nie kwapili się do wysłania oddziałów abordażowych na pokład biremy.

– Niech zaraza wydusi tych Hyrkańczyków! – zaklął. – Wbili ten wrak jeszcze głębiej na nasz taran! Teraz pewnie myślą, że oddamy im połowę nagrody za jego zatopienie! Jesteśmy zupełnie bezradni! – kolejnymi przekleństwami barbarzyńca skomentował nagły brak wiatru i fal, które pomogłyby im się uwolnić. W tym momencie Hyrkańczycy postanowili wiosłować z całych sił, by wyrwać z wraku swój taran. Conan również zdecydował się podjąć jeszcze jedną próbę.

– Wszyscy wiosłarze na stanowiska! – rozkazał. – Gotowi?! Wiosłować wstecz z podwójną szybkością! Ciągnijcie, psy, zanim dotrą do nas nowi wrogowie!

W wyniku połączonych wysiłków obu osad wiosłarskich, wrak nieprzyjacielskiego statku ze skrzypem skręcił się na wodzie. W chwilę później nastąpiło oczekiwane uniesienie pokładu „Bezlitosnego”, gdy jego taran się uwolnił. Równocześnie rozbitkowie na pokładzie biremy wydali rozpaczliwe wrzaski, gdy pokład pod ich nogami przechylił się i zapadł pod powierzchnię. Conan spodziewał się, że drewniany wrak nie zatoni, lecz nie sądził, by nad wodą zostało coś więcej niż nadburcia i kasztel rufowy.

Conan nie czekał, by stwierdzić, czy Hyrkańczykom również udało oderwać się od wraku. Nakazawszy wiosłarzom wzmożenie wysiłków, polecił wykonać zwrot na północny zachód i płynąć prosto przed siebie. „Bezlitosny” dołączył do pozostałych pirackich okrętów, które rozwijały nową linię na północnej flance hyrkańskiej floty.

Bitewny dym zdawał się podążać za okrętami, zasnuwał popołudniowe słońce i zamazywał szczegóły w oddali. Przez jakiś czas piracki okręt flagowy płynął w gąszczu bezimiennych hyrkańskich statków. Ich załogi pozdrawiały „Bezlitosnego” entuzjastycznymi okrzykami. Bliskość solidnego trójpokładowca niewątpliwie dodawała im otuchy. Conan odpowiadał na ich pozdrowienia, w duchu zastanawiając się, na ile będzie można polegać na świeżo upieczonych kapitanach w następnej

fazie bitwy.

Nieco dalej, pomiędzy masztami najbliższych sąsiadów, majaczył kadłub wielkiego statku Crotalusa. Conanowi nie podobała się jego bliskość.

Gdzieś z południa, zza opończy dymu i zasłaniających scenerię bitwy kadłubów, rozległ się łoskot, trzaskanie drewna i chór przerażonych okrzyków. Bitwa rozpoczęła się na dobre.

Pociągnawszy Conana za ramię, Philiope wskazała mu ogień, wzbijający się wysoko nad masztami. Czarne pasma dymu kreśliły łuki na niebie – to katapulty wyrzucały ładunki zapalające. Wróg znalazł się w zasięgu strzału „Bezlitosnego”. Conan nakazał przygotować maszyny wojenne.

Opończa dymu raptownie zgęstniała. Żółto-czarne płomienie ogarnęły najbliższy hyrkański dwurzędowiec. Widać było, że część załogi czerpie morską wodę, z nikłym powodzeniem starając się ugasić pożar. Tłoczący się przy burtach prawie nadzy wiosłarze zaczęli już skakać lub spadać, spychani przez towarzyszy, do morza.

– Wciągnąć wiosła na lewej burcie! – zawołał Cymmerianin. – Zabieramy wiosłarzy na pokład, przyda się nam parę rąk na zmianę. Uważać na ogień!

Rozbitkowie gorliwie wyroili się na pokład „Bezlitosnego”, skacząc z nadburcia mniejszego statku lub wyłaząc po linach z wody. Byli to przeważnie niscy Zaporozanie, zadzierzyści wojownicy, siłą zmuszeni do niewolniczej harówki. Zastąpili część piratów przy wiosłach, dzięki czemu wzrosła siła oddziałów abordażowych.

Gdy piracki okręt odbijał od płonącego wraku, bitewny dym całkowicie zasnuł nieboskłon. „Bezlitosny” wykonał zwrot w wąski prześwit między wiosłującymi i dryfującymi jednostkami. Piracka flota z grubsza utrzymywała szyk. Birema Hrandulfa minęła statek Conana, gdy brano rozbitkówna pokład, lecz wkrótce zniknęła wśród gnanego po powierzchni morza dymu. Za rufą „Bezlitosnego” przepłynęła następnie osmalona ogniem galera Brylith.

Turańczycy nie mogli być daleko. Chłopot wiosła i łoskot bębnow dobiegał za zasłony dymu przed dziobem. Co jakiś czas rozlegał się dudniący łomot, po którym następowały rozpaczliwe krzyki i wściekłe szczekanie broni, gdy atakujący przeskakiwali na pokład przeciwnika. Opończa dymu podniosła się na chwilę, ukazując dwa szczipione ze sobą okręty, wlokące bezużyteczne wiosła. Na ich pokładach wrzała zacięta walka. Żaden statek nie należał do pirackiej floty. W chwilę później koło dwóch okrętów wyhamował trzeci. Z jego nadbudówki dobiegały wydawane po hyrkańsku gromkie rozkazy. Conan stwierdził, że potyczka zakończy się zwycięstwem sojuszników, dlatego też nie wydał rozkazu zmiany kursu.

Chwilę potem zza rzedającego dymu wyłonił się dziób kolejnego turańskiego okrętu. Conan stwierdził, że tak jak „Bezlitosny” jest to okręt o trzech rzędach wiosła. Prawdopodobnie była to bliźniacza jednostka z tej samej stoczni.

– Wiosła cała naprzód! – rozkazał natychmiast Cymmerianin. Turańczyk znalazł się przed dziobem „Bezlitosnego”, po czym długa burta z rzędami młócących wodę wiosła przesunęła się w prawo. Conan nakazał zwrot, by podążyć za nieprzyjacielem. Zanurzono się w kłębach dymu. Niektórzy oficerowie na pokładzie wrogiego okrętu musieli już wypatrzeć swoich prześladowców. Niewykluczone nawet, że poznali statek i również podjęli polowanie.

– Pół tempa na obu burtach! Bocianie gniazdo, meldować o wszystkim! – sterując na oślep w kłębach dymu, Conan liczył na to, że piraci na dziobie dostrzegą wszelkie przeszkody na długo przed nim.

– Przed dziobem czysto! – zawołał majtek z bocianiego gniazda. Chwilę później wrzasnął: – Przed nami okręt nieprzyjaciela! Rusza do taranowania!

Równocześnie dotarły do nich zwiastujące atak odgłosy, gwałtowne łomotanie w bęben, spieszne bicie wiosła o wodę. Jeśli Conan chciał dopaść wrogi okręt, musiał się pośpieszyć.

– Cała naprzód, do taranowania! – krzyknął do wiosłarzy, wciąż sterując na oślep.

Szybki skok „Bezlitosnego” do przodu sprawił, że dym został z tyłu. Nieprzyjacielski okręt wyłonił się nieco z prawej. Wielki trójrzędowiec nabierał szybkości, by wbić się w galerę Hrandulfa, która właśnie bezskutecznie usiłowała oderwać się od staranowanej turańskiej biremy. Wódz morskich plemion nakazał na czas wciągnąć na pokład wiosła, dzięki czemu zmniejszył nieco zniszczenia, jednak nie sposób było powstrzymać taran olbrzymiego okrętu, rozdzierający śródokręcie i przygniatający piracką galerę do wraku, z którym była szczipiona.

Gdy „Bezlitosny” dotarł do trzech statków, wioślarze trójrzędowca pracowali już, by odbić od podziurawionych statków. Zapewne w pierwszej chwili na jego pokładzie sądzono, że nadciąga pomoc. Dopiero gdy stało się jasne, że bliźniaczy okręt nie zamierza wyhamować, na nadbudówce wrogiego statku rozległy się ostrzegawcze okrzyki. Piracki okręt flagowy z druzgocącym impetem wbił się w kadłub turańskiego kolosa, rozdzierając poszycie potężnym taranem. Zapanowało nieopisane zamieszanie.

– Na nich! – krzyknął Conan, nim ucichł zgiełk. – Do broni! Nauczmy cesarskich chłystków kilku sztuczek z kordami! Pokażcie im, jak czysto ciąć i siekać! Naprzód, na ratunek Hrandulfowi, na chwałę Bractwa!

Piraci bez wahania chwycili za broń, stłoczyli się przy burtach i skacząc na pokład rufowy galery, runęli na Turańczyków z mrozącymi krew w żyłach okrzykami. Zaskoczeni cesarscy oficerowie i marynarze zostali wkrótce rozniesieni na ostrzach. Do czasu, nim Conan nadbiegł od rufy i przeskoczył przez burtę, pokład był zasłany trupami. Piraci zaczęli już obdzierać poległych Turańczyków z kosztowności i broni. Cymmerianin przedarł się przez ciżbę piratów na śródokręcie. Tu napastnikom stawiała opór falanga piechoty morskiej.

Turańczycy walczyli mężnie i skutecznie. Zatarasowali pokład od burty do burty, a poległych zastępowali wciąż nowi żołnierze. obrońcy skazani byli jednak na walkę na dwa fronty, bowiem rozwścieczona załoga Hrandulfa wyroiła się na pokład turańskiego okrętu i zapanowała nad dziobem galery. Na śródokręciu trwała wyjątkowo zajadła rąbanina na kordy, szable, miecze i topory.

– Dość tej szermierki! – wybuchnął Conan widząc, że szereg Turańczyków stoi pewnie jak mur. – Mamy tańczyć przed nimi w nieskończoność, bo wystroili się w piękne czerwone peleryny?!

Skoczył do masztu górującego nad pozycjami obrońców i wspiał się na niego. Na górze odrąbał jedną z lin, owinał sobie odcięty koniec wokół ramienia, rozkołysał i runął na wrogów. Ładując wśród piechoty morskiej, błyskawicznie poderwał się na nogi, wymachując kordem.

Walka była krótka, ale zażarta. Conan wyprowadzał sztychy i parował ciosy. Jaskrawe ostrze jego broni śmigало, malując kończyny, brzuchy i gardła ociekającymi szkarłatem krechami. Prawie nagi wódz piratów w cienkich pantalonach i marynarskich butach poruszał się jak baletmistrz między błyskającymi wokół niego klingami szabel. Rzucił się na wrogów, podstawił im nogi i odpychał od siebie wprost pod wymierzone w niewłaściwą stronę ostrza ich towarzyszy. Gdy przeciwnicy atakowali go w jednym miejscu, jego już tam nie było. Przewidywał ich posunięcia ze sprytem i zręcznością górskiego kota. Turańczycy padali dookoła niego jak skoszone kłosa pszenicy.

Tymczasem piraci z wrzaskiem wdarli się w zrobioną przez Conana wyrwę w szyku, spychając żołnierzy na boki. Na pokładzie wybuchła rzeź, której towarzyszyły agoniczne krzyki, wściekłe przekleństwa i okropny, nieustanny łomot unoszących się i opadających ostrzy. W końcu zapanowała złowieszcza cisza, która po chwili wypełniły tryumfalne krzyki piratów.

Najwyższy pokład należał do nich. Wioślarze z niedobitkami żołnierzy skryli się pod nim. Ludzie Hrandulfa zaczęli plądrować dziób, lecz wkrótce Conan usłyszał, że wódz przywołuje ich do siebie, by pomogli swoim towarzyszom w walce, którą wciąż toczono z załogą pierwszego staranowanego okrętu.

Cymmerianin postanowił wspomóc go, jeśli okaże się to niezbędne. Uszkodzony trójpokładowiec stanowił marną zdobycz. Było jednak prawdopodobne, że uda się załatać biremę Hrandulfa i odpłynąć nią, o ile uda się obronić ją przed abordażem nieprzyjaciela.

Turański okręt nie zanurzył się głęboko, bez wątplenia dlatego, że wciąż tkwił na taranie „Bezlitosnego”. Czując drżenie pokładu, Cymmerianin obejrzał się i ze zgrozą stwierdził, że w ich stronę zmierza szybko jeszcze jeden potężny trójrzędowiec. Na taranującym turańskim okręcie wciągnięto już wiosła na pokład. Conanowi zostało przyglądać się bezczynnie, jak taran napastnika wbija się w rufę „Bezlitosnego” rozrywając poszycie z przeraźliwym hukiem.

Blisko dziobu nieprzyjacielskiego okrętu ustawiono ruchomy pomost podtrzymywany przez sięgające masztu liny. Trap kończył się ciężkim spiżowym hakiem przypominającym wroni dziób. Teraz pomost opadł z łoskotem, a jego hak wbił się głęboko w pokład „Bezlitosnego”.

Conan zrozumiał, na czym polegał turański plan powstrzymania nieprzyjacielskiej floty. Skoro nie można było staranować lub podpalić wszystkich wrogich okrętów, należało zdobyć je abordażem, zmuszając Hyrkańczyków

do nielubianej przez nich walki pieszo.

Była to śmiała taktyka, lecz Conan nie zamierzał dopuścić do jej powodzenia. „Bezlitosny” należał do niego, a Philiope została na jego pokładzie. Gdy szarża cesarskiej piechoty przetoczyła się po nabijanym ćwiekami trapie, Cymmerianin ruszył na nich, wołając:

– Do mnie piraci! Nasz okręt flagowy został zaatakowany. To nasze jedyne schronienie! Rzućcie łupy i brońcie swojego statku! Wyłaźcie, wilki, i wyrzńcie wrogów w pień! Za Amre i Czerwone Bractwo!

Chwilę później jego krzyki zginęły wśród szczyku żelaza. Piraci zaatakowali nieprzyjaciela, który wdarł się na pokład. Cesarscy żołnierze liczyli na łatwe zwycięstwo, lecz ludzi Conana ogarnęła desperacja i furia. W zalewających morze szkarłatnych promieniach zachodzącego słońca rozgorzała nie kończąca się walka.

XV

KSIEŹYC CZARNOKSIEŻNIKA

– Powiedz mi, kuzynie... czy to zachód słońca, czy płonie nasza flota?

Oparty o maszt ushikagan Antulla mówił ledwie słyszalnym głosem. Jego pierś przeszła strzała nieprzyjacielskiego łucznika. Okręt flagowy, aczkolwiek staranowany od dziobu i rufy, wciąż znajdował się pod hyrkańską komendą. Niedoszłym najeźdźcom udało się nie dopuścić do abordażu.

– I to, i to, panie – odpowiedział ostrożnie Adi Bukbul. Jedyne on klęczał przy swoim umierającym władcy, starając się dodać mu ducha. – Na pewno jeszcze tej nocy wywalczymy dla Hyrkanii wielkie zwycięstwo! Te z nieprzyjacielskich okrętów, które jeszcze nie płoną, zostały w większości staranowane i zdobyte. Nieliczne jeszcze się bronią.

– Tak samo jak nasze – odpowiedział Antulla, obdarzając swojego krewnego bładym uśmiechem. – Nie staraj się mnie zwieść, stary przyjacielu! Prawda jest taka, że nasz atak został powstrzymany daleko od brzegu. Nie zostanie nam dosyć statków, by zdobyć turańskie plaże.

– Nie, panie. Nasza flota trzyma się dzielnie – niski dyplomata spojrział na podświetlone przez zachodzące słońce, zasnuwane dymem kłębowisko pokiereszowanych i płonących galer, rozciągających się po horyzont po obu stronach okrętu flagowego. – Gdyby tylko udało nam się przełamać ten impas... – w jego głosie wezbrała gorzycz.

– Hyrkańczycy to najlepsi wojownicy na świecie! – przypomniał mu wódz.

– Tak, to prawda. Nikt nie może równać się z naszą konnicą! A co z magiczną osłoną, którą obiecał nam Crotalus? – Adi Bukbul popatrzył za rufę, gdzie wśród szczepionych ze sobą okrętów utkwiał unieruchomiony statek czarnoksiężnika. Pokład był pusty. Załoga okrętu Crotalusa toczyła walki na sąsiednich jednostkach. – Magiczny wiatr, który przywołał Zembabwańczyk, byśmy dotarli do turańskich brzegów, zamarł. Jego ogniste pęcherze wyrzadziły co prawda przeciwnikowi sporo szkód, lecz od tej pory Crotalus nie rzucił żadnych nowych czarów.

– Być może czarnoksiężnik czeka na zapadnięcie nocy, by rzucić swe najpotężniejsze zaklęcia – mruknął słabym głosem Antulla, osuwając się coraz prędzej w ramiona śmierci. – Miej wiarę, kuzynie. Zwycięzimy.

– Przez twe usta przemawia prawda, wodzu – odpowiedział stepowy jeździec, podtrzymując barki wodza. – Mamy najlepsze statki, konie i ludzi! Wszyscy pragną zwycięstwa. Musi się znaleźć sposób...

Gdy zapadała noc, skulony przy burcie Conan wyczekiwał kolejnego ataku. Ogarnięci bitewnym szaleńcem piraci zdołali wyprzeć Turańczyków z pokładu „Bezlitosnego”. W czasie walki Philiope wrzeszczała i wymachiwała kordem równie dzielnie jak pozostali członkowie załogi.

Podnieceni zwycięstwem łupieżcy dwukrotnie wdarli się po trapie na pokład nieprzyjacielskiego okrętu. Dwukrotnie jednak zostali zepchnięci z powrotem gwałtownymi kontratakami piechoty morskiej. Na dodatek staranowany przez „Bezlitosnego”, tonący turański trójrzędowiec stał się źródłem zdesperowanych wojowników, którzy wciąż zajmowali miejsce poległych Turańczyków.

– Nie wiem, co może być gorszego od tej jałowej rzezi bez końca – szlochała Philiope na ramieniu Conana. – W tej piekielnej pustyni płonących okrętów próbujemy zabić ich, oni starają się zabić nas, ale po co?

Pocieszając ją, Conan czuł, że również jego pewność siebie słabnie. Wspaniała popołudniowa morska bitwa zamieniła się w opętańczą jatkę w ciemnościach. Dwie



dumne floty znalazły się w krwawym impasie. Każdy okręt walczył o przeżycie w wąłym świetle płonących wraków. Sczepione ze sobą, ogarnięte krwawą furia statki dryfowały bez celu. Połowa załóg wyrzynała się na pokładach, a druga połowa kryła się z przerażeniem w ładowniach lub zatykała dziury. W mroku nadciągający ukradkiem przeciwnicy byli niemal niewidzialni. Pożary były albo zbyt odległe, albo buchające żarłoczne płomienie oślepiały każdego, kto znalazł się zbyt blisko. Nie było księżycy ani nadziei, że pojawi się tej nocy. Zaplanowano, że hyrkańska inwazja odbędzie się podczas nowiu. Wiedząc to, Conan poczuł niesamowity dreszcz, gdy ujrzał księżyc w pełni, wynurzający się nad flotą na wschodzie.

Był to dziwny, żółtawy księżyc. Jego kontury drżały, gdy szybował leniwie nad masztami i chmurami dymu. Posępny, chorobliwie żółty krąg podkreślał złowroga czerń nocy. Nie tylko Conan go dostrzegł.

– To najgorszy zły znak, jaki w życiu widziałem! – rozległ się lękliwy głos w pobliżu.

– Księżyc wiem! Dlaczego go widzimy, skoro wszędzie pełno dymu?

– Dosyć, psy! To oszukańcza sztuczka czarnoksiężnika! – Zaniepokojony zabobonną trwogą piratów Conan uniósł głos, by ich uciszyć. – Widzicie? Wzbił się nad statkiem Crotalusa! Czarownik wypuścił jeszcze jeden ognisty wór. To płomienie z podwieszonego pod nim kosza przeświecają przez tkaninę! To żaden znak od bogów!

– Fałszywy księżyc – rozległo się szemranie stropionych głosów. – Ale co czarnoksiężnik chce zrobić z jego pomocą?

– Najpewniej chce nam dać więcej światła do walki – starając się rozproszyć lęk piratów, Conan silił się na rozsądny ton. – Pamiętajcie, że Crotalus jest teraz naszym sprzymierzeńcem.

– Nie zgadzam się, kapitanie! – rozległ się piskliwy głos starego Yorkina spod masztu. – Ten magik jest nieprzyjacielem naszego Bractwa! Nie podoba mi się ten wyczarowany księżyc! Założę się, że przyciągnie duchy...

– Bzdury, stara paplo! – Conan nie miał ochoty besztać czcigodnego pirackiego kapłana, lecz potrzeba pilnego zapanowania nad załogą przeważała. – Jeśli naprawdę myślisz, że potępione duchy wynurzą się z głębin na widok latającego wora, to jesteś jeszcze ciemniejszy, niż myślałem!

– Posłuchaj, kapitanie! Powinieneś okazać więcej szacunku wiekowemu mędrcom...

Protesty piratów uciał łomot stóp po trapie. Zza burty turańskiego okrętu wychynęła nowa fala przeciwników. Conan wskoczył na trap, podczas gdy jego załoga rzuciła się, by odpierać napastników wzdłuż burt.

Znów rozgorzała krwawa walka, lecz blask dziwnego księżycy istotnie zdawał się sprzyjać piratom. Odparłszy Turańczyków, zdołali wdrzeć się po trupach na pokład ich okrętu. Impet kontrataku sprawił, że piraci dotarli do przeciwległej burty i dalej, aż do rufowej nadbudówki.

Nie było pewne, czy wrogowie zginęli, czy pierzchnęli w ciemności. W pobliżu majaczyły dwie staranowane galery, na które można było z łatwością przeskoczyć. Jedna z nich musiała znajdować się w turańskich rękach. Trudno było stwierdzić która.

– Nie warto ścigać ich dalej – orzekł Conan, zwracając się do najbardziej hardej grupki, która dotarła z nim do tego miejsca. – Moglibyśmy zostać odcięci od własnego statku. – Poskrobał końcem kordu pokład pod stopami. – Powinniśmy wreszcie porozdzielać te wraki. To uniemożliwi Turańczykom podkradanie się do nas. Najlepiej byłoby zatopić któryś z tych trójrzędowców.

– Na pewno utrzymały się na powierzchni – stwierdził Hrandulf. – Nie mamy szans zatopić go bez balastu.

– Jednak tak zrobimy. Od czegoś musimy zacząć uwalnianie „Bezlitosnego” z tego bałaganu – wskazał turański okręt przy burcie. W otworach dulek było widać twarze obserwujących ich, wystraszonych wioślarzy. Cymmerianin zauważył przelewającą się po pokładzie krzepnącą krew. – Chodźcie, wyciągniemy stamtąd tych nieszczęśników i powiemy im, że są teraz piratami! Potem każemy im rozczepić okręty.

– Kapitanie, tam coś widać! – jeden z piratów cofnął się od burty jak spłoszony kot. W jego głosie pobrzmiwała wysoka nuta strachu. Philiope uczepliła się ramienia Conana, lecz Cymmerianin strząsnął jej rękę i podszedł do przerażonego pirata.

– Bzdury pleciesz. Co mógłbyś zobaczyć okropniejszego niż dzisiejsze dzieło własnych rąk? Idziemy! Czas zająć się naszymi sprawami.

– Nie, kapitanie, naprawdę widziałem czyjaś twarz! Gapiła się na mnie spod powierzchni! Miała taki dziwny wyraz... Na pewno nie mógł to być nikt żywy!

– Zobaczyłeś własne odbicie, to wszystko! – Udając obojętność Conan podszedł do burty. – Własną głowę albo trupa! Crom mi świadkiem, że jest ich więcej, niż rekiny zdołają zjeść w ciągu dnia!

Powiódł wzrokiem po spokojnym morzu pokrytym osmalonymi i okrwawionymi belkami i deskami. Widok był ponury, gdyż w drobniutkich falach przeglądał się okrągły niby-księżyc Crotalusa.

– To nie było odbicie, kapitanie! – jęknął pirat – Poznałem tę twarz. To był Zaghar, któremu byłem winien pieniądze, kiedy stracił życie. Miał głowę obrócona w tył, jakby ktoś mu ją przekręcił...

Pirat przebierał nerwowo palcami po gardle. Był najwyraźniej na skraju paniki. Wzmianka o shemickim piracie, dawno temu pozbawionym głowy przez pocisk z katapulty, poruszyła pozostałych morskich grabieżców. Trudy nie kończącej się walki, do której nie byli przyzwyczajeni, dały o sobie znać. Mający w górze fałszywy miesiąc bynajmniej nie przyczyniał się do uśmierzenia narastającego przerażenia.

– Daj spokój, Ogdusie! – rzekł łagodnie Conan. – Wracajmy na pokład, napijesz się kapkę rumu i od razu miną ci te złudne majaki.

Uspokojeni nieco piraci zabrali się do rozdzielania okrętów. Potem patrzyli, jak zdemolowany trójrzędowiec zanurza się powoli, by wreszcie zmienić się w upiorną sylwetkę, majacząca tuż pod powierzchnią morza. Na koniec ruszyli na „Bezlitosnego”, stąpając po śliskich od krwi, zawalonych trupami deskach pokładu.

– Jeśli zaczepimy liny o reje i użyjemy bloczków, powinniśmy oderwać ten przeklęty trap. Ale co to takiego? – Conan stanął jak wryty, gdy przy burcie pojawił się słaniający ciemny kształt. – Zdawało mi się, że wszyscy ranni zostali odesłani na dół...

– Ranni tak – odezwał się gruby, gardłowy głos. – Martwi też. Wielu ludzi posłałeś w dół, o Amro z Zachodniego Wybrzeża!

– Kim jesteś, że znasz moje imię? – Conan ruszył w stronę niewyraźnie majaczącej postaci. – Jeszcze jednym cesarskim szpiegiem? – Zmrużywszy oczy, ujrzał w padającym zza rufy świetle fałszywego księżyca puciołowatą, poznaczoną bliznami twarz mężczyzny, którego włosy i ubranie ociekało wodą, jakby właśnie przelazł przez burtę. – Nie pamiętam, gdzie cię widziałem.

– Możesz mnie nie znać, ale mnie zamordowałeś! – odpowiedział mu chrapliwy, bulgoczący głos. – Zwałem się Garfalk z Yaralet. Tak jak ty byłem kapitanem piratów... Dopóki twój gadający słodko morderca nie zarabiał mnie jak psa!

Wychodząc z cienia, intruz rozsunał poły koszuli, po czym gestem dłoni wskazał krzyżujące się na piersiach rany o bladych brzegach. Niżej znajdowały się rękojeści sztyletu i kordu zatkniętych za szeroki pas. Conan poczuł, jak włosy stają mu dęba.

– A więc jesteś upiorem – powiedział. – Bezcielesnym majakiem albo złośliwym diabłem! – Wyciągnąwszy swój kord, zastawił się nim. – Ostrzegam cię jednak, demonie, nurkuj na dno morza i nie nawiedzaj mnie więcej, bo jeszcze nie widziałem takiej mary ani potwora z zaświatów, którego nie można rozharatać uczciwą stalą!

– Tak samo jest z żywym ciałem – odpowiedział zmartwychwstały Garfalk. Dobywszy kordu, odłupał z burty długi, blady wiór. – Rzekłbym nawet, że po śmierci tnie się je o wiele szybciej i łatwiej niż za życia. Szkoda, że ciebie nie spotka nic gorszego niż śmierć – którą ja mam już za sobą...

– Tak jak ja – zaskrzeczała druga ociekająca wodą sylwetka, która weszła na pokład blisko wystraszonego Hrandulfa. – Nie bój się śmierci, Hrandulfie Bratobójco, Wodzu Morskich Zdrajców!

– I ja, łupieżco zmarłych, bez czci i honoru! – trzeci, nasiąknięty wodą truposz wciągnął się na burtę i wciąż bulgocząc, stanął przed sparaliżowanym z przerażenia Ogdusem.

Za życia był to Zaghar Shemita. Jego głowa istotnie nie trzymała się pewnie na karku.

– Więc gińcie raz jeszcze, skoro przyszła wam na to ochota!

Nim zdążyli pojawić się kolejni zmartwychwstańcy, Conan zaatakował Garfalka, mierząc w dziurę ziejącą w piersi martwego pirata. Ostrze trafiło w cel, jednak ugrzęzło płytko w ciele, które okazało się twarde jak rzemień. Cymmerianin z trudem zdołał wyszarpnąć klingę. Zwłoka omal nie kosztowała go prawą rękę. Kord

martwego pirata śmignął z niesamowitą szybkością i w ostatnim momencie ze szczękiem zderzył się z bronią Amry. Odgłos dzwiczającej stali powtórzył się po bokach Conana. To Hrandulf, a potem Ogdus dobyli broni i stawili czoło upiornym przeciwnikom.

– Widzisz? Uczciwa walka z Garfalkiem z Yaralet jest bardziej ryzykowna niż wysyłanie w swoim zastępstwie podstępnego zabójcy! – Powstały z martwych kapitan gładko ciało i wyprowadzał pchnięcia. Długie moknięcie w głębinach niewiele spowolniło jego ruchy. – Za życia też bym cię pokonał, ale walka po śmierci bardziej mi się podoba, bo nie muszę przejmować się ranami!

W tej samej chwili została dowiedziona prawdziwość jego słów. Kord Conana zagłębił się w nadgarstek Garfalka z taką łatwością, z jaką tasak tnie makrelę. Ręka i miecz uderzyły o deski pokładu, lecz nie zrażony tym martwy pirat przykucnął szybko i porwał broń w drugą rękę.

– Wracaj do mogiły, niespokojny duchu! – syknął Conan. – Nie ma dla ciebie miejsca na tym świecie! Twoja obecność w nim to obraza dla bogów!

– Nie obawiaj się, rychło odkupisz swoją winę! – potrząsając kordem, by uwolnić rękojeść od zaciśniętej na niej odrąbanej dłoni, Garfalk stracił wreszcie kończynę na pokład. Rozległo się głucho klaśnięcie. – Sam powitasz śmierć z radością. Wszak wiesz już przecież, że takie drobnostki można łatwo naprawić...

Ledwie Garfalk zdołał wyrzec te słowa, Conan skorzystał z chwilowej nieuwagi zmartwychwstałego pirata i zanurkował pod unoszący się miecz przeciwnika. Kord Cymmerianina zagłębił się w pokrytą ziejącymi otworami, bladą pierś Garfalka i wyłonił się z drugiej strony, przebijając kręgosłup. Koniec ostrza zaklinowało się w dębowej burcie okrętu. Podczas gdy to, co niegdyś było Garfalkiem, miało się i wilo daremnie, dobywając z przedziurawionej piersi koszarne chrypienie, Conan wyrwał szablę z dłoni martwego Turańczyka i rzucił się na pomoc swoim towarzyszom. Ponownie stracił głowę Zaghara z karku i zręcznie wykopał ją za burtę. Bezimiennego przeciwnika Hrandulfa obezwładnił, ucinając mu nogę pod kolanem. Gdy niesamowita istota zaczęła pełznąć po pokładzie, obciął jej jeszcze drugą stopę.

– Biegiem! – rozkazał Conan obejmując dygoczącą Philiope. – Uciekamy z tego przeklętego statku śmierci! Spalimy go do linii wodnej, żeby pozbyć się tych potworów!

Prowadząc pozostałych, przebiegł po trapie abordażowym na własny okręt... na którym w tym momencie rozpętała się koszarne jatka. Żółte światło czarnoksięskiego księżyca padało na obłożoną ze wszystkich stron załogę, która broniła się kordami, toporami i gołymi rękami przed zmartwychwstałymi trupami. Przeciwnicy zza grobu wdarli się na pokład po burtach „Bezlitosnego” i zniemacka zaatakowali załogę Amry.

Potwornie zmasakrowane, przywołane z morskich głębin trupy w rozmaitych stadiach rozkładu spychały nieugięte obrońców, bełkotliwymi głosami wykrzykując zbrodnie i zaniedbania swych wrogów. Niektórzy z atakujących zamienili się z upływem czasu w gołe szkielety... lub wręcz były to wiązanki paru kości, trzymających się razem dzięki starym linom, morskim wodorostom i wijącym się węgorszom. Wszyscy byli jednak uzbrojeni w ostre jak brzytwy miecze. Chwiejąc i zataczając się, nieznużenie sunęli naprzód w poszukiwaniu zemsty.

– Na Croma i wszystkie służki Losu w szarych opończach! – zaklął Conan, który stanął jak wryty na trapie. – To dzieło Crotalusa! Zapłaci mi za to swym ogolonym czarnoksięskim łbem!

– Śmiem wątpić – rozległ się chrypliwy głos przed nim. – Crotalus to wielki mag, kapitanie, a ty jesteś tylko piratem. A gdy piraci zostaną skazani na pobyt w królestwie Dagona, mogą mścić się tylko na innych piratach.

– Precz, przeklęty cieniu! Jak się zwiesz?!... Na węzowy język Seta, tyś Knulf!

Conan bez namysłu skrzyżował ostrze z martwym rywalem, który sparował jego cios z równą furją jak za życia. Trup Knulfa, zabitego ciosem sztyletu w plecy, był w zadziwiająco dobrym stanie. O tym, że przybył z dna morza, świadczyły jedynie zielonkawe zabarwienie skóry i spęczniałe od wody wargi.

– Zgniłe truchło, ile razy muszę cię zabijać?!

Zadając ciosy z całych sił i zastawiając się przed równie potężnymi ripostami niezmiernie zręcznego przeciwnika, Cymmerianin wciąż musiał się cofać.

– Jeszcze nigdy mnie nie zabiłeś, Conanie! To była robota twojej nadobnej kochanki, Philiope! Ona była moja, więc gdy tylko rozprawię się z tobą, raczę obdarzyć ją swoimi łaskami...

– Giń, ścierwo! – rzuciwszy ostrożność na cztery wiatry, Conan runął na Knulfa i uderzył go barkiem w pierś, wytrącając mu miecz dłoni. Przyparłszy upiornego przeciwnika do burty, Cymmerianin ściągnął ku sobie trzon wiosła sterowego i wepchnął go pod spęczniała szyję martwego pirata. Rozciągnął się na burcie, dosięgnął wielokrażka, zaczepił go na drzewcu wiosła i błyskawicznie naciągnął. Unieruchomiony pod drzewcem Knulf był w stanie jedynie daremnie widać się i łomotać stopami o pokład.

– Moi piraci przybijają cię ćwiekami do burty – oświadczył Conan. – Na razie mam inną robotę...

– I owszem! – rozległ się bulgoczący głos zza jego pleców. – Dłużej czekająca, ale pilniejszą niż załatwienie się z tym szczeniakiem Knulfem.

– Sergius! Czy to możliwe?!

Odwróciwszy się, Conan utkwiał niedowierzające spojrzenie w ohydny, rozkładający się trupie. Niegdyś był to przystojny mężczyzna. Obecnie pokrywał go lepki, cuchnący muł.

– Możliwe! – noga za nogą posuwał się w stronę Cymmerianina. – Jeżeli sam nie zdołam cię wykończyć, pomogą mi inni!

Zza ledwie przebierającego nogami truchła wyłonił się świeższy, lecz niewiele lepiej prezentujący się nieboszczyk. Potrząsając sztyletem, rozdziawił gębę w szerokim uśmiechu.

– Rondo! – zawołał Conan. – A to kto? Jalaf Shah! Wciąż wierny swojemu kapitanowi, co?

Spostrzegłszy zachodzącą go z boku postać ze złamanym karkiem, Conan zakręcił szablą nad głową i rzucił się do walki.

Potyczka z trupami okazała się żmudna i wyczerpująca. Wkrótce na całym pokładzie okrętu flagowego zawrzały pojedynki żywych z tymi, którzy życie mieli za sobą. W trakcie makabrycznej bitwy odcinane kończyny i głowy spadały na pokład jak gnijące owoce. Za burtę wypychano cieknące, oślizgłe ciała. Jednak zapas mściwych nieprzyjaciół i rywali Czerwonego Bractwa wydawał się niewyczerpany. Wyglądało na to, że nic nie powstrzyma tłumu wypływających z głębin wrogów, którzy gramolili się na pokład po wiosłach i linach.

Nie to było jednak najgorsze. Ci z piratów, którzy mieli okazję rzucić okiem za burtę, dostrzegli w poruszającej się czarnej wodzie zarys czegoś większego i okropniejszego. Niedługo później ciemny kształt wypiętrzył się z chłupotem spod powierzchni. Przed oczami przerażonych piratów pojawił się okręt – widmo z połamanymi masztami, o pokrytych wodorostami pokładach. Ociekający, poharatany, gnijący od wieków w głębinach wrak załśnił w blasku niby-księżycy. Conan natychmiast poznał, że jest to zatopiony „Bazyliszek” legendarnego Rudego Kobolda.

– Gotować się, majtkowie! – rozległ się ochrypły głos. – Tam-ci jest szelma, który połaszczył się na nasz skarb! Przybijcie do niej, orlęta, i gotujcie się do abordażu!

Ociekający szlamem, kłapiący szczękami szkielet na nadbudówce był bez wątpienia Rudym Koboldem. Można go było poznać po zmiążdżonym oczodole. Na jego rozkaz, poparty szybkim machnięciem miecza, rojowisko okrytych szmatami kościotrupów zajęło stanowiska na pokładzie. Roztaczający odór głębin, rozpadający się okręt dobił z łoskotem do burty „Bezlitosnego”. Załomotały rzucone kotwice abordażowe.

Atak fosforyzujących szkieletów zamienił walkę ze zmartwychwstałymi trupami w pogrom. Piraci jęczeli, wrzeszczeli z przerażenia lub mamrocząc padali na pokład. Nie było takich, którzy nie pragnęliby jak najszybciej znaleźć się byle dalej; przy przeciwnej burcie, na sąsiednim okręcie i wreszcie w falach nawiedzonego morza.

Conan nie ustawał w siekaniu i rąbaniu upiornej armii, ciągnąc za sobą Philiope w stronę względnie bezpieczniejszego statku Hrandulfa. Wiódł go jednak nie strach, lecz gorejący gniew: szukał najkrótszej drogi do statku czarnoksiężnika Crotalusa. Na nieszczęście drogę zagraadzał mu turański dwurzędowiec, którego załoga do tej pory z powodzeniem odpierała Hyrkańczyków atakujących z dwóch sąsiadujących, uszkodzonych okrętów. Wskoczywszy na burtę bliższego ze statków sprzymierzeńców, Conan zaczął besztać wystraszonych najeźdźców:

– Ruszcie się, psy! Co z was za zdobywcy? Ulękliście się drewnianych ścian cesarza Yildiza, jeszcze zanim ujrzeliście murowane? Nie chcecie dożyć tej chwili? Do boju, Hyrkańczycy!

Po tych słowach przeciął szablą liny, podtrzymujące zawieszono nad burtami trapy abordażowe, które zwały się na rufę wrogiego okrętu. Hyrkańscy żołnierze poderwali się z krzykiem i wdarli na turański pokład wraz z Conanem i Philiope. Obrońcy walczyli jednak dzielnie. Nadbudówka galery zamieniła się w krwawą jatkę. Conan zabijał kolejnych przeciwników z determinacją i rosnącym znużeniem.

Nagle do jego uszu dobiegł dziwny dźwięk, niosący się jak upiorne zawrodozenie w labiryncie uwięzionych statków. Dźwięk powtórzył się bliżej. Wysoki, melodyjny akord przypominał odgłos trąbki, wzywającej do boju oddział konnicy.

Po chwili w jeszcze mniejszej odległości zabrzmiał znajomy, lecz nieprawdopodobny w tej sytuacji tętent kopyt na drewnianym pokładzie. Po szczepionych ze sobą statkach, przez burty i trapy abordażowe przetoczyła się szarża wywijających szablami hyrkańskich jeźdźców w futrzanych czapach. Turańczycy umknęli przed rozbuchanymi kopytami wierzchowców. Piesi napastnicy wykorzystali to natychmiast, rzucając się w powstałą wyrwę.

Konnica zawróciła na pokładzie rufowym, gotując się do kolejnej szarży. Pozwoliło to Conanowi wypatrzeć jej dowódcę.

– Adi Bukbul! – krzyknął do niego. – Za wcześnie wydałeś rozkaz do ataku! Prowadzisz lądową walkę na morzu!

– Ktoś musiał sięgnąć po zwycięstwo! – odkrzyknął dowódca konnicy, wywijając nad głową zakrzywioną szablą. – Jeżeli komukolwiek może się to udać, to właśnie jeździe! Odtworzyć szyk! Do ataku! – zawołał do swoich podwładnych.

Granie sygnałówek słycać było teraz ze wszystkich stron. Rozejrzawszy się po unieruchomionej flotyli, Conan ujrzał inne oddziały konnicy, galopujące po pokładach pobliskich okrętów. Niepowstrzymana fala rozchodziła się od centrum hyrkańskiej formacji. Był to widok zapierający dech w piersiach: ogarnięci bitewnym szałem jeźdźcy pędzili bez lęku na krępych wierzchowcach przeskakując ze statku na statek. Posępna noc zamieniła się w heroiczne widowisko. Część koni potykała się, zrzucając wojowników, lub gubiła krok i waliła się wraz z nimi do morza, lecz pozostali Hyrkańczycy gnali dalej, zmiatając przed sobą wszelki opór. Było to szaleńcze, desperackie posunięcie, lecz tylko ono mogło przynieść najeźdźcom zwycięstwo.

Conan znalazł się blisko swojego celu. Gdy ostatni jeźdźcy przegalopowali obok nich, pociągnął Philiope za sobą. Szydercza tarcza niby-księżycą wzniosła się wysoko nad las masztów i opustoszałe pokłady. Cymmerianina dzieliła od okrętu czarnoksiężnika już tylko grupa kilku statków, które ominęła szarża konnicy. Niestety, jeden z nich należał do aż za dobrze znanego Conanowi typu: na jego pokładzie widać było częściowo zawałone, złowieszcze zadaszanie. Spod długich, połamanych desek dobiegało niespokojne skrzeczenie i chrobotanie.

– Musielibyście stracić rozum, żeby zbliżyć się do tego potwora – rozległ się z ciemności ostrzegawczy głos.

Odwróciwszy się, Conan ujrzał grupkę wiosłarzy pod komendą hyrkańskiego żołnierza, którzy ukradkiem starali się porzucić trapy abordażowe i odcumować od turańskiego okrętu.

– Krocionóg ciągle jest niebezpieczny? – zapytał Conan. – Nie zginął przy taranowaniu?

– Nie – odpowiedział żołnierz. – A galopująca jazda podrażniła go na nowo – obejrzał się nerwowo za burtę. – Na twoim miejscu nie podnosiłbym głosu. Te robale są diabelnie szybkie.

– Muszę się przedostać – odparł Conan. – Muszę wyrównać z kimś rachunki.

Puścił dłoń Philiope, jednak kobieta bez słowa podążyła jego śladem. Idąc ukradkiem w górę pokładu częściowo zatopionego okrętu, dotarli na jego rufę. Tu można było podążyć dalej, omijając pokład zadaszony statek. Weszli na burtę po przeciwległej stronie i najciszej, jak można, okrążyli po wąskiej rampie stworzonej, miotającej się niespokojnie w porzuconym wraku.

Okazało się jednak, że powonienie potwora dorównuje ostrością słuchowi. Jego hałaśliwa szamotanina natychmiast przybrała na sile. Trzeszczały deski pokładu, kołatały połamane wiosła. Przerażająca głowa z monstrualnymi szczękami pojawiła się nad dziobem statku po przeciwnej stronie niż Conan i Philiope.

– Biegnij! Uda ci się! – Cymmerianin popędził swoją towarzyszkę.

Przemieszczanie się wielkiego cielska na dziobie sprawiło, że pokład zatrzęsł się, zmuszając oboje do zeskokowania na zalany pokład. Gibka dzieweczyna natychmiast odzyskała równowagę i rzuciła się biegiem wzdłuż burty prosto ku dziobowi turańskiej biremy, która unosiła się obok statku Crotalusa. Gdy dotarła do jej burty, wspięła się na pokład po łańcuchu kotwicznym.

Tymczasem Conan brodził w wodzie. Do obrony przed gigantycznym potworem miał jedynie szablę – równie skuteczną jak słomka. W chwilę później monstrum wykonało zwrot i ześlizgnęło się do wody. Wykorzystując niezliczone odnóża bestia bez trudu dogoniła barbarzyńcę. Gorączkowe ciosy, zadane przez Cymmerianina w pokryte pancerzem przednie segmenty, były bezskuteczne. Stalowe ostrze odbijało się od łba jak od spiżowej urny. Potwór rzucił się naprzód wgniatając Conana pod wodę. Na szczęście jego szczęki były zbyt wielkie i niezgrabne, by natychmiast odnaleźć swoją ofiarę, daremnie rozłupywały i miażdżyły burty i pokład.

Conan przepłynął pod kłapiącymi szczękami i wynurzył się, by zaczerpnąć tchu. Oczy owada dostrzegły go natychmiast. Potwór rzucił się w pościg, pchając przed sobą falę wody, która przykryła Cymmerianina. Gdy barbarzyńca ponownie wydostał się na powierzchnię, usłyszał dobiegające z bliska wołanie. Podniósł głowę, starając się zorientować, o co chodzi.

– W bok! Uciekaj na bok! – krzyczała Philiope mocując się z liną przywiązana do wyniosłego dziobu biremy.

Conan zanurkował w stronę burty. Rozległ się pisk i skrzyp, zwolniony z uwięzi masywny trap abordażowy opadł w dół. Idealnie wymierzony hak wbił się w jeden z segmentów tułowia gigantycznego owada tuż za jego głową.

Krocionóg zaczął się miotać, wyrzucając w powietrze potoki wody i druzgocząc resztki statku. Conan natychmiast zaczął płynąć w stronę przednich łańcuchów kotwicznych.

– To powinno go na razie powstrzymać – powiedziała Philiope zamykając Cymmerianina w czułym uścisku. Oboje odwrócili się i ruszyli na rufę.

Światło fałszywego księżyca było tu najjaśniejsze. Czarnoksięska latarnia przycumowana była do masztu galery. Okręt Crotalusa wyglądała na nie uszkodzony, jego taran tkwił w rufie statku, po którym Conan dostał się na jego pokład. Wioślarze i żołnierze zniknęli, było tu jedynie kilku kapłanów Erlika w długich ciemnych opończach, którzy robili coś przy cumach niby-księżyca, słuchając wskazówek człowieka w białej szacie.

– Crotalus, ty łotrze! Zdejmij zdradzieckie zaklęcie, które rzuciłeś na moją załogę!

Zembabwańczyk odwrócił się od swoich akolitów i uśmiechnął na widok zbliżającego ku niemu Cymmerianina.

– A więc przeżyłeś, potężny Amro! Podczas tej wspaniałej, lecz głupio rozegranej bitwy zwątpiłem nawet w twoje osławione szczęście. Sądziłem, że wrogów jest zbyt wielu nawet dla kogoś takiego jak ty!

– Wrogów zaiste było dosyć – odparł Conan. – Nawet nie licząc ciebie i twoich rozkładających się mieszkańców morza. Wiedz, czarowniku, że zaciągnąłem się na tę wojnę, by walczyć z Turańczykami, a nie przywołanymi przez ciebie wiekowymi duchami! – Nie przestawał zbliżać się do Crotalusa. – Spuść ten czarodziejski księżyc – wskazał w górę ostrzem – i zrób, co trzeba, żeby wezwane z dna morza trupy dały spokój moim ludziom.

– Naprawdę, Amro? Czy to moja wina, że twoi piraci zdradzili i zabili tak wielu, że całe morze Vilayet nie może powstrzymać ich zemsty? – powiedział nie zrażony Zembabwańczyk. – W końcu spotkał ich los zgodny z ich wierzeniami. Chcesz mnie winić za to, że martwi nauczyli się pływać?

Podczas gdy mag grał na czas, akolici skończyli podczepiać do i lin fałszywego księżyca płaski kosz. Odwróciwszy się od masztu, stanęli szeregiem, by bronić swojego mistrza.

– Dosyć tych gładkich szyderstw – mruknął groźnie Conan, podchodząc do czarnoksiężnika. – Przypominam ci, Crotalusie, że w tej walce jesteśmy sprzymierzeńcami. Każdy podstępny czar, który rzucasz przeciwko mnie i moim ludziom, to ohydna zdrada. Chcę, żebyś odczuł to na własnej skórze. Nie mam pojęcia, dlaczego osłabiasz nasze siły w sytuacji, gdy waży się szala bitwy...

– Waży się? Nie sądzę. Turańska flota znajduje się w większości w naszych rękach... – niedbałym gestem czarnoksiężnik wskazał otaczające ich okręty. – Została zdobyta dzięki natchnionej szarzy konnicy Bukbula. Powinieneś zdać sobie sprawę, że na wszystkich statkach przerażeni wioślarze trudzą się przy zatykaniu dziur, gaszeniu pożarów i odcumowywaniu wraków – uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. – Harują, żeby ocalić swoje nędzne żywoty i miejmy nadzieję, że ich trud przyniesie rezultaty. Jeżeli tak, to zważywszy, że wygrali Hyrkańczycy, powinniśmy już jutro ruszyć dalej z jeszcze większymi siłami. Będziemy nie do pokonania... a ponieważ Antulla nie żyje, ja obejmę dowództwo. Będę wydawał rozkazy z mego orlego gniazda, by nikt nie uchylał się przed ich wykonaniem ani

nie zważył w moją władzę – wskazał kosz, podczepiony do lin niby-księżycy. – Przy sprzyjającym wietrze, czyli dzięki Harfie Dagona mam zapewnione zwycięstwo nad największym cesarstwem świata. Widzisz więc, kapitanie Amro, że nie potrzebuję już ciebie ani twoich piratów.

– Łotrze! Bezczeszczący zwłoki morderco! – Conan ruszył do przodu, lecz czterech uczniów Crotalusa błyskawicznie zagrodziło mu drogę. Cymmerianin nie fatygował się użyciem szabli, roztrzącił ich na boki piorunująca seria ciosów, kopniaków i uderzeń rękojeścią. Poturbowani akolici jęcząc padli na deski pokładu niczym ptaki z poprzetrącanymi skrzydłami. – Zaprzańcze, wydrę z ciebie flaki! – Cymmerianin zatrzymał się przed wspartym beztrósko o maszt czarnoksiężnikiem i zapytał zdumiony: – Odebrało ci rozum, człowieku? Nie masz broni? Nie boisz się mnie?

– Bać się? – zapytał niedowierzającym tonem Crotalus. – Nigdy nie przyszło mi to do głowy!

Obróciwszy się na pięcie, mag zacisnął dłoń na linie zwisającej z niby-księżycy. Ta bez zwłoki uniosła się z pokładu i owinęła wokół wodza piratów.

– Co to?! Na Croma, niech zaraza wydusi wszystkich czarowników!!!

Walcząc z niespodziewaną pułapką, Conan spróbował rozciąć mieczem linę, lecz grube zwoje zacisnęły się natychmiast na ostrzu, przez co broń stała się bezużyteczna.

– Prosty, lecz odpowiedni koniec niesławnej kariery wielkiego Amry – powiedział Crotalus, przyglądając się beztrósko szamotaninie Conana. – Piraci wszak zazwyczaj zawisają na rei, czyż nie?

Gdy tylko czarnoksiężnik wypowiedział te słowa, Cymmerianin poczuł zwoje zaciskające się na jego szyi. Skręcając się, lina samorzutnie utworzyła pętlę. Ożywiony sznur unieruchamiał również kostki i jedną rękę Amry. Uporczywe szarpnięcia wyrwały mu z ręki szablę, która spadła ze szczękiem na pokład. Conan wbił paznokcie wolnej dłoni w zaciągającą się na szyi pętlę. Twarde jak skała zwoje zaciskały się mimo to coraz bardziej. Wszystko, co widział, nabrało purpurowej barwy, język przywarł mu do podniebienia.

– Nie! Za nic!

Do uszu Conana dobiegł niewyraźnie tupot bosych stóp po pokładzie. Tracącymi zdolność widzenia oczami dostrzegł wywijającą kordem Philiope. Dziewczyna przecięła linę – nie tam gdzie ta zwijała się w pętlę na szyi jej kochanka, lecz w miejscu gdzie owijała się wokół masztu, podtrzymując czarodziejski księżyc Crotalusa.

Natychmiast po przecięciu liny piekielne zwoje rozluźniły się. Innym skutkiem czynu Philiope było to, że gigantyczna kopuła pomknęła w górę, pociągając za sobą plecioną platformę, na której stał Crotalus. Słaby powiew zaczął znosić ją na wschód.

– Hrrr – zaskrzeczał Conan odzyskując dech. – Dzięki raz jeszcze, Philiope! – Strząsnąwszy z siebie linę, obejrzał się i zobaczył, że kosz, niosący jego niedoszłego zabójcę, umyka za pokład. – Zatrzymaj się, gadzie!

Z krzykiem rzucił się za Crotalusem. Skoczył ku ślizgającej się po burcie odciętej linie, lecz ta w ostatniej chwili wymknęła się mu z rąk. Jedynie to, że Philiope zacisnęła dłoń na jego pasie, sprawiło, że z rozpędu nie runął do morza. Conan stanął przy burcie, w bezsilnej furii bijąc pięścią w drewno.

W unoszącym się coraz wyżej koszu odlatywał Crotalus. Niesiony nad powierzchnią morza spoglądał posępnym wzrokiem na oddalający się statek. Potem wyciągnął z przewieszzonej przez ramię torby Harfę Dagona. Usiadłszy w koszu ze skrzyżowanymi nogami, uniósł instrument przygotowując się do gry.

Znoszona na wschód świecąca kula znalazła się nad najbliższą grupą szepionych ze sobą okrętów. Lina wlokąca się pod niby-księżycem zaczęła się o maszt któregoś ze statków. Napięła się i szarpnęła silnie koszem oraz rozdęta banią. Płonąca ciecz chlusnęła z wiszącego nad Crotalusem paleniska. Pleciony kosz natychmiast stanął w płomieniach. W ciągu paru chwil ognista ścieżka pomknęła w górę i w dół, obejmując żagle, linę, kosz i sam niby-księżyc. Noc pojaśniała, gdy jedwabną czaszę ogarnął ogień. Conan ujrzał, jak Crotalus w płonących szatach wypada z kosza i znika z pola widzenia.

Równie szybko jak zaczęła płonąć, gorejąca czasza osiadła na powierzchni morza, a jej blask zniknął w świetle ogarniętych ogniem masztów i want. Nad zbiorowiskiem okrętów zapanowała nagła, przypominająca senny majak cisza. Ucichły dobiegające z oddali wołania i odgłosy bitwy.

– Czy to znaczy, że walka się skończyła? – zapytała zmęczona Philiope.

– Nie – odparł Conan. Położywszy dłoń na ramieniu dziewczyny, wskazał słabą, błękitną poświatę na zachodzie, roztaczającą się u podstawy dalekich chmur.  
W chwili później do ich uszu dobiegł oznajmiający burzę łoskot gromu.

## EPILOG

Piracki okręt flagowy „Bezlitosny” wpływając do Djafur zostawiał za sobą pas spienionej wody. Migotały wiosła rozgarniające niebieskie morze, a w górze odświeżająca bryza rozpraszała zabłąkane pasma obłoków – ostatnie pozostałości minionej nawałnicy.

Wąskimi przesmykami między urwistymi brzegami wysp torował sobie drogę rząd około dwudziestu okrętów. Były nadwerężone po bitwie, o czym świadczyły połatanne kadłuby i prowizorycznie pozszywane żagle, lecz wioślarze i sternicy bez przeszkód utrzymywali statki w szyku.

– Powiodło się nam najlepiej ze wszystkich flot – powiedział Conan do kapitanów zgromadzonych na śródokręciu „Bezlitosnego”. – Odpłynęliśmy z tyloma statkami, z iloma rozpoczęliśmy bitwę, na dodatek zapchanymi po brzegi dezertkami i wylądowanymi łupem... długo będziemy żyć ze sprzedaży tego, co zdobyliśmy – siedzący u nasady masztu Cymmeriahin usadził sobie Philiope na kolanach i powiódł poważnym spojrzeniem po pozostałych. – To prawda, że straciliśmy mnóstwo porządnym kompanów. Wielu więcej zginęło w uściskach martwych diabłów Crotalusa niż z rąk śmiertelników! Nadszedł jednak kres knowań czarnoksiężnika i prosimy bogów, by Vilayet nigdy więcej nie wypuściło duchów ze swych objęć. Zwłaszcza ducha Zembabwańczyka.

– Minie wiele lat, nim turańska flota podniesie się po tej klęsce – stwierdził Hrandulf, napełniając kubek z zawieszzonego przy maszcie antałka. – Podziurawione okręty Yildiza znalazły się daleko od najbliższego kotwicowiska. Jeśli któremukolwiek uda się odnaleźć drogę do domu po nawałnicy, która zepchnęła ich na wschód, jego załoga będzie miała wyjątkowe szczęście.

– Zgadza się, morską potęgą Turanu została złamana jak trzcinka, jednak burza potraktowała naszych sprzymierzeńców niewiele lepiej – powiedziała Santhindrissa. – Wicher i fale, które zepchnęły nas w stronę domu, zatopiły większość ich przeciążonych galer. Niewielu hyrkańskich wojowników powróci w swoje pielesze... a na pewno żaden koń, mogę się o to założyć.

– Taki bywa los flot na wojnie – odparł Conan. – Czasami bogowie wspierają jedną czy drugą stronę, kiedy indziej odwracają się od obydwu. Nie mam naszym sprzymierzeńcom nic do zarzucenia. My, piraci, wywiązywaliśmy się z naszych zobowiązań, dopóki czyny szalonego czarownika nie sprawiły, że nie mieliśmy już wobec kogo dochowywać wierności. Chcę jednak wznieść kolejny toast! – Gdy Philiope napełniła puchar Conana, Cymmerianin wznosił go do góry. – Za pokój na morzu i bogactwo, które sprowadza!

Conan pociągnął długi łyk, dając pozostałym czas na zrobienie tego samego.

– Za równość wszystkich królestw, otaczających morze Vilayet! – zawołał Hrandulf, po czym wszyscy upili następny łyk.

– Owszem! – rzekł Conan i dodał: – Za władających morzem bogów i za spoczywających w jego głębinach zmarłych!

Był to tyleż toast, co ofiara. By jej dopełnić, Conan cisnął swój puchar przez burtę. Wiatr zwiął w bok szkarłatne krople wina. Pozostali kapitanowie wahali się pójść jego śladem. Widząc to, Santhindrissa zawołała śpiewnym głosem:

– Oszczędźcie swe naczynia, bracia i siostry, i napełnijcie je od nowa! Musicie wznieść jeszcze jeden toast: za Santhindrissę, królową Czerwonego Bractwa i jej męża, Ferdinalda!

Mówiąc to, otoczyła ramionami krępego żeglarza, który skinieniem głowy potwierdził jej rewelację.

– Kiedy to się stało? – rozległ się zgiełk zaskoczonych głosów.

– Tuż po rozpoczęciu bitwy dokonaliśmy abordażu tej samej galery i walczyliśmy na niej ramie przy ramieniu – wyjaśniła Stygijka. – Potem szczepiliśmy nasze okręty, by osłaniać się nawzajem. Można na nim polegać w bezpośrednim starciu – powiedziała z dumą. – Nie oszczędzał się, osłaniając moje plecy.

Otoczając lubego rękami i spowitym w skórzaną nogawicę udem, dała wyraz swej namiętności, nie zważając na gwizdy i pokrzykiwania gapiów.

– Niech bogowie morza błogosławią was oboje – powiedział z powagą Conan. – Jako kapitan tej galery mam prawo udzielić wam ślubu, jeśli taka jest wasza



wola. W każdym razie trzeba to uczcić, nim jeszcze zawiniemy do portu!

Przy akompaniamencie pirackiej muzyki i odgłosów hucznej zabawy „Bezlitosny” płynął w stronę Djafur i górującego nad nim zamku.

1 Wydarzenie to opisano w tomie „Conan z Czerwonego Bractwa” (przyp.red.).

2 Tamże.